SIEDEM RADOŚCI N.M.PANNY

/misterium kalwaryjskie/

I Zwiastowanie

Osoby:

Św. Józef — N.M.Panna

Ruben — Arch.Gabryel

Aniołki/putta/

Kaplica.......

Przed kaplicą-mieszkaniem św.Rodziny,wśród trawy,stoi warsztat stolarski,obok niego ławka.Na warsztacie jakaś rozpoczęta robota i narzędzia jak piłka ręczna,młot,hebel,dłuta i t.p.materjał stolarski i ciesielski opodal; deski stoją oparte górą o ścianę kaplicy,grubsze balki leżą w trawie,ułożone w rodzaj pryzm.

U warzstatu stoi siwy jak gołąb św.Józef,hebluje jakąś deskę a następnie dopasowuje ją do innej,już oheblowanej.-Z lewej nadchodzi przygarbiony wieloletnią pracą RUBEN z nosidłami na ramionach;u nosideł dwa duże,dwuuszne dzbany na wodę.

ŚW.JÓZEF.
/spostrzegłszy Rubena/

Jak się macie,Rubenie,-gdzież to Bóg prowadzi?

RUBEN.

Do Cedronu po wodę. Okrutnie przypieka
I pora grządki podlać, a nie mam czeladzi.

SW. JOZEF.

Spocznijcie -

RUBEN

Radbym przysiadł, ale czas ucieka.

SW. JOZEF.

Oj, to prawda, ucieka a z nim sił ostatek.
Dawno-ż to, gdym z nieboszczką moją zawarł śluby
I mogłem, otoczony wnet gromadką dziatek,
Przełamać na kolanie dyl choćby jak gruby,
Albo, stawiąc dom komu, po nocy czy ranu,
Na barkach swych pień cedru przynieść aż z Libanu,
A dzisiaj... Nie została ni kostka z nieboszczy,
Dzieci powyrastały, uszła krzepkość z ręku
I nikt się o starego cieślę nie zatroszczy,
A przeciwnie, o moją dziewkę złotowłosą
Ja dbać muszę, zbożnego ciągle pełen lęku,
By, czystą wziąwszy, czystą powrócić niebiosom.

RUBEN.

Cóż wy tu majstrujecie? pewno dla niej cosi -

SW. JOZEF.

I dla niej i nie dla niej.-Oddawna mię prosi,

Cobym skrzynię jej zrobił na giezła i szatki,

Bo mole się zalęgły w domu pani matki

I niszczą przyodziewę.Dłubię ją od rana.

RUBEN.

Widnoście juz strudzeni,bo drżą wam kolana

I oczy jakoś mętnie patrzą zpod powieki. -

Sfolgujcie w taki upał

SW. JOZEF.

/siadając na ławce i wskazując Rubenowi miejsce obok siebie/

Tak miło w pogwarce ~~czas mija~~

Czas mija

RUBEN.

Jużci miło,lecz muszę do rzeki

SW. JOZEF.

Posiedźcie . .

RUBEN.

Niech napełnię ino moje garnce

To wracając znów tutaj przystanę na chwilę

SW. JOZEF.

Zróbcie to,zróbcie dla mnie starego choć tyle.

Ja tymczasem odsapnę,a skoro się skrzepię,

To i boki u skrzyni spasują się lepiej.

Idźcie z Bogiem.

RUBEN.

I wy tu z Bogiem ostawajcie -

/oddala się,- sw.Józef wziął w rękę to jeden to drugi kawałek, wziął,odłożył,wspiera głowę na dłoni,po chwili cały pochyla się na stół warsztatu i zasypia. - W tej chwili odzywa się jakaś senna muzyka ; z po za desek i stosu belek wychylają się zrazu tylko główki,potem całe różowe ciałka małych,skrzydlatych aniołków ; porozumiawszy się ze sobą na migi,z paluszkami na ustach,podchodzą do warsztatu i zaczynają na nim buszowac ; przestrzegając milczenia biorą z warsztatu poszczególne części sprzętu i na trawie składają ją w małą na biegunach kołyskę.Gdy całą złożyły,wkładają do niej najmniejsze putto i zaczynają je kołysac.Wtem jednemu ze starszych puttów wypada z ręki młotek.Wskutek hałasu św.Józef budzi się, - aniołki tem zaskoczone usuwają się wylękłe nieco na bok.Św.Józef przytomnieje,przeciera sobie oczy,pogląda po dzieciach./

SW.JOZEF

To mi dopiero czeladź...W oczkach błękit nieba
I co jedno ładniejsze,choć koszulka zgrzebna
/ garnące się ku niemu głaszcze po główkach/
Skrzyniem klecił i była już gotowa wszystka...
A wy mi tu tymczasem...

/podczas tych słów św.Józefa kilku większych aniołków przyniosło i postawiło przed nim kołyskę,z której przedtem wysypało spoczywające w niej putto/

SW. JÓZEF.

A to co?Kołyska?

Powybijajcie kliny,bo mi jej nie trzeba,

Nic z kołyski w tej chacie

Aniołki

/ujmując go za ręce i wiodąc po schodach kaplicy/

Potrzebna!potrzebna!

/opony,zasłaniające wchód do mieszkania sw.Rodziny rozchodzą się; pogrążona w modlitwie klęczy N.M.Panna.-Z cieniu w głębi komnaty-kaplicy wyłania się skrzydlaty archanioł Gabryel i gałązką lilji pozdrawia klęczącą.Ta spojrzała na niego i wylękła zrywa się z kolan,jakby chciała uciec,lecz po pierwszych słowach arcahnioła znów przyklęka i schyla głowę/

Arch.GABRYEL.

Bądź pozdrowiona,łaską udarowana,Pan z tobą.Błogosławionas ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota twojego.

N"M.PANNA

Jakoż to będzie,gdyz ja męza nie znam

Arch.GABRYEL.

Duch Swięty zstąpi na ciebie a moc Najwyzszego zacieni cię;

przetoż i to,co się z ciebie narodzi,nazwane będzie Synem Bożym.

N.M.PANNA

Oto ja służebnica Pańska,niech mi się stanie wedle słowa twego.

/osuwa się bezwładna na klęcznik/

SW.JÓZEF.
/już bliski najwyższego stopnia/

Maryś,co ci to?Maryś!

/prowadzony przez aniołki wchodzi do izby,-opony u drzwi zaciągają się za nimi.

Pobożni widzowie tej sceny zaczynają śpiewać pieśń:

"Prześliczna Panno,nad panny Dziewico
"Ducha Świętego cna Oblubienico!
"Wyżej nad chóry anielskie wzniesiona
"Bądź pozdrowiona,bądź pozdrowiona!"

i t.d.

/patrz "Śpiewnik Kościelny" X.Jana Siedleckiego
wydanie jubileuszowe,opracował X.Świerczek C.M.
Kraków 1928,str 216./

И

przetoż i to,co się z ciebie narodzi,nazwane będzie Synem Bożym.

N.M.PANNA

Oto ja służebnica Pańska,niech mi się stanie wedle słowa twego.

/osuwa się bezwładna na klęcznik/

ŚW.JÓZEF.
/już bliski najwyższego stopnia/

Maryś,co ci to?Maryś!

/prowadzony przez aniołów wchodzi do izby,-opony u drzwi zaciągają się za nimi./

Pobożni w dziele tej sceny zaczynają śpiewać pieśń:

"Przesławna Panno,nad panny Dziewico
"Ducha Świętego cna Oblubienico!
"Wyżej nad chóry anielskie wzniesiona
"Bądź pozdrowiona,bądź pozdrowiona!"

i t.d.

/patrz "Śpiewnik Kościelny" X.Jana Siedleckiego
wydanie jubileuszowe,opracował X.Świerczek C.M.
Kraków 1928,str 215./

Słownik Geograficzny, tom III, str 713

Obieg dróżek tworzy prawie równoramienny trójkąt, którego północny wierzchołek obejmuje klasztor i kościół, południowy Domek Loretański, a wschodni Grób Marji. Srodek zajmuje lesista pochyłość góry Żarka, Piłatem zwanej.

-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-

Widzenie trzech czerwonych krzyży na górze Zarek mieli Mikołaj Zebrzydowski i Dorota z Fulsztyna Herburtówna Zebrzydowska z początkiem 1595 roku.

-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-

Dworzanin Mikołaja Zebrzydowskiego, Hieronim Strzała, wybierał się w tym czasie właśnie na pielgrzymkę do Ziemi Swiętej, a Zebrzydowski polecił mu zdjąć drogi i konfigurację jerozolimskich kaplic Ukrzyzowania i Grobu Chrystusa, tymczasowo zaś na gorze Żarku wystawił skromną kapliczkę z trzema czerwonymi krzyżami. W 1597 r. wrócił Strzała przywożąc gipsowe modele kaplic. W 1600 położył Zebrzydowski fundamenty pod kaplicę Ukrzyżowania, poświęconą przez legata papieskiegi Klaudjusza Rangonie'ego.

W 1602 r. zakłada klasztor i kościół. Kamień węgielny pod kośció konsekrowano 2 sierpnia 1603 r..

-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O-O--

Rozmierzenia góry, dróg, odległości i stacyj oraz Ogrojca i

i łożyska strumienia Cedronu dokonał,według pomiarów jerozolimskich Szczęsny Żebrawski,słynny pod owe czasy matematyk i astronom,a nauczyciel syna Mik.Zebrzydowskiego,Jana.

Wymiary te oborano pługiem.

-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-

W 1605 r.Jan Zebrzydowski przywozi od papieża Klemensa VIII zupełne odpusty do kaplicy św.Krzyża przywiązane.

-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-

W 1621 r.królewicz Władysław/IV/ za powrotem z wyprawy chocimskiej,składał dzięki kalwaryjskiej Marji za odniesione zwycięstwo nad Turkami.Po nabożeństwie odbył piechotą pielgrzymkę po dróżkach kalwaryjskich

-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-

przeczytać przed ewentualną realizacją:

Prowijant podróżny dróg męki Chrystusowej i trojakiej tajemnice Matki Jego Przenajświętszej na górze Kalwarji Zebrzydowskiej,Kraków 1702.-Są to modlitwy,pieśni i nauuki,wraz z objaśnieniami przy obchodzie stacyj.

6

Kalwaryjskie "dróżki" Najświętszej Marii Panny:

/boelści, pogrzebu i Wniebowzięcia/

I. Kaplica M.B.Bolesnej w kościele głównym

II. Grób Chrystusa

III. Ukrzyżowanie

IV. Kaplica Obnażenia

V. Kaplica Trzeciego Upadku

VI. Brama Zachodnia

VII. Kaplica Serca Marii

VIII. Wieczernik

IX. Domek Loretański

X. Kaplica Uwielbienia Duszy Marii

XI: Kaplica Zgomadzenia Apostołów

XII Brama Wschodnia

XIII. Uzdrowienie slepego

XIV. Grób Matki Boskiej

XV. Wniebowzięcie

XVI. Kaplica spotkania się M.B.z Chrystusem

XVII Kaplica Aniołow tryumfujących

XVIII. Kaplica weselących się Patriarchów

XIX. Kaplica Tronowa

XX. Kaplica Koronacji

XXI. Kaplica Ubóstwin Marji

7

25/. Włożenie krzyża

26/. Pierwszy upadek

27/. Serce Matki Boskiej

28/. Cyreneusz

29/. Weronika

30/. Brama Zachodnia

31/. Herod

32/. Płaczące Niewiasty

33/. Trzeci upadek

34/. Ukrzyżowanie

35/. Kaplica Obnażenia

36/. Grób Pana Jezusa

37/. Sw. Helena

38/. Marja Magdalena.

/według planu na kartce korespondencyjnej:

"Pozdrowienie z Kalwarji Zebrzydowskiej"

z przdstawieniem ścieżek procesji odpustowej/

Kaplice w Kalwarji Zebrzydowskiej.

1/. Kościół główny w Kalwarji

2/. Sw.Rafał

3/. Wniebowzięcia kaplica V.

4/. Wniebowzięcia Kaplica IV.

5/. Wniebowzięcia kaplica III.

6/. Kaplica Pana Jezusa.

7/. Wniebowzięcia kaplica II.

8/. Kościół Grobu Matki Boskiej

9/. Ogrojec

10/. Pojmanie

11/. Wniebowstąpienie

12/. Żydowin

13,14/. Cedron i Brama

15/. Betsaida

16/. Pogrzebu Matki Boskiej kaplica IV.

17/. Pogrzebu Matki Boskiej kaplicaIII

18/. Pogrzebu Matki Boskiej kaplica II.

19/. Domek Matki Boskiej

20/. Wieczernik

21/. Annasz

22/. Kajfasz

23/. Omdlenie

24/. Graduse i Piłat

Pieśń dzwonow kalwaryjskich.

Bije dzwon, bije dzwon
W rozgłośny skargi ton,
Gdzie lśni w obłokach krzyż,
Tam łka i płacze spiż.

Na zbożną ciszę pól,
Na kłosów złoty łan,
Płynie piesn ; płacz i ból,
Jak kewr ciekąca z ran.

Na zieleń bujną łąk,
Na szumem gwarny las
Leci piesn życia mąk,
Drgająca bólem w nas.

Wiatr niesie pieśni ton,
Aż echo wstaje z gór...
Zda się:gdzieś drugi dzwon,
Łka z ludzkich serc na wtór.

/Kronika Klasztoru w Kalwarji,II.str16

"Pieśni kalwaryjskie" znajdują się wydrukowane w "Spiewniku",wydanym w Krakowie przez Macieja Dziedzickiego 1802 r..Pieśni kalwaryjskie wydrukowane są po paragrafami 700 do 771.

W Księgę Pami
Narodowego
w poczet
Członków A
watelskim

Porządek scen misterium Maryjskiego

1/ Zwiastowanie

2/ Nawiedziny

3/ Narodziny i Hołd Trzech Króli

4/ Odnalezienie w świątyni

5/ Wesele w Kanie Galilejskiej

/ w międzyczasi uroczysty pochód z Domku Loretańskiego do głównego kościoła, przed kościołem N.M.Panna żegna się ze światem i błogosławi wszelkim tworom bożym/

6/ Zlot apostołów z najdalszych krańców świata
- a/ jedenastu apostołów bez Tomasza
- b/ podstęp Judasza i odegnanie go do otchłani
- c/ pogrzeb N.M.Panny w grobie przed głównymi wrotami kościoła
- d/ przybycie Tomasza z Indji; Tomasz nie wierzy apostołom, że N.M.Panna zasnęła, - cud z różami i liljami na grobie.

7/ Wniebowzięcie tryumf N.M.Panny

W Księgę Pami
Narodowego
w poczet
Członków
watelskim

Van Eyck /niepowiedziane który/

Obraz znajduje się w Rzymie /nie powiedziane gdzie/

Treść obrazu:

Madonna siedzi na tle zieleni, trzymając Dzieciątko na kolanach; po prawej mityczny jednorożec. W tle złotem za Madonną ugrupowane w trójkąt medaliony z przedstawieniem: 1/Zwiastowanie, 2/ Hołd Trzech króLów 3/ Wniebowstąpienie ; odpowiednikami ich po prawej są: 4/ Narodziny Chrystusa, 5/Chrystus ukazuje się M. Boskiej po zmartwychwstaniu, 6. Zbór apostołów, 7/Koronacja M. Boskiej

Katarzyna Emmerich: "Życie N.M.Panny" str 103,104 i 105

Ubiór M.Boskiej podczas Jej ofiarowania w świątyni.

Hołd Trzech Królów.

z "Życia N.M.Panny" Katrzyny Emmerich,str.69

"Na pietnaście lat przed narodzeniem Zbawiciela widzieli Trzej królowie w nocy 8-go grudnia po raz pierwszy wznoszącą się gwiazdę,zapowiedzianą przez Balaams/Numeri XXIV,17/,której oni i ich przodkowie tak długo wyczekiwali wpatrując się ciągle w niebo.

tą nieco starszymi od siebie) rówieśnikami z Młodej Polski wiąże się Szukiewicz postawami ideowemi bardzo znamiennemi: tragizm życia, w którem immanentnie zawarte są śmierć, ból i zło (Przybyszewski); buddyjska tęsknota do unicestwienia (Tetmajer); panteistyczne ekstazy pośród wielkiej przyrody (Kasprowicz); bodajże i do medytacyj metafizycznego pessymizmu Żuławskiego, dałoby się znaleźć analogje. Sama zresztą metafizyczna tematyka jest bardo znamienną dla tej wielkiej epoki polskiej poezji, która troszczyła się o rzeczy wieczne".

Hołd Trzech Królów.

To samo miało miejsce w Chaldei,w Mensora krainie, jednego z Trzech Królow.On także jak i inni astronomowie,idąc za wskazówką starożytnych podań,obserwował z wysokości piramidy drewnianej bieg gwiazd,i właśnie w w dzień Poczęcia Marji,wpatrując się w niebo,nagle wpadł w zachwycenie i stracił przytomność.Towarzysze jego zbliżyli się doń chcąc go ocucić,lecz długo nie mógł ich po znac.Widział gwiazdę z Dziewicą trzymającą berło,wagę,kłos i winne grona,i otrzymał wewnętrzne ostrzeżenie,ażeby kazał zaniechać ofiar z zywych dzieci

tą nieco starszymi od siebie) rówieśnikami z Młodej Polski wiąże się Szukiewicz postawami ideowemi bardzo znamiennemi: tragizm życia, w którem immanentnie zawarte są śmierć, ból i zło (Przybyszewski); buddyjska tęsknota do unicestwienia (Tetmajer); panteistyczne ekstazy pośród wielkiej przyrody (Kasprowicz); bodajże i do medytacyj metafizycznego pessymizmu Żujawskiego, dałoby się znaleźć analogje. Sama zresztą metafizyczna tematyka jest bardo znamienną dla tej wielkiej epoki polskiej poezji, która troszczyła się o rzeczy wieczne".

„Życie N.M.Panny" Katarzyny Emmerich - str.81 14

Anna w kilka dni przed swojem rozwiązaniem, oznajmiła Joachimowi, że czas jej porodzenia już niedaleki. Uwiadomiła także trzy swoje krrwniaczki: M a r a h ę, swą młodszą siostrę w Seforis, 2/ E n u ę, wdowę, siostr Elżbiety, mieszkającą na dolinie Zabulon, i siostrzenicę swoją Marję Salomę w Etsaidzie, zapraszając je do siebi

tą nieco starszymi od siebie) rówieśnikami z Młodej Polski wiąże się Szukiewicz postawami ideowemi bardzo znamiennemi: tragizm życia, w którem immanentnie zawarte są śmierć, ból i zło (Przybyszewski); buddyjska tęsknota do unicestwienia (Tetmajer); panteistyczne ekstazy pośród wielkiej przyrody (Kasprowicz); bodajże i do medytacyj metafizycznego pessymizmu Żujawskiego, dałoby się znaleźć analogje. Sama zresztą metafizyczna tematyka jest bardo znamienną dla tej wielkiej epoki polskiej poezji, która troszczyła się o rzeczy wieczne".

"Życie N.M.Panny" Katarzyny Emmerich,str 87.

Mieszkały podtenczas w świątani A n n a ,prorokini i N o e m i ,matka Łazarza,która później była mistrzynią Marji.

strzegłem coś z pozytywizmu. Ze swymi (zresz-tą nieco starszymi od siebie) rówieśnikami z Młodej Polski wiąże się Szukiewicz postawami ideowemi bardzo znamiennemi: tragizm życia, w którem immanentnie zawarte są śmierć, ból i zło (Przybyszewski); buddyjska tęsknota do unicestwienia (Tetmajer); panteistyczne ekstazy pośród wielkiej przyrody (Kasprowicz); bodajże i do medytacyj metafizycznego pessymizmu Żu-jawskiego, dałoby się znaleźć analogje. Sama zresztą metafizyczna tematyka jest bardo zna-mienną dla tej wielkiej epoki polskiej poezji, która troszczyła się o rzeczy wieczne".

Kalwarja - misterium

M a r i a znaczy po hebrajsku "Wywyższona" lub "Morze goryczy".

Encyklopedia Kościelna, tom XIII, str. 460.

...... Odtąd, przez cały czas ziemskiego życia Jezusa, już tylko cztery razy, i to chwilowo, występuje N.M. Panna w historji ewangelicznej:

1/ w Jeruzalemie, gdy się Chrystus zagubił i odnaleziony został między uczonymi w piśmie, których w dyspucie pokonał

2/ na godach w Kanie Galilejskiej /pierwszy cud Chrystusa/

3/ w Kafarnaum, gdy przybyła do domu, w którym Chrystus nauczał i gdzie usłyszała cierpkie słowa, wypowiedziane do jednego ze słuchaczów: "Któraż jest matka moja? i którzy są bracia moi A wyciągnąwszy rękę swoją na uczniów swoich, rzekł: "Oto bracia moi i matka moja".

4/ na Kalwarji pod krzyżem męki, gdy konający Chrystus polecił Ją w opiekę Janowi.

-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-o-

Po śmierci Chrystusa Pan na krzyżu, św. Jan, według zlecenia Pańskiego, "wziął N.M. Pannę w swą pieczę", jak mówi ewangelja t.j. do domu żyjącej jeszcze matki swej Salomy i bez wątpienia tamże pozostał przy niej, aż do jej smierci, która według podania nastąpiła w 47 lub 50 r. po narodzeniu Chrystusa w porze zgromadzenia się apostołów na pierwszy sobór jerozolimski, w czasie którego, jak świądczy św. Paweł /list do Galatow 2,9 / św. Jan mieszkał jeszcze w Jerozolimie.- Raz jeszcze potem /po Wniebowstąpieniu Pańskie Pismo św. /Dz. Apost. 1,14/ wspomina Marję Pannę wymieniając Ją w zgromadzeniu apostołów i wiernych czekających w wieczerniku na zesłanie Ducha św., gdzie - rzecz dziwna, ale

W danym razie przepatrzeć: Maynard: La Sainte Vierge, wyd. 2, Paryż 1878

Przegląd Katolicki, rocznik 1869, str. 8. – rozprawa ks. A. B.

Opowiemy treść „Legendy o Krzyżu" według starożytnego rękopisu „Księga o pokucie Adama", przechowywanego w bibl. Arsenału w Paryżu.

Set, trzeci syn Adama, którego Bóg dał pierwszym rodzicom naszym, aby ich pocieszył po stracie ukochanego Abla, był sprawiedliwym i bojącym się Pana. Ilekroć wspomniał tyrał grzech swego ojca, zawsze rzewnemi zalewał się łzami. Często w błogiem uniesieniu poszukiwał drogi prowadzącej do raju, tego ogrodu rozkoszy i szczęścia straconego. Pewnego razu natrafił na ścieżkę wiodącą ku niemu i szedł prosto do bramy, w której Bóg, jak nam wiadomo, postawił na straży swego Cheruba z mieczem ognistym. Widząc zbliżającego się Seta, lecz zarazem łzy i boleść, jaką przejęte było serce tego sprawiedliwego patriarchy, Cherubin nie pogroził mu zdala swym ognistym mieczem, owszem ukrył go i sam nieco ustąpił na stronę. Wiedział on, że cnotliwy Set nie przestąpi wcale przykazania Pańskiego i dlatego pozwolił mu zbliżyć się do samego progu podwoi rajskich. Set upadł na twarz i gorąco począł się modlić, a Cherub nie chcąc przeszkadzać jego modlitwie a razem pragnąc wypróbować jego posłuszeństwo, oddalił się wgłąb raju i ukrył w gęstwinie.

Pomału Set podniósł się i klęcząc przypatrywał ogrodowi szczęścia. Kwitnął on tak jak dawniej w zaraniu swego istnienia; nic się w nim nie zmieniło od tego czasu, tylko było w nim pusto i smutno, bo nie było żadnego stworzenia, któreby mu dodawało życia. Nie było w nim człowieka! Ta myśl wprawiła w zadumę Seta i po chwili miał widzenie. Ujrzał on zdala huczące wody potopu i widział jak gwałtownie zalewają i niszczą cały raj. Wszystko stało się ofiarą strasznego żywiołu, jedno tylko drzewo życia, splótłszy swoje ramiona z ramionami drzewa wiadomości złego i dobrego tak, że

teraz z niemi całość tworzył, wznosił się ponad powierzchnię otaczającego zalewu. Po chwili stopniowo ustąpiły wody i całe niebo tak, jako fale wodne, przeminęły, a miejsce, na którem rósł drzewo żywota, wyniosłem wzgórzem zaznaczało ponad całą raju przestrzenią. U stóp jego wzniesione potem będzie miasto nazwano Jerozolimą. Niebo zasępiło się powtórnie. Czarna noc pokryła ziemię, słońce odmówiło jasności, powstała straszna burza i znowu wpośród czarnych chmur i obłoków na szczycie tejże samej góry dojrzał nad grobowiną patryarchy cudowne swe drzewo; lecz teraz miało ono trzy ~~konary~~ konary, a w miejsce słodkich owoców, wznosiło skrwawione ludzkie ciało. I usłyszał Set głos wychodzący z niego: „Drzewo zgubiło człowieka, drzewo przyniesie mu zbawienie!"

Kiedy przyszedł do siebie Set, już teraz nic nie widział, prócz raju ziemskiego, co lśnił się w ciszy jak dawniej. Jednak z dala zbliżającego się powoli ku niemu Cherubina z mieczem opuszczonym ku ziemi i trzema nasionami w ręku. Anioł podszedłszy ku niemu, podając je mówił: „Oto masz trzy nasiona drzewa wiadomości złego i dobrego i drzewa żywota. Drzewo, które z tych nasion wyrośnie, wyda oliwę niezbędną na zagojenie ran całego świata. Gdy twój ojciec, najpierwszy z ludzi, ulegając prawu sprawiedliwości bożej, przeniesie się do krainy umarłych, zamknąwszy mu oczy, włóż w jego usta te nasiona przyszłej nieśmiertelności!".

Jako najdroższe skarby Set przechowywał troskliwie nasiona, które od anioła otrzymał. Upłynęło wiele lat od tej chwili. Sędziwy Adam coraz bardziej chylił się ku ziemi aż nareszcie umarł. Wtedy ukochany syn jego przypomniał sobie słowa cherubina, zamknął oczy ojca a do zakrzepłych jego ust włożył trzy cudowne nasiona. Gdy Adama złożono do grobu, trzy nasiona przyjęły się w ziemi, wypuściły korzenie i wyrosły z nich młode drzewka, łącząc wzajemnie swe gałęzie tak, że tworzyły jeden piękny krzak. ∟ Potem – arka

Gdy Mojżesz zmuszony uchodzić z Egiptu tułał się po pustyni pasąc owieczki swego teścia, Bóg ukazał mu się w krzaku, który gorzał ogniem a nie spłonął, i wezwał go po imieniu: „Mojżeszu, Mojżeszu!", aby mu powierzyć posłannictwo wyswobodzenia Izraela z niewoli egipskiej. Był to tenże sam krzak cudowny, który wyrósł z nasion

cherubinych na grobie Adama. Bóg kazał mu wziąć z niego trzy gałązki i z niego to powstała cudotwórcza różdżka Mojżeszowa, co tyle dokonała cudów i nigdy nie przestała być zieloną. Po śmierci Mojżesza włożono ją do Arki przymierza.

Upłynęło znowu lat tysiąc jako jedna chwila i Dawid, król-prorok, kierowany rozkazaniem Pańskiem, jakie w widzeniu proroczem otrzymał, wyjął różdżkę Mojżesza z Arki przymierza i zasadził ją obok swej cysterny na górze Syjońskiej. Kazał nawet dokoła niej postawić srebrne obręcze, aby bezpieczniej róść mogła. Wkrótce wyrosło z niej przedziwne drzewo; i miało ono trzy konary, każdy innego rodzaju a wszystkie z jednego pnia wyrastały. Tu często na tem wzgórzu, obok cysterny, siadywał król i śpiewał, tu opiewał swe psalmy i miewał prorocze widzenia.

Po śmierci Dawida, Salomon rozpoczął budowę świątyni Pańskiej. Pragnąc wszystko, co miał najkosztowniejszego i najmilszego złożyć na ofiarę Bogu, rozkazał ściąć ulubione drzewo ojca swego i zbudować z niego główną kolumnę w Sanktuarjum. Kiedy ścięto drzewo, wypłynęła z niego wonna i cudowna oliwa, przywracająca wzrok niewidomym i lecząca wszelkie dolegliwości i kalectwa; gdy zaś potem piękną kolumną stanęło w najwspanialszej świątyni na świecie, wydawało z siebie blask tak potężny, iż ta zmuszała do ustąpienia z kościoła wszystkich fałszywych proroków i nie pozwalała wchodzić do Sanktuarjum wszystkim bezbożnym kapłanom. Oburzyło to przeciwko niej złych ludzi. Fałszywi prorocy, przewrotni nauczyciele i wszyscy kapłani, niegodnie sprawujący święte posługi, ponieważ nie mogąc patrzeć na tę kolumnę, postanowili pozbyć się jej ze świątyni. Znienawidziwszy, wyrzucili pewnej nocy cudowną kolumnę, w jej miejsce wstawili inną, zwyczajną, a drzewo wrzucili do sadzawki Owczej i przywalili kamieniami, aby na wierzch wody nie wypłynęło. Lecz wybiło drzewo i tutaj okazało moc swoją. Corocznie tegożsamego dnia, którego je rzucono do wody, Anioł Boży zstępował z niebios, [illegible] poruszał sadzawkę, a każdy chory, najpierwszy wchodzący do wody po odejściu anioła, cudownie odzyskiwał zdrowie. Nazywano ją odtąd domem miłosierdzia („Piscina probatica" = Bethsaida).

Za czasów Chrystusa Pana postanowiono naprawić sadzawkę, oczyścić ją i uporządkować. Po spuszczeniu wody znaleziono na dnie jej drzewo Adamowe, przyciśnięte ciężkiemi głazami. Kopiący żydzi nie mogli poznać jeszcze całej jego cudownych własności. Wyjęli je za zwykłe drzewo, wynieśli za mury Jerozolimy i porzucili koło drogi, — niedaleko stamtąd płynął strumień Cedron. Przechodnie dążący do miasta, widząc nad brzegiem kawał drzewa, rzucili go przez rzekę i robili tym sposobem

mostek prowadzący z Jerozolimy do Oliwnego ogrodu.

Tak było, gdy na zegarze wieczności, wybiła godzina odkupienia.

Chrystus gotujący się na męki modlił się w Getsemani, zlewał się krwawym potem, gdy widział ciężkie brzemię grzechów ludzkich od Adama aż do ostatniego z śmiertelnych. – Na tych modlitwach pojmano Go. – Potrzeba było przechodzić przez mostek rzucony przez Cedron. Chrystus poznał tajemnicze drzewo i nie chcąc go podeptać nogami wolał przejść strumień w bród. Siepacze przeprowadzili Go wodą, stosownie do Jego woli; lecz wrzuciwszy na owe belki ponownie szydząc mówili mu: „Nie chciałeś iść po drzewie, – dobrze, przejdź teraz, ale jutro na niem umrzesz!". – Wkrótce, gdy wydano wyrok śmierci na Chrystusa, ci sami ludzie odciosali owo przyniesione drzewo, zrobili krzyż trójramienny i obciążyli nim niewinną ofiarę [illegible] Zbawiciela. Przybity do krzyża umarł dla zbawienia świata na Kalwaryi. Była to ta sama góra, którą Set widział wzniesioną nad wodami potopu; tu Adam pogrzebiony został a krew Chrystusa, spływająca po drzewie żywota, spadła na prochy praojca rodu ludzkiego!

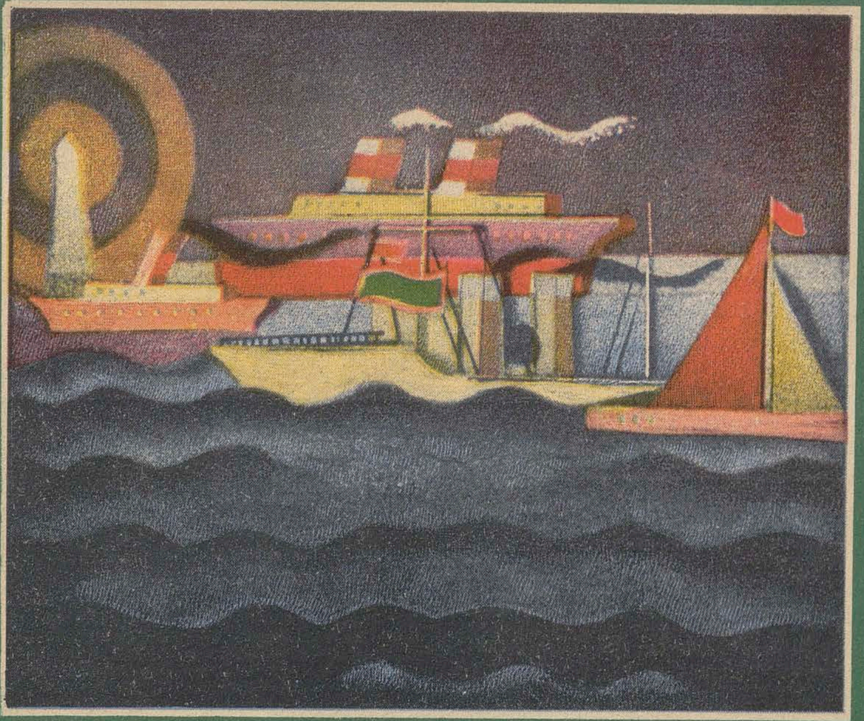
– – – – – – – – –

Tyle pięknych myśli i obrazów, jakie przesuwa przed oczyma naszego ducha, czynią legendę o krzyżu drogocennym zabytkiem twórczości religijnej z odległych bardzo czasów chrześcijaństwa. Chętnie nazwalibyśmy ją Poematem niedokończonym, pierwszą część jego pod napisem: Księga przeszłości krzyża, – podczas gdy druga część, Księga jego przyszłości, oczekuje dotąd genialnego mistrza, któryby dopisał rozwiązanie dziejów tego boskiego godła, co rozpoczynając historię rodu ludzkiego w postaci drzewa żywota, ma je także i zamknąć jako znak na niebie, uprzedzający dzień Sądu Ostatecznego!

Katarzyna Emmerich, w swoich medytacjach o męce Zbawiciela, spisanych przez Brentano i kilku innych autorów mistycznych, zaczerpali wiele myśli i obrazów z legendy o krzyżu, które jako w duchu czysto chrześcijańskim pozostałe, nie szkodzą ich pobożnym utworom.

Kościół jednak, nie widząc w nich krytycznej prawdy, której jedynie jest nauczycielem, zabrania pism tego rodzaju uważać jako prawdy i stawiać narówni z dogmatem

Ks. G. B.



TĘCZA

ILUSTROWANE PISMO MIESIĘCZNE

WRZESIEŃ • 1937

TAJEMNICA PISZĄCEJ RĘKI

Szanownych Czytelników, nadsyłających pismo do oceny grafologa, prosimy o *większe próby* pisma, piórem i atramentem (a nie ołówkiem), co najmniej 30 wierszy na papierze zwykłym. Kopie i odpisy nie są miarodajne. Trzeba podać także *wiek i zawód* lub środowisko autora listu i podpisać pseudonimem. Obszerną charakterystykę wysyła grafolog pocztą za nadesłaniem 2.50 zł na koszty.

Uwaga. Prosimy o wyraźne podpisywanie pseudonimów.

Rast. Pismo kulturalne i sympatyczne jasnością swoją i prostotą. Umysł giętki, i ruchliwy, o szerokim zakresie myśli i zainteresowań; wielka łatwość słowa, wypowiadania się, spostrzegawczość, zamiłowanie piękna. Wola stosunkowo dosyć silna i wyrobiona. Człowiek bardzo delikatnych uczuć, skłonny do egzaltacji — marzyciel i filozof in spe. Tak mniej więcej przedstawiał się Rast w swym piśmie półtora roku temu (data ostatniego listu). To długi okres czasu w życiu młodego człowieka! Nie wiadomo, jakie zmiany zaszły w jego charakterze. W każdym razie życzymy szczęścia i sposobności dalszego kształcenia się.

Dziki Bez jest miłą, starannie wychowaną panienką. Tryska z niej życie, humor, werwa. Ma dobrą pamięć, chęć do nauk, do czynu, oko pewne i rękę zręczną, zmysł linii, proporcji, jednym słowem zapowiada się dobrze jest obiecująca. Dziecko szczęścia! Od niej teraz zależy, od jej pilności i wytrwałości, czy nie zawiedzie położonych w niej nadziei, czy zdoła oprzeć się pokusom wielkiego miasta i swobody studenckiego życia. Takie właśnie istoty jak Dz. Bez są wystawione na największe niebezpieczeństwo.

Olgierd S. Prof. Brückner wyraził się ironicznie o Rodziewiczównie jako autorce: przyziemny ptak. Śmiem Pana zaliczyć także do kategorii istot przyziemnych ale bardzo pożytecznych. Nic dziwnego, że koledzy określają Pana charakter bardzo rozmaicie, nie jest on ustalony, to dopiero wiosna życia! Ale na ogół biorąc, niezły z Pana chłopiec. Skory do usług, łatwy w pożyciu, stara się nagiąć do warunków bytu, co Mu łatwo nie przychodzi. Nie buja w obłokach, panuje nad wyobraźnią i żywym temperamentem. Szczęść Boże na dalszą drogę życia!

Samozwaniec. Nie miał Pan innego, jeszcze gorszego papieru pod ręką?! Na takim słomiannym papierze pismo zalewa się i nie można rozpoznać cieniowania rzutów i lasek. Proszę o jeszcze jeden autograf na papierze gładkim, listowym, nie przeznaczony umyślnie do oceny.

Ciekawska. Na list Pani możemy odpowiedzieć prywatnie, za osobną zapłatą. Takich drażliwych kwestyj nie można roztrząsać na łamach „Tęczy". To nie licuje z charakterem tego pisma.

OD WYDAWNICTWA

Numer niniejszy jest ostatnim numerem III-go kwartału. Administracja nasza zwraca się przeto z uprzejmą prośbą do wszystkich P. T. Abonentów, którzy prenumeraty za ten kwartał nie uregulowali, aby uczynili to niezwłocznie. Przypominamy również tym wszystkim Abonentom „Tęczy", którzy otrzymali rachunki aby w początkach września przystąpili do regulacji zobowiązań wobec wydawnictwa.

Nowy sezon wydawniczy. Już w najbliższym numerze podamy w ogólnym zarysie plan wydawnictwa na rok przyszły. Jak już bowiem w jednym z poprzednich numerów donosiliśmy, okres wyboru premiów zostanie poważnie przyspieszony. Pragniemy bowiem zapewnić wszystkim Abonentom możność uzyskania premii jeszcze przed Świętami Bożego Narodzenia.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

DZIEŁA RELIGIJNE — PUBLICYSTYKA

PROF. DR KAROL ADAM: *Jezus Chrystus.* Oryginalny przekład Ks. Dr Stefana Grelewskiego z czwartego wydania niemieckiego: Jesus Christus von Karl Adam. Augsburg 1935, Haas und Grabherr. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 438. Zł 7.50.

STANISŁAW ADAMSKI, Biskup Katowicki: *Podstawy Pracy Stowarzyszeń Akcji Katolickiej.* Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. Książnica Akcji Katolickiej Nr. 24. S. 59. Zł 1.—.

KS. DR EUGENIUSZ DĄBROWSKI. *Proces Chrystusa,* wyd. 2 poprawione i uzupełnione. Księża Pallotyni.

KARDYNAŁ FAULHABER: *Żydostwo i Chrystianizm.* Kazania adwentowe. Przekład Ks. Dr. Stefana Grelewskiego z wydania niemieckiego, które ukazało się pt. „Judentum, Christentum, Germanentum" w wydawnictwie Graphische Kunstanstalt A. Huber, München. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 94. Zł 1.50.

ADAM GOCŁAWSKI: *Katolicy i radio.* Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. Biblioteczka Akcji Katolickiej Nr. 48. S. 20. Zł 0.50.

AUGUST KARDYNAŁ HLOND, PRYMAS POLSKI: *Listy pasterskie.* Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 203. Zł 6.50.

JAN KALAN: *Zdobyć świat dla Chrystusa.* Nakł. Komitetu Organizacyjnego Międzynarodowego Kongresu Chrystusa Króla. Poznań. Okładkę projektował Wł. W. Spychalski. S. 159. Zł 2.—.

PIOTR LIPPERT S. J.: *O człowieku religijnym.* Autoryzowany przekład z niemieckiego J. Włodarkiewiczowej z II części książki „Vom guten Menschen", wydany u Herdera, Freiburg i/Br. Okładkę projektował Wł. W. Spychalski. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 251. Zł 4.—.

JÓZEF MŁODOWIEJSKI: *Prawda o „wiciach".* Biblioteczka Akcji Katolickiej. Poznań. S. 35. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej.

KS. EMIL KANTAK: *Franciszkanie Polscy,* tom I, 1237—1517. Zł 10.—. Nakł. Prowincji Polskiej OO. Franciszk., Kraków.

Katolicka Myśl Wychowawcza. Pamiętnik II. Studium Katolickiego w Wilnie w dn. 28. VIII. — 1. IX. 1936 r. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 536.

Niedziela. Opracował JÓZEF ODEGA. Apostolstwo Liturgiczne pod red. Ks. Dr Stanisława Brossa. Poznań. S. 15.

BERNARD PAWLAK: *Czerwone niebezpieczeństwo. Prawda o komuniźmie.* Nakł. Komitetu Międzynarodowego Kongresu Chrystusa Króla. Poznań S. 56. Zł 0.50.

KS. DR FRANCISZEK SAWICKI: *Filozofia miłości.* Wydanie drugie. Przekład z niemieckiego wydania: Philosophie der Liebe. Verlag Ferdinand Schöningh. Padeborn. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 126. Zł. 1.50.

DR MIECZYSŁAW SKRUDLIK: *Maria z Magdali w Ewangelii, legendzie i sztuce.* Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 140. Okładkę projektował Wł. W. Spychalski. Zł 3.—.

Sprawozdanie z działalności za r. 1936 Katolickiego Związku Kobiet. Poznań.

KS. JAN STEPA: *Komunizm a światopogląd katolicki.* Nakł. Komitetu Międzynarodowego Kongresu Chrystusa Króla. Poznań. Okładkę projektował Wł. W. Spychalski. S. 78. Zł 1.50.

KS. DR JAN STEPA: *Kuszenie nowoczesnego człowieka.* Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 95. Zł 1.50.

KS. PROF. DR ALEKSANDER WÓYCICKI: *Praca Społeczna w Parafii.* Szkic historyczno-społeczny. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. Książnica Akcji Katolickiej Nr 25. S. 199. Zł 3.50.

ANNA ZAHORSKA. *Ilustrowane żywoty świętych polskich.* Inspektorat Salezjański, Warszawa.

JENERAŁOWA JADWIGA ZAMOYSKA: *O wychowaniu.* Nowe wydanie. Przejrzał i poprawił Ks. Dr Stanisław Bross. Nakł. Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 488. Zł 6.—.

DZIEŁA NAUKOWE

DR JÓZEF BOROWIK. *Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego — I.* Czasopismo angielskie. Odbitka z mies. Drogi Polskie, nr. 4/3.

DR JÓZEF BOROWIK. *Neutralność Skandynawii.* Odbitka z mies. Przegląd Współczesny.

DR ANTONI MOSEK, i ST. ZWIREN. *Żywioł obcy w życiu gospodarczym Pomorza.* Zesz. 2 *Prac Kartograficzno-statystycznych.* Zł 2.50. Instytut Bałtycki, Gdynia.

STEFAN WERNER. *Przemysł rolny na Pomorzu* (rozp. z pracy zb. Stosunki rolnicze na Pomorzu) Zł 5.—. Instytut Bałtycki, Gdynia.

POWIEŚĆ

CHARLES BRAIBANT. Marliza (Le roi dorx), przeł. W. Rogowicz. Wyd. 2 po konfiskacie. Zł. 6.—. Rój, Warszawa.

ANTONI DĘBCZYŃSKI. *Haszysz czarnego lądu.* Zł. 7.—. Rój.

HENRYK JEWASIŃSKI: *Pamiętnik z Ahmed-Nagar,* Indie Wschodnie r. 1918. Zł 1.50. Autor.

ENGENIA KOBYLIŃSKA: *Niespodzianki Małżeństwa.* Zł 5.—. Rój.

JACK LONDON: *Martin Eden.* 2 t. Powieść. Rój.

TADEUSZ DOŁĘGA MOSTOWICZ. *Ich dziecko.* Zł 8.—. Rój, Warszawa.

ELIZA ORZESZKOWA. *Z różnych sfer,* t. I. Geb. i Wolff, Warszawa.

STANISŁAW RODECKI. *Zemsta Martineza.* Powieść. Zł 7.—. Rój.

ALINA ŚWIDERSKA: *Królowie.* Powieść z życia i epoki Ryszarda Wagnera, cz. I, Król bez ziemi. Zł 9.—. Gł. Bibl. Polska, Kraków.

P. G. WODEHOUSE. *Dziękuje Jeeres!* Przeł. J. Sujkowska. Zł 5.—. Rój.

IRENA ZARZYCKA: *SAMOTNICY.* Zł 3.—. Rój.

POEZJE

HELENA SZYMKOWIAK. *Na wiosnę.* Poezje. Zł 0.60. (Autorka).

ZOFIA REUTT-WITKOWSKA. *Ołtarz wniebowzięcia.*

RÓŻNE

EMIL DROONBERG. *Wyścig naokoło świata.* Przeł. Dr J. P. Zajączkowski. Zł 5.—. Rój, Warszawa.

DR J. GRABOWSKI: *Sztuka ludowa w Polsce.* Przew. po wystawie, zorganizowanej przy współudziale Muz. Nar. w War. Inst. Prop. Sztuki, Warszawa.

JEAN HANKISS et L. MOLNOD-MÜLLER: *Anthologie de la poêsie Hongroise.* Editions du Sagitaire, Paris.

JAN REYCHMAN. *Przewodnik po Podhalu, Spiszu, Orawie i północnej Słowacji.* 7 mapek orientacyjnych. Zł 5.80. Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa.

ZOFIA STAROWIEYSKA - MORSTINOWA: *Kamień i woda.* Wrażenia z Jugosławii. Nakład Naszelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Poznań. S. 116. Reprodukcja wg książki: Vojeslav Molè, Ivan Mestrović. Kraków 1936. Zł 2.—.

Rocznik literacki za rok 1936, pod red. Zofii Szmydtowej. Zł 10.—. Instytut Literacki, Warszawa.

Zjazd Młodzieży Polskiej z Westfalii i Nadrenii w Essen dn. 13. 6. 37. Berlin.

tecza.

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK

ROK XI • WRZESIEŃ • 1937 • Nr 9

SPIS TREŚCI

NOTATKI - - - - - - - - - - - - - - - - 5
K. WROTNY-KLIMOWICZOWA: Tajemnica człowieczeństwa - - 7
BOLESŁAW RUDZKI: Program Wielkiej Japonii - - - - 11
KS. WACŁAW TWORKOWSKI: Szwajcaria na rozdrożu - - - 15
JANUSZ JABŁOŃSKI: Drogowskazy - - - - - - - - 19
MACIEJ SZUKIEWICZ: Wskrześmy misterium Maryjskie w Kalwarii Zebrzydowskiej - - - - - - - - - - - - - 21
ADOLF NOWACZYŃSKI: Po ostatnich występach Pana Sieroszewskiego - - - - - - - - - - - - - - 31
Słowacki - - - - - - - - - - - - - - - - 39
JERZY PIETRKIEWICZ: Ballada o dworcu kolejowym - - - 44
EDWIN HERBERT: Krzew róży - - - - - - - - - - 45
DR BOŻENA STELMACHOWSKA: Południca - - - - - 49
JÓZEF CHMARA: Obrazki paryskie - - - - - - - - 53
KAZIMIERZ PLUCIŃSKI: Jan Christian Smuts - - - - - 57
ZYGMUNT GAŁECKI: W imię solidarności - - - - - - 65
Zagadnienia aktualne: Niezawisły Zakon Dobrych Templariuszy - 67
Kobieta w raju sowieckim - - - - - - - - - - - 68
Tępienie „zwyrodniałej sztuki" w Niemczech - - - - 69
T. K.: Kobieta pionierką masonerii - - - - - - - - 71
F. S.: Robot obdarzony inteligencją - - - - - - - - 72

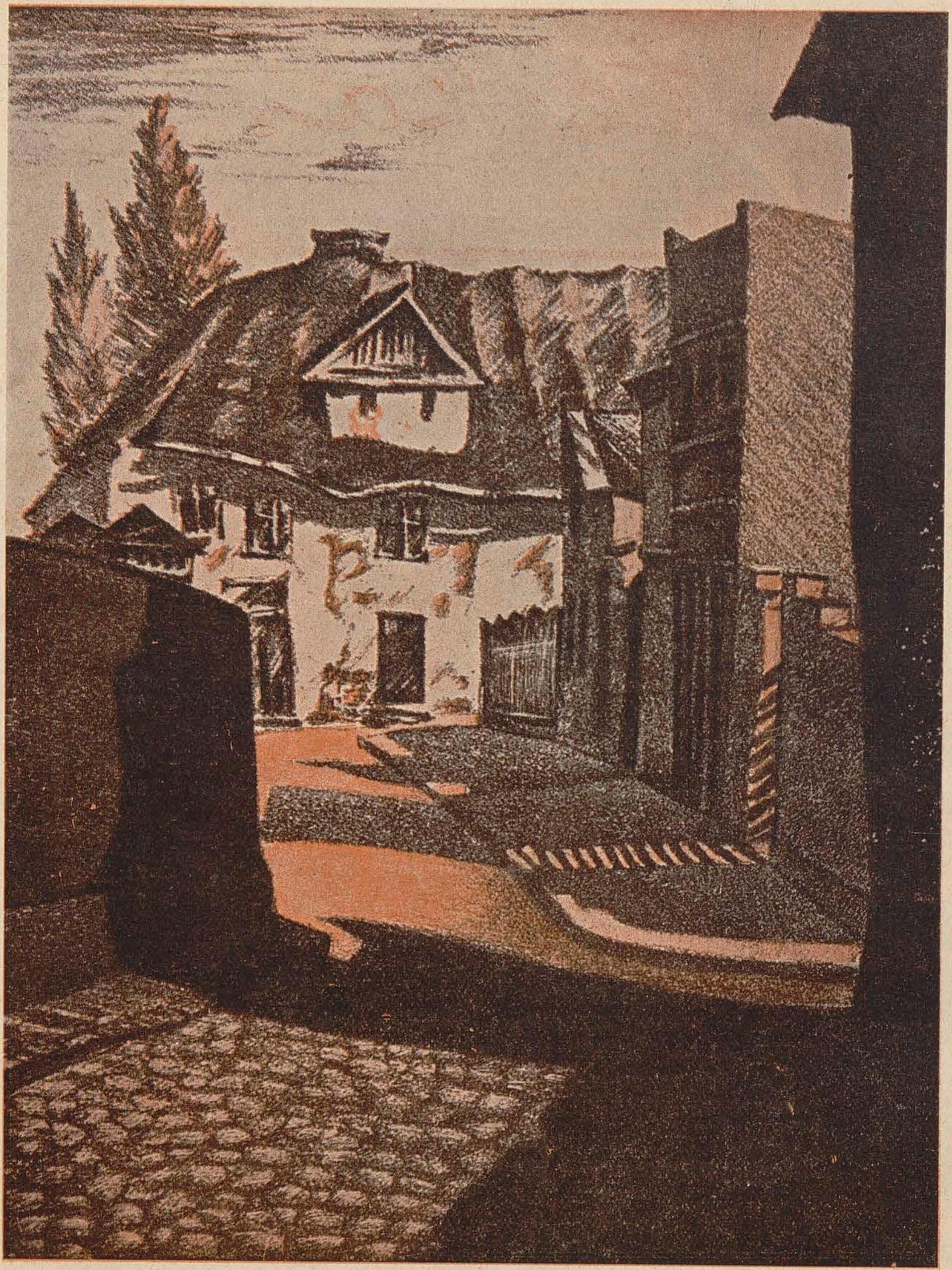
PRZEGLĄDY

ARTEM: Kronika miesięczna - - - - - - - - - - 75
Perpetuum mobile strajków - - - - - - - - - - 78
Przegląd WYDAWNICZY: Nowe dzieło Ks. Arcyb. Teodorowicza 79
TADEUSZ KRASZEWSKI: Na marginesie - - - - - - - 83
Z aktualnej satyry - - - - - - - - - - - - - 85
KAZIMIERZ PLUCIŃSKI: Spacer po globusie - - - - - 86

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Konkurs krajoznawczy — Rozrywki umysłowe — Grafologia — Humor

NA OKŁADCE KOMPOZYCJA H. CZAMANA POD TYTUŁEM „WODA" • REDAKCJA POZNAŃ AL. MARCINKOWSKIEGO 22 • RED. J. KISIELEWSKI



Dom zwany „Korabiem" w Grodzisku Wlkp. — Cz. Borowczyk

N O T A T K I

NIEZDROWE STOSUNKI PRACOWNICZE. W ostatnim czasie bardzo często dochodzą wiadomości o nadużyciach, jakich dopuszczają się pracodawcy, nawet we większych firmach w stosunku do pracowników. Korzystając ze złej dla bezrobotnych koniunktury na rynku pracy, właściciele i kierownicy przedsiębiorstw nie stosują się do istniejących ustaw i przepisów. Uderza przy tym niesłychanie niska skala zarobków. Pensje pracownicze i biurowe, zwłaszcza kobiet, zaczynają się od 30,— zł miesięcznie. Przeciętna cyfra uposażenia dla tej kategorii pracowniczej waha się w granicach od 90 do 100 zł miesięcznej pensji. Ale to nie wszystko. Samowolne przedłużanie czasu pracy do dziesięciu i więcej godzin dziennie zdarza się dość często. Zdarzają się również wypadki kasowania wakacyj prawnie przewidzianych. Trzeba również wspomnieć o fatalnych nieraz i niezgodnych z najprymitywniejszymi wymaganiami higieny pomieszczeniach dla pracowników, co powoduje liczne zachorzenia, przede wszystkim gruźlicę. Czytelnikowi tej notatki nasunie się oczywiście zaraz pytanie: „Dlaczego skrzywdzeni nie upominają się o należne prawa?" Otóż w tym cała rzecz. Nie upominają się dlatego, że pierwsze upomnienie i interwencja czynnika urzędowego przywróci wprawdzie zlekceważone prawo, ale spowoduje również w następstwie zwolnienie pracownika z posady. Nie chcąc więc narażać się w dzisiejszych, tak trudnych czasach na tę ostateczność, liczne rzesze pracowników muszą znosić pokrzywdzenie. Potrzebna tu jest szeroka a samodzielna akcja czynników do tego powołanych. Przede wszystkim inspektorów pracy, którzy może nie dość dokładnie pilnują tych spraw. Potrzebna jest również czujność czynników społecznych, zwłaszcza katolickich. Postulat katolicki brzmi: *sprawiedliwość w życiu społecznym!*

NA SZCZYTACH HUMANITARYZMU. Polska urzędowa agencja telegraficzna przyniosła ostatnio z Hiszpanii dwie wiadomości, które rzucają nowe światło na charakter dzieła prowadzonego przez wojska rządowe. Pierwsza wiadomość donosi o rozkazie, według którego wojska czerwone na froncie madryckim obowiązane są do dobijania rannych. Chodzi o rannych, co do których można przypuszczać, że są ranni śmiertelnie. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby zrozumieć, co taki rozkaz znaczy w praktyce. Druga wiadomość doniosła o odkryciu planu użycia przez wojska czerwone bakteryj chorobowych, jako narzędzia walki. Ujęto emisariuszy, którzy, zaopatrzeni w naboje z bakteriami, przekradali się na tyły wojsk gen. Franco, aby rozniecić epidemie. Gdy się czyta te dwie wiadomości, człowiek nie może zdobyć się nawet na właściwą reakcję. Cóż to za potworność! Cóż za bestialstwo! Idea, jaką reprezentują wojska czerwone, takimi faktami najlepiej, najdosadniej się charakteryzuje. Jest to idea, która nie ma w sobie nic ludzkiego. Jest to monstrualna podłość, która śmie twierdzić, że reprezentuje właściwy i twórczy humanitaryzm!

ŻYDZI ORGANIZUJĄ BOJKOTY. Zaszedł ostatnio wypadek, który zasługuje na omówienie i baczną uwagę. „Teatr Polski" z Poznania wyje-

chał na sezon letni do Krynicy. Od samego początku, od pierwszych przedstawień okazało się, że wobec teatru poznańskiego zastosowali żydowscy kuracjusze zdecydowany bojkot. Teatr tylko niesłychanymi wysiłkami i poświęceniem dyrekcji oraz całego zespołu dotrwał do końca sezonu i z olbrzymimi deficytami wrócił do Poznania. Bojkot Żydów spowodowany był kilkoma przyczynami: przede wszystkim tą, że teatr pochodził z Poznania; następnie sfery żydowskie stwierdziły, że bojkotują teatr jako rewanż za uniemożliwienie swego czasu w Poznaniu przedstawienia „Cyrulika Warszawskiego"; po trzecie jeden z aktorów Teatru Polskiego na zjeździe aktorstwa miał postawić wniosek o wprowadzenie paragrafu aryjskiego do organizacji artystów scen polskich. W następstwie tych przesłanek Żydzi zorganizowali bojkot. Motywy tego bojkotu można zrozumieć, ale trzeba równocześnie zrozumieć ten bezprzykładny fakt, że Żydzi stanowią w uzdrowiskach polskich 70—80% kuracjuszy, że w środowiskach inteligencji są czynnikiem na tyle silnym, iż mogą wpływać na poczynania kulturalnych placówek polskich. Z faktu, jaki się zdarzył w Krynicy, należy wyciągnąć dwa wnioski, jeden doraźny, że Teatr Polski w Poznaniu powinien zostać otoczony teraz tym większą sympatią polskiego społeczeństwa, i drugi, ogólniejszego znaczenia, że należy się zabrać jak najszybciej do porządków w dziedzinie życia kulturalnego w Polsce.

NOWE EKSPERYMENTY? Prasa codzienna doniosła, że odpowiednie władze zastanawiają się nad nowymi zmianami w umundurowaniu młodzieży szkolnej. Oczywiście nie wiadomo, w jakim kierunku te zmiany pójdą. Należy wszakże zapytać, czy nie należałoby wreszcie na lat kilka zawiesić wszelkie reformy i eksperymentowanie w szkolnictwie. Szkolnictwo nasze potrzebuje naprawdę spokoju i odpoczynku po tych wszystkich próbach i doświadczeniach, jakie na nim robiła polityka szkolna Jędrzejewiczów.

DWIE MIARY. Uczciwość myślenia nie ma dziś wielkiego waloru obiegowego. Jaskrawy przykład na stwierdzenie tego faktu można zaczerpnąć z nr. 26 „Steru", „tygodnika żydowskiego dla spraw polityki i kultury". W numerze tym wydrukowano na wstępie wielki artykuł pt. „Naród" walczy z „Żydokomuną". Naród w cudzysłowie to naród polski. Ten cudzysłów przed pojęciem narodu pojawia się w formie wyzwisk i insynuacji w treści całego artykułu, jest pojęciem rzeczy, która nie istnieje, i która powinna być raz wreszcie zlikwidowana. Ale na tej samej stronie tego samego numeru w zapowiedziach o kongresie syjonistycznym w Zurichu pojawia się nomenklatura narodowa. Tylko, że tym razem w odniesieniu do żydowstwa. I tym razem w sensie jak najbardziej pozytywnym. Wniosek z tych dwóch enuncjacji należy wyciągnąć taki: jeśli o Polsce mowa, termin „naród" jest pojęciem nie istotnym, dyskusja nad nim jest bezprzedmiotowa, gdy jednak mowa o Żydach, „naród" jest słowem i słusznym i uprzywilejowanym. Rzecz prosta, Żydzi to naród wybrany, im przysługują prawa, których inni powinni być pozbawieni!

Redaktor naczelny „Tęczy" p. J. Kisielewski wyjechał na dłuższy urlop za granicę, i rozpocznie normalne urzędowanie w początkach października.

K. WROTNY-KLIMOWICZOWA

TAJEMNICA CZŁOWIECZEŃSTWA

Studium filozoficzno-religijne

Poniżej drukujemy wyjątek z obszernej pracy, jaka pod tym tytułem ukaże się w nakładzie Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

...Kim jest człowiek? Na to, aby go poznać, trzeba nawiązać żywy stosunek z tym, co stanowi jego człowieczeństwo. Co jest tym człowieczeństwem? Przecież skrywamy w sobie wszystko, z czego składa się świat i życie. Niejedną zasadę minerałów dźwigamy w utajonych związkach chemicznych, wegetujemy z roślinami, pulsujemy czerwoną krwią z istotami zwierzęcymi, z nimi cierpimy, walczymy, rodzimy się i umieramy, a to, co zasadniczo odróżnia nas od nich, wolna wola i zdolność abstrahowania pojęć, bywa niejednokrotnie zakwestionowane przez te lub inne kierunki naukowe. Wiem o tym, że poglądy, zaprzeczające wyłączności tych wartości człowieka, nie są słuszne, ale gdyby nawet udało mi się rozprawić z nimi, za mało byłoby wywalczonych cech czystego człowieczeństwa dla ścisłej budowy dokładnego pojęcia o nim. Jako człowiek nie mogę określić, na czym moje człowieczeństwo polega, i nie powie mi o tym ani nauka, która mnie wciąż poszukuje, ani religie, które błyskawicami z zaświatów oświeciły niejedną tajemnicę człowieka, ale nie odpowiedziały na jego zasadnicze pytanie, tak dalece, że po wiekach dociekań dziś niejeden z wykształconych ludzi nie wzdraga się np. na buddyjskie utożsamienie istoty człowieka i zwierzęcia. I jak uprzednio w poszukiwaniu czystego pojęcia bóstwa, tak teraz w osiągnięciu czystego pojęcia człowieczeństwa znów okazaliśmy się bezradni.

Ustaliwszy jednak, że najpewniejszym sposobem poznania jest przeżycie, musimy dojść do wniosku, że o istocie człowieczeństwa mógłby nam powiedzieć ten, kto je przeżył. Czy był taki?

W Ewangelii, gdzie każde słowo i gest każdy jest odbiciem jakiejś rzeczywistości wiecznej, gdzie nawet drugorzędne postacie muszą bezwiednie stwierdzać prawdę niezawodną, znajdujemy jedyne w dziejach wskazujące oznajmienie Piłata: Ecce homo, *Oto człowiek!*[1])

Kim był ten — człowiekiem nazwany?

W purpurze szyderczej i w koronie cierniowej, związany, zbity, sponiewierany, przed chwilą powiedział, że królestwo Jego nie jest z tego świata i że przyszedł na świat po to, aby dać świadectwo prawdzie.

Oto człowiek!

Czemu ta nazwa dana Mu właśnie w tym momencie?

Przecież On niedawno czynił rzeczy wielkie, cudów dokonywał niesłychanych, porywał tłumy, zabierał ludzi w oddaniu się śmiertelnym objawiał tajemnice nieba! Czyż miara tych spraw była mniej istotnym sprawdzianem człowieczeństwa? Nie wiemy. Myśmy tam z Nim nie byli,

1) Jan 19, 5.

być nie mogli. On był wtedy ponad nami. *Żaden człowiek nie czynił rzeczy jako ten człowiek* — wydają Mu świadectwo świadkowie. Może moc Jego w tych rzeczach była więcej niż ludzką.

I czy słuszną byłoby rzeczą określać człowieczeństwo nadzwyczajnością w człowieku, mocą przekraczającą granice przyrodzone, a chociażby niezwykłymi zdolnościami, geniuszem? Owszem, człowiek posiada nieobliczalną głąb niezwykłych i niepojętych możliwości, ale fenomenalne zjawiska jego duchowo-fizycznej organizacji nie będą typowym wskaźnikiem wyłączności ludzkiej, gdyż mogą łączyć się z nadludzkimi i poniżej ludzkimi. Kiedy cień św. Piotra uzdrawiał chorych, on sam świadczył, że moc, promieniująca od niego, pochodzi nie z jego istoty, ale z Ducha Świętego, którego jest skromnym narzędziem. I na drugim biegunie możliwości człowieka możemy dostrzec w przedziwnych zjawiskach jasnowidzenia, telepatii itd. wspólną naturę z odczuciem psów jako też innych przedstawicieli życia zwierzęcego.

To, co odróżnia człowieka pomiędzy wszystkimi istotami, musi być właściwe tylko jemu, musi być jedynym znakiem, po którym można poznać tego wyjątkowego mieszkańca wszystkich światów podniebnych i zasłonecznych.

Co będzie tym znakiem? Czy naprawdę krwawa purpura i korona cierniowa?

Naprawdę. Jak długo i szeroko rozciąga się sfera istot żyjących, tak nie znajdziemy w niej prócz człowieka nikogo, komu by chodziło o prawdę nie z tego świata, kto by gotów był dla niej cierpieć i umrzeć. Być może, że mrówki, pszczoły lub inne stworzenia mają swoją jakąś prawdę życiową, za którą gotowe staczać boje i ginąć całymi gromadami. Ale pozażyciowe dobra zna tylko człowiek. I z tamtych to wartości, których ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce nie pojęło nigdy, kształtuje się jego ideał — druga wyłączna własność i właściwość człowieka.

Te nie wypowiedziane, nie ujęte nigdy do końca, nigdy nie zbudowane rzeczywistości duchowe muszą posiadać bezwzględne odpowiedniki w warstwach czysto ludzkiej natury człowieka, gdy ich nie podważyły protesty i zaprzeczenia jego właściwości zwierzęcych. Słabiej lub silniej wyczuwane w pierwotnych religiach, razem z nimi zanikają, aby powstać w formach coraz to rozleglejszych i istotniejszych, aż dochodzą pełni swego objawienia w Bogu-Człowieku, pełni tak całkowitej, tak pokrywającej najdalsze możliwości bytu, że wpatrzony w ich przestworza chrześcijanin w świętej pewności woła ze św. Pawłem: *Któż nas tedy odłączy od miłości Chrystusowej?* Kto odłączy od tego, co jest istotniejsze niż wszystko, co człowiek swoim nazywa, od tego, co jest najbardziej rdzenne i rzeczywiste ze wszystkich pewników bytu; od tego, na co cała natura czysto ludzka odzywa się wielkim potwierdzeniem, odnajdując na koniec samą siebie, uniezależnioną od elementów wspólnych ze światem potrójnego królestwa istot ziemskich, w odkrytym dla siebie prawie przynależności do Jedynego Królestwa Ducha?

Prawo to nadaje człowiekowi przyjęta przez niego prawda nie z tego świata i kształtowany nią ideał. Tylko te wartości decydują o czystym człowieczeństwie istoty tak złożonej ze wszystkich istniejących pierwiastków życia jak człowiek. One to ujawniają sfery bytu, w któ-



Wacław Świerczyński „Ecce homo"

rych nie bywa żaden inny mieszkaniec ziemi. W walce o nie i w osiągnięciu ich wysokiego dobra uczestniczą te moce, które są wyłącznym przywilejem człowieka: wolna wola, wiara natchniona, myśl oderwana od podłoża ziemskiego.

Jeżeli patrzymy z dumą na czterdziestopiętrowe domy ludzkie, to sprawiedliwość każe nam przyznać, że gmach mrowiska nie mniej pięter posiada i że dzieło to w zakresie inteligencji mrówek jest czymś nie mniejszym niż drapacz chmur zbudowany przez ludzi. Jeżeli po latach żmudnej pracy, drogą rozłożenia pierwiastków chemicznych, dowiemy się o właściwościach jakiejś odmiany materii, to możemy zauważyć, że zwie-

rzę wiedziało już o tym dawniej. Ale czyn św. Franciszka poza człowiekiem nie ma przykładu w dziejach istot zgromadzonych pod słońcem. I może dlatego... zwierzę, znając te rzeczy swoją jakąś bezsłowną wiedzą, z każdym człowiekiem stawia się na wspólnej płaszczyźnie, pod panowaniem wspólnego prawa: zwycięstwa silniejszego i ustępstwa słabszego, a dopiero przy spotkaniu ze świętym zmienia swój stosunek i podchodzi do człowieka w należnej pokorze.

Ktoś powiedział, że człowiek począł się wtedy, gdy po raz pierwszy spojrzał w gwiazdy i zdobył się na myśl abstrakcyjną. Może się począł..., ale staje się człowiekiem wówczas, gdy prawdą zaświatową przekształca siebie i swój świat na modłę jej praw, świadcząc o niej życiem i śmiercią.

Albowiem prawda owa nie daje się bezboleśnie. Obca naturze fizycznej i wytworom świata ludzkiego, samym zjawieniem swym musi wszcząć walkę w człowieku i dokoła niego, aż obudzone sprzeczności, sprzeciwy, a z nimi wrogie ich moce wydźwigną krzyż, na którym pozbywa się resztek fizyczności i wraca na podbój życia Duchem.

Ta prawda ma swoją krew serdeczną i zlana jest nią ziemia męczenników, najpłodniejsza z ziem. Ma swoją myśl, którą widzimy świecącą poza wszystkimi nawałnicami i gorszymi od nich oparami bagnisk. Ma swoją duszę, która przenika nas głębiej niż powietrze, aż do prapoczątku istności naszej, gdzie przypomina się głębinom słowami znanymi z przedświtów człowieczeństwa: *W Nim był żywot, a żywot jest światłością ludzi, a ciemności jej nie ogarnęły* (Jan 1, 4).

Człowiek, nieśmiertelne tchnienie Boże, poznaje swoją prawdę przez obudzenie się (ożywienie się) w nim tego tchnienia Bożego, które stanowi istotę człowieczeństwa i jego dostojeństwo bezmierne. Im szerzej i prawdziwiej dociera człowiek swoim życiem boskości, tym pewniej przeżywa istotne człowieczeństwo. Kto przeżył je rozleglej, głębiej do ostatecznych granic, do niewypowiedzianego końca, jak Ten, którego boskość nie była — jak w nas — tylko śladem z trudem odszukiwanym w namułach natury zmieszanej, lecz własną, świadomą istotą, przejawiającą się w czystej naturze ludzkiej?

Jezus Chrystus wie, czym jest człowieczeństwo, jako Ten, który wie wszystko, i jako Ten, który je przeżył do dna, i może każdemu z nas powiedzieć jak onego czasu Natanaelowi: *Gdyś był pod drzewem figowym, widziałem cię* (Jan 1, 48). I jak przedtem przy poszukiwaniu Boga, tak teraz przy poszukiwaniu człowieka nikt z nas nie pozna go, nie odszuka go w sobie, nie osiągnie sam siebie bez Tego, który jest „światłością ludzi". Treść swoją najgłębszą odczytujemy w Nim drogą wspólnego przeżycia, tj. naśladowania Go od głębi.

BOLESŁAW RUDZKI

PROGRAM WIELKIEJ JAPONII

Od kilku lat w szeregu pism polskich czytamy, że wybuchające od czasu do czasu zatargi pomiędzy Chinami i Japonią są dziełem obcych czynników, które stale podjudzają przeciwko sobie oba te narody i niejako pchają Chiny do walki z Japonią. Czynnikami tymi bywają: raz Sowiety, które poprzez wojnę z Chinami usiłują odciągnąć uwagę Japonii od swoich granic; drugi raz Wielka Brytania a nawet Stany Zjednoczone, które, czując się zagrożonymi na Pacyfiku i w Azji postępami Japonii, pragną ją osłabić przez uwikłanie jej w długotrwałą i wyczerpującą wojnę z Chinami.

Doprawdy, śmiać się chce nieraz człowiekowi z podobnych wywodów. Śmiać się chce dlatego, że kubek w kubek to samo czyta się w prasie niemieckiej. A to ostatnie wskazuje nam najlepiej na źródło tak bałamutnej, jak powyższe, i zupełnie fałszywej interpretacji wypadków azjatyckich.

I nic dziwnego. Przecież pomiędzy bezkarnym łamaniem przez Niemcy Traktatu Wersalskiego i ich zbrojeniami a japońską akcją w Chinach istnieje jeden i ten sam związek przyczynowy. Oba te państwa korzystają ze sprzyjających im okoliczności i realizują swoje programy. Niemcy na gwałt zbroją się i przygotowują do późniejszych imperialistycznych wystąpień; Japonia zaś, przygotowana już od dawna do nich, realizuje kolejno punkty swego programu, mającego ją kiedyś uczynić panią i władczynią co najmniej ⅓ części świata.

Imperialistyczny program japoński składa się z niewielu punktów etapowych. Każdy jednak punkt — to krok olbrzyma.

Pierwszy — to opanowanie i zagospodarowanie Mandżurii, powszechnie uważanej dzisiaj w Japonii za drogocenną kolonię, która w przyszłości ma być jedną z głównych podstaw japońskiego panowania w Azji.

Drugi — to ujarzmienie Mongolii wewnętrznej i podporządkowanie jej interesom polityki japońskiej.

Trzeci — to aneksja Chin Północnych.

Czwarty — to umocnienie się na całym terytorium państwa chińskiego i całkowite podporządkowanie Chin Japonii.

Piąty i ostatni — to wyrzucenie Europejczyków z Sjamu, Indyj holenderskich, Indyj brytyjskich, ze wszystkich wysp Oceanu Spokojnego oraz generalna rozprawa z Rosją i w konsekwencji ostateczna realizacja hasła „Azja dla Azjatów".

Skoro mówimy o programie nie od rzeczy będzie powiedzieć słów parę o jego twórcy, czasie i okolicznościach, w jakich on powstał.

Twórcą programu „Wielkiej Japonii" jest wybitny generał i polityk japoński baron Giiszi Tanaka, który w opracowanym przez siebie memorandum *„w sprawie polityki pozytywnej w Mandżurii,* wręczonym 25 lipca 1927 roku Mikadowi, wykreślił na szereg pokoleń drogę polityce japońskiej, mającą Japonię doprowadzić do panowania nad światem.

Skoro treść rzeczonego memorandum gen. Tanaki doszła do wiadomości europejskiej opinii publicznej, rząd japoński uznał za wskazane zaprzeczyć jej autentyczności. Ale zaprzeczenia tego poważnie brać nie

można, gdyż wypadki, jakie od kilku lat toczą się na Dalekim Wschodzie, nie tylko nie są w sprzeczności z wytycznymi owego memoriału, ale nawet w całej rozciągłości potwierdzają wszystkie jego tezy oraz toczą się drogami, jakie właśnie w nim są wykreślone. A że prócz tego wywodom memoriału nie można odmówić wewnętrznej logiki i zgodności z istotną treścią współczesnej polityki japońskiej, przeto należy memoriał ów uważać za rzecz autentyczną i jako takiej poświęcić nieco uwagi.

Memoriał powstał pod wpływem rozważań układu sił politycznych w świecie i roli w nim Japonii, która, wyparta z kontynentu azjatyckiego pod presją dyplomatyczną Stanów Zjednoczonych i zobowiązana układem waszyngtońskim do poszanowania niepodległości i całości Chin, czuła się wtedy bardzo pokrzywdzoną, tym bardziej, że jej stosunki gospodarcze i społeczne z roku na rok stale się pogarszały i nie było żadnych widoków na ich polepszenie w drodze ewolucji.

Tanaka zdawał sobie dobrze sprawę z wewnętrznych stosunków Japonii i konieczności ich zmiany. A że zmianę tę mogła przynieść tylko nowa polityka Japonii, polityka szukania i zdobywania wolnych terenów dla nadmiaru ludności japońskiej, przeto radził on rozpocząć jak najprędzej politykę *„pozytywną"* (czytaj: zdobywczą) w Mandżurii i w Mongolii, które to prowincje, jego zdaniem, winny stać się podstawą operacyjną do stopniowego opanowania przez Japonię całych Chin i do ustabilizowania panowania japońskiego w Azji. Generał Tanaka trafnie przy tym przewidywał, że podbój Mandżurii i Mongolii może być dokonany bez żadnych poważniejszych przeszkód ze strony mocarstw europejskich, byle tylko ku temu wybrano odpowiednią chwilę.

Za najważniejszy punkt swego programu gen. Tanaka uważał konieczność opanowania całych Chin. Stanowisko swoje tak uzasadnia we wspomnianym memoriale:

„Rozporządzając zasobami całych Chin, będziemy mogli opanować Indie, Azję Centralną, Azję Mniejszą, a nawet Europę. Ale opanowanie Mandżurii i Mongolii jest pierwszym krokiem, który należy zrobić, jeśli rasa Yamato ma się uwybitnić na kontynencie azjatyckim. Zwycięstwo ostatnie pozostanie przy kraju, który będzie posiadał wystarczającą ilość zasobów żywnościowych. Rozwój przemysłu jest możliwy tylko w państwie, które ma zapewnioną wystarczającą ilość artykułów pierwszej potrzeby i surowców. Rozwój pełen jest możliwy tylko w państwie, które panuje na wielkim terytorium. Jeśli będziemy prowadzić politykę pozytywną, rozmnażając nasze prawa w Mandżurii i w Chinach, to wszystkie te warunki, konieczne do stworzenia wielkiej potęgi, przestaną być zagadnieniami".

Wywodom powyższym nie można odmówić słuszności. Istotnie. Jeśli Japonii uda się opanować i podporządkować swej woli tak wielkie państwo na kontynencie azjatyckim, jakim są Chiny, bogate we wszelkie zasoby materialne i ludzi, to wykonanie pozostałych punktów programu „Wielkiej Japonii" będzie tylko kwestią czasu. Na razie stwierdzić należy, że Japonia, wykorzystując bardzo zręcznie sprzyjające jej polityce okoliczności i międzynarodowe komplikacje, zrealizowała już dwa punkty swego programu: opanowała Mandżurię i ujarzmiła — Mongolię wewnętrzną. Z kolei przystępuje już do realizacji trzeciego punktu, mianowicie do podboju Chin Północnych.

Podbój Chin Północnych ma dla dalszej polityki japońskiej znaczenie zasadnicze. Chiny Północne pochłaniają dzisiaj 35—45 proc. całego przywozu japońskiego do Chin, a są zdolne pochłonąć go daleko więcej. Równocześnie posiadają olbrzymie bogactwa mineralne, jak węgiel ka-

mienny, rudę żelazną, sól oraz mają wszelkie warunki do rozwinięcia na wielką skalę uprawy bawełny. Obliczono, że całe Chiny posiadają zapasów węgla 248 miliardów 287 milionów ton, w tym około 44 miliardy 917 milionów ton antracytu.

Z zapasów tych 53,53 proc. przypada na Chiny Północne i to: na prowincję Szansi — 127 miliardów 127 milionów ton (51,25 proc.), na Hopei — 3 miliardy 71 milionów ton (1,23 proc.), na Szantung — 1 miliard 639 milionów ton (0,95 proc.). Powyższe wyjaśnia chyba najlepiej, dlaczego Japonia, kraj ubogi w surowce, a szczególnie odczuwający dotkliwie brak węgla i żelaza, dąży tak gwałtownie do opanowania bogatych w te minerały Chin Północnych.

Ale chłonność gospodarcza Chin Północnych i ich skarby mineralne — to dopiero jeden powód do opanowania ich przez Japonię. Drugim powodem jest ich położenie strategiczne, będące niejako kluczem do dalszego podboju całych Chin. A to jeszcze nie wszystko. Chiny Północne wraz z przylegającą do nich Mongolią wewnętrzną stanowią równocześnie najidealniejszą drogę do strategicznego okrążenia posiadłości rosyjskich na Syberii Wschodniej i do odcięcia ich pod Irkuckiem od pnia macierzystego państwa rosyjskiego. Jest to szczegół bardzo ważny dla przyszłej rozgrywki Japonii z Rosją, rozgrywki, która jest już nieunikniona i z której zwycięskie wyjście Japonii jest warunkiem koniecznym do pełnej realizacji programu „Wielkiej Japonii".

Ale przygotowawcza działalność Nipponu do pełnej realizacji wielkiego programu Tanaki nie ogranicza się do akcji w Chinach. Zaobserwować można ją także i w innych ośrodkach, objętych memoriałem, mianowicie w kierunku Filipin, na których penetracja Japonii z roku na rok coraz bardziej wzmaga się, budząc wielkie zaniepokojenie w Stanach Zjednoczonych.

Penetracja japońska na Filipinach jest prowadzona planowo i z wielką ostrożnością. Japonii bowiem chodzi o mocne usadowienie się na Filipinach za pośrednictwem niewielkiej ilości swoich obywateli dobrze jednak zorganizowanych i świadomych roli, jaka im została wyznaczona do spełnienia przez rząd japoński.

Przyznać trzeba, że dzięki zręcznej propagandzie i serdecznym stosunkom, jakie rząd japoński i działacze japońscy utrzymują z wybitnymi osobistościami filipińskimi, wpływy japońskie na Filipinach stale rosną. Uwidacznia to najlepiej ustosunkowanie się zarówno rządu filipińskiego, jak i działaczy i polityków filipińskich, do zagadnienia chińskiego, które nie tylko nie wzbudza wśród nich żadnego zainteresowania, ale nawet spotyka się z ich strony z wyraźnym lekceważeniem. Zjawisko to jest tym bardziej uderzające, że chińskie prowincje południowe są najbliższym sąsiadem Filipin i jako takie są niejako skazane samymi warunkami naturalnymi na ścisłą współpracę gospodarczą z nimi. Tymczasem tak nie jest. Handel Chin z Filipinami jest znikomy i ma tendencję do dalszego zmniejszania się na rzecz handlu japońskiego, który znów stale rośnie i skutecznie konkuruje już z handlem amerykańskim.

Co z tego wszystkiego może wyniknąć w najbliższym czasie — łatwo odgadnąć. W okresie tarć wewnętrznych — nieuniknionych zresztą w tak młodym państwie, jakim są właśnie Filipiny — może łatwo wytworzyć się taka sytuacja, która Japonii pozwoli wystąpić czynnie na Filipi-

nach w „obronie słusznych i zagrożonych interesów Nipponu", co zresztą zakończyć się może całkowitym podbojem Filipin przez Japonię.

Przygotowania japońskie do pełnej realizacji programu „Wielkiej Japonii" widoczne są także i w głębi Azji, mianowicie w Afganistanie i w Syberii Środkowej.

W Afganistanie Japończycy zdołali się już dość dobrze zadomowić. Wszystkie instytucje przemysłowe i koleje, a przede wszystkim kopalnie, znajdują się w ich rękach. Oni także zreorganizowali armię afgańską, uzbrajając ją bronią własnych fabryk i podporządkowując ją całkowicie swoim wpływom.

Z Afganistanu wpływy japońskie powoli, ale też nieustannie, przedostają się do Turkiestanu, a stamtąd do Syberii Środkowej, z której Japończycy myślą stworzyć pod swoim protektoratem niepodległe państwo.

Pomysł stworzenia z Syberii niepodległego państwa nie jest koncepcją nową. Już od wielu dziesiątek lat istnieje w samej Syberii ruch, który za zadanie stawia sobie stworzenie tamże wolnego państwa syberyjskiego.

Przed wojną ruch ten, mimo że był dość silny i miał charakter rewolucyjny, nie rozwinął się jednak w organizację rewolucyjną, lecz dążył legalnie do stopniowego osiągnięcia swego celu. W czasie wojny wybuch rewolucji rosyjskiej zdawał się zapowiadać pomyślne rozwiązanie wolnościowych dążeń Sybiraków. Nie doszło jednak do tego. Władze bolszewickie przystąpiły energicznie do tępienia wszelkich niepodległościowych prądów syberyjskich i mimo zaciętego oporu, szybko złamały i stłumiły ruch wolnościowy ludności syberyjskiej. Doszczętnie wytępić go jednak nie zdołały. Tli się on nadal, podniecany stale od szeregu lat przez Japonię, która za pomocą niego pragnie rozsadzić w Azji spoistość państwa rosyjskiego i w ten sposób ułatwić sobie realizację jednego etapu swego ambitnego i światoburczego programu.

Jak już powyżej zaznaczyłem powodzenie i pełna realizacja programu „Wielkiej Japonii" są uzależnione od opanowania przez Japonię całych Chin. W chwili układania powyższego programu przez gen. Tanakę wszystko przemawiało za tym, że opanowanie zanarchizowanych Chin przez Japonię nie napotka na żadną poważniejszą przeszkodę ze strony samych Chińczyków. W istocie wówczas, tj. dziesięć lat temu, nie spotkałoby się z poważniejszym oporem Chińczyków. Ale te 10 lat przyniosło jednak wiele zmian w Chinach, z których najważniejszym jest sformowanie się nowego państwa chińskiego z rządem w Nankinie. Państwo to postawiło sobie za zadanie odrodzenie i zjednoczenie Chin i przyznać trzeba, że w tym kierunku już wiele zdziałało, przeprowadzając w krótkim czasie wiele doniosłych reform, które stopniowo czynią Chiny pewną potęgą na kontynencie azjatyckim.

Ale odrodzenie Chin to przekreślenie programu „Wielkiej Japonii", bo nowe Chiny nie rezygnują bynajmniej z dawnych swoich prowincyj, położonych na północ od rzeki Żółtej i wieńca państw lennych, jakimi były zawsze otoczone dawne Chiny. A więc z Mandżurii, Mongolii (wewnętrznej i zewnętrznej), Turkiestanu chińskiego, Tybetu, Korei i Anamu, czyli z całego szeregu państw i prowincyj, które dzisiaj już są w całkowitym władaniu Japonii lub pod wpływami japońskimi.

Rzecz zrozumiała, że Japonia nie może za żadną cenę pozwolić na przekreślenie swego programu „Wielkiej Japonii". Przekreślenie takie jest bowiem równoznaczne z jej śmiercią.

KS. WACŁAW TWORKOWSKI

SZWAJCARIA NA ROZDROŻU

Nie trzeba być głębokim socjologiem, żeby spostrzec, że obecnie w Europie dokonują się zasadnicze przeobrażenia i że Szwajcaria ze swoją archaiczną polityczno-społeczną strukturą musi się do nich w ten lub inny sposób ustosunkować. Chodzi mianowicie o wprowadzenie w życie tej zupełnie nowej koncepcji państwa totalnego, o której dawniej, jako o realnym zjawisku socjologicznym, nie było nawet mowy. Zapewne, gdyby ta nowa mistyka państw totalnych, którą są one owładnięte, nie była „na eksport" przeznaczona, to sąsiadujące z nimi państwa nie miałyby racji czuć się tą zmianą wewnętrznej politycznej i społecznej struktury zagrożone. Tak jednak nie jest, czego najlepszym dowodem ich rola na Iberyjskim półwyspie. Przecież zarówno Moskwa, jak też Berlin z Rzymem otwarcie biorą udział w hiszpańskiej wojnie domowej, przekształcając ją w ten sposób w „wojnę domową międzynarodową", ten nieznany dotąd w sprawie międzynarodowym dziwoląg.

A jakże, zapytajmy teraz, do tych nowych totalnych organizmów politycznych odnosi się Szwajcaria, jak odnosi się ona do straszliwej hiszpańskiej tragedii, w której i północny jej sąsiad i południowy tak aktywną grają rolę? Czy krwawo na ziemi Cerwantesa zwalczające się ideologie i wśród jej mieszkańców podatny teren znalazły, żywszą wywołując reakcję? Jeśli tak, to będzie to najlepszym dowodem, że nie została ona przez kryzys, który Europa obecnie przechodzi, oszczędzona. Któż znający tutejsze stosunki zaryzykuje twierdzenie, że Szwajcarzy z zimną krwią wiadomości zza Pirenejów nadchodzące przyjmują i że wśród nich totalne ideologie nie znalazły zwolenników? Na pewno nikt. Szwajcarja obecnie wcale do oazy pokoju nie jest podobna, a pisząc to stwierdzamy tylko fakt, który nie sposób poddawać w wątpliwość.

Że była ona ongiś azylem dla politycznych „przestępców" i ze swej gościnności w tym względzie słynęła — wiadomo. My, Polacy, o tym dużo moglibyśmy powiedzieć, gdyż nasi rodacy schronienia tu po rozbiorze Rzplitej (Kościuszko) i po nieudanych powstaniach szukali, tak, iż naród nasz olbrzymi dług wdzięczności względem ojczyzny Tella zaciągnął. A jakżeż liczna była w przeciągu XIX-go wieku i w początkach XX-go rosyjska lewicowa emigracja, która tu czasu swego na próżno nie traciła, ale przygotowywała palny materiał, by nim fundamenty olbrzymiego imperium Romanowych w powietrze wysadzić. Ta tak bardzo pożądana dla nich chwila porachunków z caratem nadeszła. W 1917-ym r. niemiecki rząd w plombowanych wagonach przewiózł ze Szwajcarii Lenina z jego generalnym sztabem rewolucjonistów.

Otóż nasuwa się siłą rzeczy pytanie: Czy pobyt na helweckiej ziemi tak licznie reprezentowanej skrajnej lewicy — pozostawił swe ślady? Odpowiedź łatwa: *Facta loquuntur.* Po dojściu bolszewików do władzy i po przybyciu do Szwajcarii ich handlowej misji z Berzinem na czele, wybuchły tu rozruchy (strajk kolejowy) i gdyby nie bohaterskie zachowanie się naprędce zmobilizowanych oddziałów wojskowych, drogo by Szwajcaria swą zbyt czasem daleko posuniętą tolerancję przypłaciła. Rządowi udało się władzę w swych rękach utrzymać, ale któż może być tak naiwnym, żeby przypuścić, iż „jaczejki" bolszewickie swej kreciej roboty zaprzestały?

Zapewne, partia komunistyczna, prawnie zresztą ukonstytuowana, jest tu bardzo nieliczna, bo do parlamentu, liczącego 147 posłów, dwóch zaledwie zdołała posłów przeprowadzić, ale frakcja socjalistyczna, która się obecnie z 50 posłów składa, często z komunistami ręka w rękę idzie, a lewe jej skrzydło zupełnie jest zbolszewizowane[1]. Bo nie trzeba zapominać o jednym: idylla parlamentarna w Szwajcarii, kiedy to partie historyczne monopol na kierowanie życiem politycznym kraju miały, dawno się już skończyła. Socjalizm, który w 1890-ym r. żadnej prawie roli w parlamencie związkowym nie odgrywał, posiadając jednego zaledwie posła, w 1911-ym r. liczył już ich 17-tu, po wojnie zaś, gdy zostały w Szwajcarii wprowadzone proporcjonalne wybory, 41 i 2 komunistów, a obecnie, jakeśmy przed chwilą zaznaczyli, ekipa socjalistyczna składa się z 50-ciu członków.

Jak z wyżej przytoczonych cyfr wynika, partie lewicowe coraz większe robią w Szwajcarii postępy, nic więc dziwnego, że partie tzw. burżuazyjne zapominając o walkach, jakie dawniej na tle religijnym prowadziły — szwajcarski *Kulturkampf* dorównywał przecież w zaciętości niemieckiemu, o ile go nie przewyższał — o znalezienie punktów stycznych z katolikami się postarały, by się przed naporem czerwonej międzynarodówki skuteczniej bronić. W tym to leży przyczyna przegrupowań politycznych stronnictw w Szwajcarii, a zarazem wzmocnienia wpływów Kościoła, który posiada z natury rzeczy jasno sformułowany program reform społecznych, czym niezmiernie partiom historycznym: radykałom i liberalnym demokratom imponuje, nie mówiąc o najnowszej kreacji powojennych stosunków: nacjonalistach, którzy się za korporacyjnym programem wypowiadają.

Ta dygresja na temat rozwoju „partyjnictwa" politycznego w Szwajcarii, jakby się wyrazili amatorowie totalnych systemów, którym się wydaje, że jednomyślność da się naprawdę osiągnąć, była konieczna, żeby obecne ustosunkowanie się Szwajcarów do nowych prądów, a *in concreto* do tragedii hiszpańskiej, łatwiej zrozumieć. Bo po tym, co się powiedziało, nie potrzebujemy nawet specjalnie podkreślać, dlaczego wypadki, których teatrem jest półwysep iberyjski, ujemnie bardzo na tutejsze stosunki polityczne wpłynęły i Szwajcarię o podniesienie politycznej temperatury przyprawiły. Wystarczy czytać lewicowe dzienniki, które uformowanie szwajcarskiego *„frente popular"* zupełnie poważnie traktują, i propagują energicznie czerwony mocno *„le secours rouge"* (przez władze zresztą w jesieni rozwiązany), by się o tym przekonać. Zresztą jest inny jeszcze sposób, by się o ścisłości tego co piszemy upewnić. Należy przyglądnąć się reakcji, jaką rząd federalny, na ogół bardzo cierpliwy, bo świadomy swej siły, na wywrotowe zamierzenia okazuje. Strajk kolejowy z 1918-go r., o którym wyżej pisaliśmy, nie przeszedł w Bernie bez wrażenia, władze bowiem zdały sobie doskonale sprawę z tego, że choć odniosły zwycięstwo, kąkolu przez Berzina posianego nie wypleniły.

Stąd konieczność zmiany paragrafów konstytucji co do represji wobec antypaństwowej agitacji, stąd też tzw. *Lex Haeberlin*, które zostało 31-go stycznia 1922-go r. pod głosowanie w formie referendum podane, ale 24-go września z ujemnym werdyktem narodu się spotkało. Rząd nie dał za wygraną i po dłuższej przerwie podjął próbę wypełnienia braków prawodawstwa karnego, występując 13 października 1933 r. po raz drugi z projektem tzw. *protection de l'ordre public*. Referendum odbyło się 11-go

[1]) W Radzie Państwa — le Conseil d'Etat — są za to socjaliści w liczbie znikomej, bo na 44 radców (po 2 z kantonu) — jest ich zaledwie 3.

marca 1934-ego r. Naród suwerenny zadecydował, że nie życzy sobie żadnych zmian. Sytuacja rządu stawała się coraz trudniejsza, gdyż zdawał on sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie powolna, ale stała infiltracja doktryn subwersywnych normalnemu funkcjonowaniu maszyny państwowej grozi. Toteż zdobył się on na krok energiczny i już nie bezpośrednio do narodu zaapelował, ale do Zgromadzenia Narodowego z odezwą i z projektem obostrzeń w walce o „porządek wewnętrzny i publiczne bezpieczeństwo" wystąpił *(La protection de l'ordre public et de sûrété publique)*. Miało to miejsce 7-go grudnia 1936 r. To *„arrêté fédéral"* zawiera 32 artykuły i, umiejętnie stosowane, może w znacznej mierze walkę z komunizmem ułatwić, choć b. Prezydent Szwajcarii p. Muzy, który jest teraz bardzo wpływowym posłem, w swoim czasie projekt rozwiązania partii komunistycznej przedłożył i wraz ze swymi zwolennikami uważa, że rząd zbyt wiele w stosunku do wywrotowej propagandy okazuje łagodności.

Komunizm jest więc tym wrogiem nr 1. szwajcarskiej demokracji, którą się umiejętnie posługuje, by ją później, gdy się okazja nadarzy, zdławić. Czym bowiem jest wolność w rozumieniu czerwonych jej apologetów, wiedzą od dawna rosyjscy socjaliści, wypełniający w Sowietach więzienia, wiedzą też hiszpańscy polityczni romantycy w rodzaju b. prez. Zamory, b. prezesa ministrów Lerroux, b. amb. de Madariagii i tylu innych.

Ale tu powstaje niezmiernie drażliwe pytanie, mianowicie czy i prawicowe organizacje również dla demokracji szwajcarskiej niebezpieczeństwo stanowią, innymi słowy, czy oprócz sowieckiej totalnej ideologii i te dwie inne, jedna z Rzymu, druga z Berlina rodem, znalazły w narodzie szwajcarskim wyznawców?

W odezwie swej z 7-go grudnia 1936 r., o której wyżej była mowa, Rada Związkowa wyraźnie zaznacza, że ani akty prawodawcze, ani przestarzały kodeks karny z 4-go lutego 1853 r. nie dają rządowi do ręki dość skutecznej broni przeciw agitacji komunistycznych i innych antydemokratycznych ugrupowań, *„contre les attaques que les organismes communistes et autres groupements antidemocratiques dirigent contre nos institutions et la sûrété de l'Etat en général"*[2]). Jakie to „autres groupements" ma Rada federalna na myśli? Zapewne tzw. fronty. Brak miejsca nie pozwala nam ich działalności bliżej uwzględnić, podajemy więc tylko parę danych, obiecując sobie z czasem do tej ciekawej kwestji powrócić. Otóż najpierw zaznaczamy, że niektóre z frontów zbyt ostentacyjnie sympatie swe względem obcych wzorów manifestowały, co tradycyjnie nastrojonych Szwajcarów musiało do głębi oburzać. Pozostawmy jednak tę niedaleką zresztą przeszłość na stronie i podkreślmy raczej z naciskiem, że przed paru miesiącami dokonał się fakt bardzo dla życia wewnętrznego kraju ważny.

Oto 12-go lutego 1937 r. wszystkie drobne organizacje nacjonalistyczne znikły, a pozostały tylko na romańską Szwajcarję: *„l'Union Nationale"* pod przewodnictwem p. G. Oltramare z Genewy, *spiritus movens* tego ruchu; na niemiecką: *„Die nationale Front"*, na czele którego stoi p. R. Henne; na włoską na koniec: *„La Lega Nationale"*, której kierownictwo spoczywa w rękach p. A. de Riva[3]). Te trzy organizacje mają ustalić program zgodnej współpracy na terytorium całego Związku, co im więcej powagi doda

2) Kanton genewski w głosowaniu ludowym (referendum) w dniach 12 i 13 czerwca 1937 r. przyjął projekt prawa, na mocy którego zostaje zabroniona wszelka akcja partii komunistycznej i jakichkolwiek jej ekspozytur, oraz ekspozytur Kominternu (M-ki komunistycznej). Kanton Neuchâtel przyjął już poprzednio projekt takiego samego prawa, a inne kantony badają sprawę wprowadzenia analogicznych przepisów.

3) L'Action nationale. 20-ego lutego 1937 (Genève).

i wpływy ich rozszerzy. A w jakim kierunku ma iść ich przyszła działalność? Czy dotychczas wrogo się one do demokracji i federalizmu, tych dwóch dogmatów helwetyzmu, odnosiły? Co do federalizmu, to uznają go one bez zastrzeżeń, co zaś się demokracji tyczy, to we wszystkich publikacjach frontowych, na wszystkich ich zebraniach jest ona stale jako kult liczby, *„le culte du chifre"* przedstawiana i dobrą sławą się nie cieszy. Za to reforma życia publicznego w duchu faszystowskim u nich na poczesnym miejscu figuruje, choć nie ulega wątpliwości, że z ruchem korporacyjnym Szwajcarię chrześcijańscy demokraci (romańscy) zaznajomili, demonstrując *„ad oculos"* swe doskonale funkcjonujące organizacje w romańskich kantonach.

Ale między reformą korporacyjną tutejszych nacjonalistów a tutejszych „chadeków" zdaje się zachodzić różnica; ma się wrażenie, że pierwsi chcieliby jej nadać charakter totalny, drudzy z Berra i Leyvraz na czele (z duchowieństwa wielką rolę w tym ruchu odgrywa ks. Savoy z Fryburga) od zbyt daleko sięgającej ingerencji państwa się odżegnują[4]; jeśli jednak o formułę chodzi, to i jedni i drudzy identycznej używają: *La Suisse chrétienne, fédéraliste et corporative.*

Ale jeśli projektowana reforma w duchu korporacyjnego ustroju żadnego niebezpieczeństwa dla istnienia Szwajcarskiego Związku nie stanowi, to rasizm jest dla niej oczywiście zabójczy. Zapewne, ostatnio jeszcze Führer zapewniał p. Schulthesa, b. Prezydenta Związku, że nie myśli wcale neutralności szwajcarskiej gwałcić, logiczną jednak konsekwencją hitlerowskiej doktryny jest przyłączenie niemieckich kantonów do *Reichu*, jak jest nią również *Anschluss* i zabór terytoriów z nim sąsiadujących, przez ludność niemieckiego pochodzenia zamieszkałych.

A czy z południa również grozi Szwajcarom niebezpieczeństwo? Wiadomo, że Mussolini, będąc jeszcze posłem do parlamentu, w jednej ze swych mów, co gromkim echem po świecie się odbiły, powiedział, że Gothard powinien stanowić północną granicę Włoch, odkąd jednak został odpowiedzialnym mężem stanu ani razu groźby tej nie powtórzył. Przeciwnie, rząd włoski stale podkreśla, że chce jak najserdeczniejsze stosunki przyjaźni z Bernem utrzymywać.

* * *

Wojna światowa wywołała tak daleko idące przeobrażenia i politycznej i ekonomiczno-społecznej natury w ogromnej większości narodów wszystkich kontynentów, a szczególnie Europy, iż rzeczą byłoby nie do pomyślenia, gdyby Szwajcarja w samym jej środku położona pozostała na te zmiany nieczuła. Toteż zareagowała ona na swój sposób, a jaki będzie dalszy rozwój stosunków w krainie Tella, tego oczywiście nikt z pewnością przewidzieć nie potrafi. Czy rzeczywiście zdoła ona obronić istotne cechy helwetyzmu: demokrację i federalizm w tej formie, w jakiej figurują one w konstytucji z 1848 r., czy też w myśl korporacyjnych doktryn ją zmieni, a w takim razie czy totalny system zaprowadzi, czy też u samego ich źródła tj. w Encyklikach *„Rerum Novarum"* i *„Quadragesimo Anno"* zaczerpnie natchnienia? — oto szereg pytań, które każdemu muszą nasunąć się pod pióro. Jedno jest pewne: Szwajcaria przechodzi bardzo ostry kryzys, z czego zresztą wszyscy jej głębiej myślący obywatele zdają sobie doskonale sprawę.

---

[4]) Liberté syndicale. La Démocratie truquée — par R. Leyvraz. 5 mars 1937.

JANUSZ JABŁOŃSKI

DROGOWSKAZY

Dojście do władzy hitleryzmu w Niemczech obok przemian natury politycznej i gospodarczej, wywołało szereg poważnych zadrażnień i konfliktów natury religijnej i moralnej. Nie jest to czymś dziwnym, nowym. Z reguły bowiem w państwach totalnych obserwujemy zjawisko przejściowego naprężenia stosunków między Kościołem i państwem.

Przykład faszystowskiej Italii wskazuje wszakże, że przy pewnym minimum dobrej woli, dojście do porozumienia z Kościołem, który tak szczególnie przychylnie patrzy na odrodzeniowe ruchy nacjonalistyczne nie przedstawia żadnej trudności.

Toteż konflikt wywołany przez hitleryzm, walka wydana już nie Kościołowi lecz *chrześcijaństwu*, a będąca zaprzeczeniem Boga i Objawienia, dążąca do wprowadzenia na to miejsce kultu rasy, jednostki, i narodu, przeprowadzana z najostrzejszą bezwzględnością, z innych wypływa źródeł.

Prześladowania katolicyzmu w Niemczech, stosowane przy użyciu metod poniżających w wysokim stopniu godność ludzką tak wobec kapłanów, jak i społeczeństwa skłoniły Ojca św. Piusa XI do wydania Encykliki „O położeniu Kościoła w Niemczech"[1]).

Aczkolwiek słowa Ojca św. odnoszą się do wiernych w Rzeszy Niemieckiej, jednakże w chwili obecnej, kiedy na każdym niemal odcinku życia spotykamy się z tragicznym pomieszaniem pojęć, zupełną obojętnością i zapoznaniem wartości najwyższych i najpełniejszych, rzucają słowa te snop światła bardzo silny na czasy dzisiejsze, i dla całego Kościoła są drogowskazem, który w kotłowisku współczesności prowadzi ku *Prawdzie* ku *Bogu*.

Wskazując na zabiegi Stolicy Apostolskiej — w oparciu o zawarty z Rzeszą w r. 1933 konkordat — o utrzymanie pokoju religijnego i zachowanie praw przyznanych Kościołowi, piętnuje Ojciec św. jednostronne złamanie, bez żadnych skrupułów przez rząd Rzeszy przyjętych zobowiązań.

Piętnuje błędy jakie popełnia hitleryzm przez negację wiary w prawdziwego Boga, a krzewienie ateizmu wierzeń rasowych państwowych i narodowych.

„Kto wynosi ponad skalę wartości ziemskiej rasę albo naród, albo państwo, albo ustrój państwa, przedstawicieli władzy państwowej albo inne podstawowe wartości ludzkiej społeczności, które w porządku doczesnym zajmują istotne i czcigodne miejsce i czyni z nich najwyższą normę wszelkich wartości, także religijnych, i oddaje im cześć bałwochwalczą, ten przewraca i fałszuje porządek rzeczy stworzony i ustanowiony przez Boga-Człowieka, i daleki jest od prawdziwej wiary w Boga i od światopoglądu odpowiadającego takiej wierze."[2])

I dalej:

„Tylko płytkie umysły mogą popaść w ten błąd, by mówić o Bogu narodowym, o religii narodowej, tylko oni mogą podjąć daremną próbę, by w granicach jednego tylko narodu, w ciasnocie jednej rasy zamknąć Boga, Stwórcę wszechświata, Króla i Prawodawcę wszystkich narodów."[3])

---

1) Encyklika J. Św. Piusa XI. O położeniu Kościoła katolickiego w Rzeszy Niemieckiej, z dn. 14 marca 1937 roku. (Tekst niemiecki — przekład polski prof. A. Słomkowskiego, Lublin 1937. Towarzystwo Wiedzy Chrześcijańskiej.)

2) Str. 11—12. 3) Str. 13—15,

W słowach jasnych i wyraźnych, wskazuje katolikom wszystkim, nie tylko tym w Niemczech, najistotniejsze kanony wiary, podkreśla stanowisko Kościoła św., który *„ustanowiony przez Zbawiciela jest jeden — ten sam dla wszystkich narodów"*. Zaraz też następuje wyjaśnienie o tym, jak należy pojmować swoją przynależność do Kościoła św.: *„Nie wystarczy być zaliczonym do Kościoła Chrystusowego; trzeba być także żywym członkiem tego Kościoła w duchu i w prawdzie. A takimi członkami są tylko ci, którzy w niewinności albo w szczerej rzeczywistej pokucie są w łasce u Pana i żyją nieustannie w obecności Bożej"*[4]).

Ze szczególną troską omawia Ojciec św. zagadnienia wychowawcze, które najczęściej powodują konflikty i największe nasuwają trudności do rozwiązania. I te słowa Najwyższego Autorytetu niejedną trudność wyjaśniają, a szczególnie jasno rozwiązują konflikty jakie niewątpliwie budzą się w duszy rodziców-katolików, których dzieci wychowywane są w duchu dla katolicyzmu wrogim.

Podkreśla bezwzględny udział, jaki przysługuje rodzicom w zakresie wychowania dzieci, w duchu prawdziwej wiary i w myśl jej zasad. Prawo to dane im jest od Boga, przeto wszystkie rozporządzenia ludzkie, które je przekreślają,

„sprzeczne są z prawem przyrodzonym, i w najgłębszych podstawach swych niemoralne.

Kościół powołany do strzeżenia i wyjaśniania prawa naturalnego danego przez Boga musi wobec tego oświadczyć, że wpisy szkolne, ostatnio dokonane przy zupełnym braku swobody, są wymuszone i że wobec tego nie posiadają żadnego charakteru obowiązującego."[5])

Żadne ideały ziemskie, żaden przymus chociażby najkonsekwentniej stosowany, nie zastąpią tych bodźców, które daje religia. Nie można bowiem żądać od człowieka najwyższych ofiar, i poświęceń dla dobra publicznego, jeśli wyrwie mu się świadomość dobra najwyższego jakim jest Bóg. Jeśli odbierze mu się oparcie o krzepiącą w chwilach zwątpienia i słabości wiarę w nagrodę wieczystą i wieczystą karę. Następstwem tego będzie nie wskrzeszenie ducha poświęcenia, ale powszechna ucieczka przed obowiązkiem.

Nie ma tu i nie może być sprzeczności z interesem narodu. Najwyższe dobro moralne, nie może przecież być obojętne państwu. Należy położyć tylko mocną tamę tym prądom, które dążą do stwarzania sztucznych przeciwieństw między celami wychowawczymi a celami religijnymi. W imię ducha prawdziwie wielkiego poświęcenia, jaki w czasach dzisiejszych, czasach zagorzałych antagonizmów i rozpanoszonego egoizmu płynie z kart Ewangelii.

Kończy się Encyklika Ojca św. mocnym przeświadczeniem, że niedługa już chwila dzieli Kościół św. od zwycięstwa. Że wkrótce już *„nie przyjaciele Kościoła, sądzący, że ostatnia jego godzina już nadeszła, poznają — jesteśmy tego pewni, że zbyt szybko się radowali, i przedwcześnie chwytali łopaty grabarza. Nadejdzie wówczas dzień, w którym zamiast przedwczesnych zwycięskich pieśni wrogów Chrystusowych, wzniesie się ku niebu z serc i ust wiernych Chrystusowych Te Deum wyzwolenia"*[6]).

---

[4]) Str. 23—24. [5]) Str. 41—44. [6]) Str. 55—62.

30



Fasada klasztoru w Kalwarii Zebrzydowskiej

MACIEJ SZUKIEWICZ

WSKRZEŚMY MISTERIUM MARYJSKIE W KALWARII ZEBRZYDOWSKIEJ

(PROJEKT WIDOWISKA RELIGIJNEGO)

Wbrew hasłu Młodej Polski „sztuka dla sztuki" interesowała mię zawsze literatura dydaktyczna. Nie ta „łopatą do głowy", Lafontaine czy Kryłow, ani tym bardziej moralitet, zwłaszcza nasz, późny, w szkołach jezuickich wyhodowany zlepek alegoryj i dialektycznych łamańców, lecz rzetelny obrok duchowy, podany w formie naiwnej legendy średniowiecznej i średniowiecznych misteriów. Był czas, że wertowałem *Acta sanctorum Bollandistorum,* szukając w nich bohatera do scenicznego widowiska, zdolnego naocznie powiązać ziemię z niebem. W tym wertowaniu zatrzymałem się dłużej nad legendą o św. Krzysztofie i byłbym ją dramatycznie opracował, gdyby nie to, że wyprzedziło mię w tym stu z górą poetów niemieckich, interpretujących postać świętego jako wasala, poszukującego coraz to możniejszego suwerena z końcowym odkryciem go w Bogu, — motyw wymarzony dla mentalności Niemca, ale dla społecznie mniej karnego Słowianina niezbyt ponętny.

Historia sztuki podsunęła mi inny temat. Dały mi go freski Piera della Francesca w kościele św. Franciszka w Arezzo, przedstawiające legendę o Drzewie Krzyża świętego. Dzięki nim zaznajomiłem się nie tylko z najpiękniejszą w ogóle i najszerzej rozbudowaną legendą średniowiecza,

ale nadto znalazłem w nich plastyczny do niej komentarz i podział materiału na obrazy czy akty, słowem niemal gotowe widowisko religijne. Atoli legenda ta, obejmująca zdarzenia od upadku pierwszych rodziców w raju, poprzez tragedię Odkupienia aż do odnalezienia Krzyża św. przez cesarzową Helenę, wymagałaby jakichś dziesięciu odrębnych sztuk i tyluż reprezentacyj i już to samo zamieniało pomysł w marzenie ściętej głowy. Odżyło ono w epoce filmu, w którym rzecz dałaby się zredukować do 10—12 kilometrów taśmy. Zrealizowanie takiego scenariusza, wymagającego niesłychanej wystawy, jest u nas w kraju nie do pomyślenia, katolicki film kardynała Verdier leży dla polskiego autora za siedmiu górami i siedmiu rzekami, a różne Ufy i Paramounty, mając do wyboru między wzniosłą legendą a Shirleyką lub Gretą Garbo, wybiorą oczywiście te drugie.

Zrodzone w młodości pomysły nie łatwo wietrzeją z głowy. To samo można powiedzieć o powziętych w młodości zamysłach. Nie zrezygnowałem też z napisania tekstu do widowiska, ugruntowanego na wierze a posługującego się formami obrzędowości kultowej zwłaszcza od czasu, gdym na prośbę dyr. Teofila Trzcińskiego przejrzał zbiorowe wydanie *Autos sacramentales* Calderona, które w przekładzie niemieckim posiada Biblioteka Jagiellońska. Dyrektor Trzciński, po sukcesie odniesionym na Wawelu Odprawą posłów greckich Kochanowskiego, sukcesie, który w każdym innym społeczeństwie oddałby p. Trzcińskiemu kierownictwo Teatru Narodowego w stolicy, nosił się z myślą wystawienia w Krakowie „Uczty Baltazara" spośród siedemdziesięciu przeszło religijnych widowisk Calderona. Rzecz jednak pozostała w sferze projektów; wystawienie któregokolwiek z *Autos* nie pod niebem Hiszpanii i w kraju, który nie miał ani św. Teresy karmelitanki ani Jana di Dio z Ciudadu ani Murilla czy Zurbarana, wydało się nam przedsięwzięciem, mającym minimalne szanse powodzenia.

Te przygodnie zrobione doświadczenia kazały mi liczyć się I-mo z środkami, jakimi u nas można rozporządzać, II-do ze stopniem wrażliwości audytorium, mniej nawykłego do strzelistych aktów i przywiązanego raczej do zewnętrznej, czczej formy, III-tio z tradycjami najszerszych sfer, o ile one w nich jeszcze żyją. Ten ostatni wzgląd skłonił mię do nadania marzonemu widowisku religijnemu takiej postaci w treści i formie, którąby była dla najszerszych warstw ponętna i zrozumiała oraz — jeśli się da — nawiązywała do uroczystości dotychczas obchodzonych. — Kraków, jak Sewilla, ma swoje wspaniałe procesje Bożego Ciała, ale jest to nabożeństwo *sensu stricto*, mające od kilkuset lat ustaloną treść i formę. Takich nabożeństw niczym i nikomu tykać nie wolno. Trzeba więc było znaleźć coś nieobwarowanego kanonami i zasadzającego się na swobodniejszej liturgii, a takie właśnie obrzędy zachowały się dotąd w Kalwarii Zebrzydowskiej.

Mikołaj Zebrzydowski, ufundowawszy na górze Żarek kościół i klasztor OO. Bernardynom, polecił dworzaninowi swemu, Hieroninomi Strzale, aby odprawiając pielgrzymkę do Ziemi Świętej, pobrał i przywiózł mu wymiary i modele dróg i konfiguracji jerozolimskich kaplic Ukrzyżowania i Grobu Chrystusa, zaś Szczęsnemu Żebrawskiemu słynnemu na owe czasy astronomowi, wymierzyć „kalwarię", której teren — zwyczajem jeszcze średniowiecznym — oborano pługiem. Na wzór tedy jerozolimskiej wytyczono na wschodnim zboczu góry Żarek ostatnią ziemską drogę Chrystusa Pana i analogiczną N. M. Panny i wzniesiono szereg kaplic, każdą pod nazwą jakiegoś momentu z tragedii Odkupienia np. Ogrojec, Pojmanie, Omdlenie itd. aż do Ukrzyżowania i Złożenia do grobu. Zbyteczne dodawać, że każda z tych kaplic ma swoje liturgiczne wezwanie, powyższe zaś nazwy odnoszą się jedynie do obchodu „dróżek", od-



Widowisko pasyjne w Oberammergau. Wieczerza Pańska.

prawianego przez pątników, w liczbie których znalazł się i królewicz Władysław IV, przybyły tu w 1621 r., ażeby podziękować N. M. Pannie za zwycięstwo nad Turkami, odniesione pod Chocimem przez Chodkiewicza.

Czy wtedy już obchodom „dróżek" towarzyszyły jakieś widowiska religijne i w ogóle od kiedy takie widowiska zaczęto w Kalwarii uprawiać — kroniki klasztorne nie podają. Że w drugiej połowie XVII w. istniały, świadczy spisany w Krakowie w 1667 r. testament Michała Zebrzydowskiego. W udzielonym mi łaskawie przez p. Teofila Klimę, monografistę miasta Kalwarii, odpisie tego testamentu znajduje się taki passus: „A że mi też do wykonania pobożnych nie przyszło intencyj względem mieysca św. Kalwaryjskiego, tedy małżonkę moją miłą i potomków moich obliguję pod błogosławieństwem, aby to sami nieodwłocznie wykonali i sumę pewną na majętności niezawiedzionej zapisem osobnym na rzecz syndyka klasztoru kalwaryjskiego, na ten czas będącego, obwarowali, ponieważ prowent kaplicznych[1]) tej ekspensy nie wydoła; żeby ten porządek, który się za mnie teraz odprawuje i opatrywanie kaplic, muzyki, tryumfy na doroczne uroczystości i inne koszty zwyczajne, ni w czym tego porządku nie ujmując, we wszystkim dochowali, iżby *perpetuis temporibus* Chwała Boga zaczęta i w ludziach ku mieyjscu świętemu gorętsza pomnażała się devotia"[2]).

Na podstawie tych słów testamentu możemy śmiało przyjąć, że conajmniej od połowy XVII w. obchody „dróżek" łączyły się z „tryumfami". A skoro uprzytomnimy sobie, że jest to epoka baroku i czasy największego rozkwitu opery włoskiej, możemy przyjąć za rzecz pewną, iż owe „muzyki i tryumfy" testamentu nie były niczym innym jeno religijnymi widowiskami. Wszak i dziś jeszcze podczas „pogrzebu Matki Boskiej" (14 sierpnia), kończącego się o zmroku, puszczane są wśród dźwięku fanfar rakiety i ognie sztuczne, niewątpliwy szczątek kończących widowisko „tryumfów".

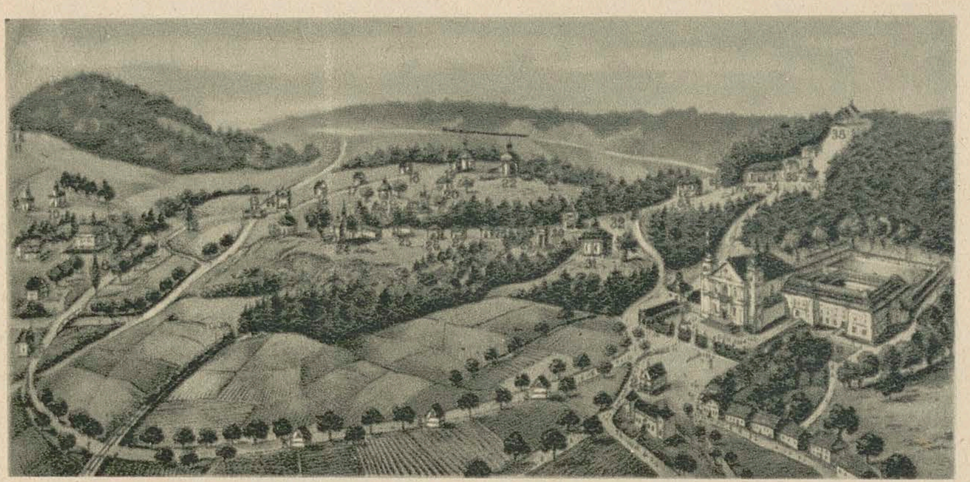
W jakich terminach się one odbywały? Oczywiście podczas szczególnie tłumnie nawiedzanych odpustów, a to: 1) od Kwietnia Niedzieli do Wielkiego Piątku przez 6 dni, 2) na Zielone Świątki przez 3 dni, 3) na Boże Ciało przez 4 dni, 4) na Wniebo-

---

1) t. j. mieszczan kalwaryjskich, którzy obdarzeni od Zebrzydowskich działkami rolnymi mieli obowiązek dozierania kaplic i konserwowania ich w dobrym stanie. (Przyp. autora.)

2) W opracowanej przez doc. Uniw. Jag. dra Ludwika Kamykowskiego Silva rerum Stanisława Samuela Szemiota, zanotował tenże pod 1680 rokiem:

„W Kalwarii przy kaplicy Grobu Najświętszej Panny pozytyw osobliwy na chórze mają i muzykę wojskową to jest sześciu siposzów ustawnie ex fundatione chowają, którzy i na dobry dzień i na dobrą noc N. Pannie grają." (TYDZIEŃ, Dodatek do 167 nru Głosu Narodu z 1937 r.)



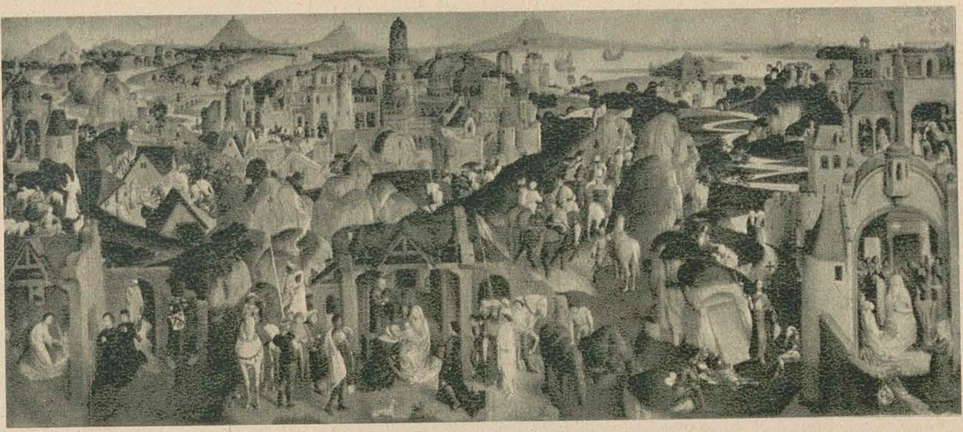
„Dróżki" i kaplice Kalwaryjskie. (Litografia)

wzięcie N. M. Panny przez 7 dni, 5) na Narodziny N. M. Panny przez 3 dni a wreszcie na św. Franciszka przez 4 dni października, razem sześć odpustów, wypełniających w sumie 27 dni czyli bez mała miesiąc. Z tych wszystkich uroczystych nabożeństw zachowały „tryumfy" — i to nader okrojone i w szczątkowej formie, — tylko dwa a mianowicie nabożeństwo wielkotygodniowe i sierpniowe. W Wielkim Tygodniu odgrywano prawdopodobnie całkowitą Pasję od wjazdu do Jerozolimy aż do Zmartwychwstania, w sierpniu zaś jakąś bliżej nieznaną grę Maryjską, z której widocznie ani ślad nie pozostał, skoro tak skrupulatny badacz naszych misteriów jak St. Windakiewicz o żadnej nie wspomina. — Być także może, że dopiero chciano wprowadzić jakąś grę Maryjską, ale na więcej niż na „pogrzeb Matki Boskiej" nie umiano się zdobyć.

Z Pasji wielkotygodniowej zachował się w Kalwarii i dotąd jest praktykowany szczątek o porządku i układzie następującym: w W. Czwartek odbywa się umywanie nóg przez kustosza klasztoru OO. Bernardynów dwunastu pielgrzymom, przebranym za apostołów. Po Wieczerzy idzie orszak kilkunastu siepaczów z dzidami, linami, latarniami itp. prowadząc skrępowanego Chrystusa. Pochód posuwa się od kaplicy do kaplicy i kończy późnym wieczorem u kaplicy Kajfasza, pod którą, w krypcie mieści się wyobrażenie obnażonego Chrystusa. Kulminacyjnym momentem tego nabożeństwa-widowiska jest t. zw. „dekret" czyli odczytanie wyroku, skazującego Chrystusa na śmierć krzyżową. Po „dekrecie", odczytywanym przez najgodniejszego spośród mieszczan kalwaryjskich, posuwa się pochód dalej, ale już bez apostołów; dźwigającemu krzyż Chrystusowi towarzyszy na Golgotę jedynie św. Jan. — „Tryumf" w nabożeństwie sierpniowym redukuje się do tzw. „pogrzebu M. Boskiej", w którym „asysta", przeważnie młódź z Cieszyna, wynosi z „domku M. Boskiej" Jej trumienkę i w towarzystwie biało odzianych dziewic — bywa ich około 600 — przenoszą ją za „Cedron" (tj. Skawinkę) do najpiękniejszej ze wszystkich kaplicy Grobu Matki Boskiej.

Z kolei nasuwa się pytanie, który z tych obrzędów dałby się lepiej zaadaptować na użytek dnia dzisiejszego?

Że nie Pasja wielkotygodniowa, to pewna. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że nie lubimy tragedyj, a już wprost odwracamy się od widoku krwi i męki; po wtóre dlatego, że — skoro tego rodzaju widowiska, odbywające się raz do roku a zmuszone operować wielkimi tłumami wykonawców, nie mogą być odgrywane przez zawodowych aktorów, lecz ludność miejscową i pątników, zachodzi obawa, że wśród tysięcy mógłby się znaleźć jakiś umyślny lub mimowolny *turbator chori* i powaga nabożeństwa mogłaby ucierpieć; po trzecie, że taka pasja wielkotygodniowa byłaby lub stać się mogła jakąś — pytanie czy udolną? — kopią przedstawień pasyjnych w Oberammergau, a przecie stać nas do licha na to, ażeby przestać małpować obcych; po czwarte wreszcie — co jest okolicznością bodaj decydującą — że chłody naszej wczesnej wiosny, zwłaszcza w miejscowościach podgórskich do jakich należy Kalwaria Zebrzydowska, nie pozwoliłyby wykonawcom ról Chrystusa i łotrów występować obnażonymi pod-



Hans Memling: „Siedem radości N. M. Panny.

czas i po ukrzyżowaniu. Ten sam wzgląd sprawia, że w leżącym u podnóża Alp Bawarskich Oberammergau, widowiska pasyjne odbywają się w lecie, a i to — jak widzimy na ilustracji[3]) — nie pod gołym niebem i w otwartym polu, lecz na obudowanej scenie i przed osłoniętą od wichrów i słoty widownią na 5200 widzów.

Jest nadto jeden jeszcze wzgląd natury subtelniejszej, ten mianowicie, że odgrywanie postaci Zbawiciela przez kogoś, u kogo można nazajutrz zamówić sobie buty lub szafę i targować się o ich cenę, ma w sobie coś, co może nie jest trywialnym dla rodaków Hansa Sachsa, ale nas niemile razi. Nasz stosunek do Boga-człowieka zasadza się na ufności, nie poufałości, i nasze uczucie żąda w tych razach tej delikatności, jaką zachował K. H. Rostworowski w „Judaszu" i „Miłosierdziu".

Wszystkie powyższe racje odpadają, całkowicie, jeżeli za temat widowiska weźmie się grę Maryjską. Wprawdzie nasze zabytki piśmiennicze nie przekazały nam takowych — ja przynajmniej nie znam żadnego tekstu i mam wrażenie, że takiego tekstu nie posiadamy — ale za to w życiu naszym jednostkowym (patrz: J. Tretiak: „Najświętsza Panna w poezji polskiej") a nade wszystko zbiorowym, kult M. Boskiej był nader rozpowszechniony, a nawet wzmógł się w ostatnich czasach. Od „Bogu rodzico Dziewico" i ryngrafów z Madonną rycerstwa polskiego, poprzez obronę Częstochowy, śluby Jana Kazimierza, odsiecz wiedeńską, pieśń modlitewną Konfederatów barskich i bitewne chorągwie kosynierów racławickich aż do ustanowienia w wyzwolonej już Ojczyźnie święta M. Boskiej Królowej Korony Polskiej, snuje się przez nasze dzieje korna i pełna miłości adoracja Bożej Rodzicielki i może ona i powinna znaleźć swój wyraz w misterium Maryjskim.

Legend o Matce Boskiej jest co niemiara, legend żywych, rodzących się dziś jeszcze. Dość wspomnieć śliczne grisaille Piotra Stachiewicza, do których tematu nie ssał przecie z palca lecz brał z ust i wierzeń ludu polskiego. Ale te śliczne legendy są... ślicznymi nowelkami; w Kalwarii potrzeba czegoś, co godziłoby się z ortodoksją i ustaloną już liturgią. Dlatego ośmielam się tu przedstawić projekt gry Maryjskiej, którą wysnułem z Ewangelii, z apokryfów obcych i jednego, skompowanego przeze mnie samego, oraz z pieśni śpiewanych przy obchodzie „dróżek" kalwaryjskich.

Po długim i głębokim namyśle, jak snujące mi się po głowie sceny-obrazy powiązać i koło czego je zgrupować, wybrałem nieskrępowane żadnym kanonem „Siedem radości N. M. Panny". Jak dalece są one nieustalone więc pozostawiające autorowi tekstu swobodę, najlepszy dowód w tym, że żaden ze znajomych mi księży — a pytałem samych doktorów teologii — nie umiał mi ich wyliczyć i wskazać, gdzie znajdę je razem zestawione. Sięgnąłem przeto do różańca. Jego pierwsza, radosna część, zawiera tylko pięć momentów: Zwiastowanie, Nawiedzenie, Boże Narodzenie, Ofiarowanie w świątyni oraz Odnalezienie w świątyni. A gdzież jeszcze dwie? Trzeba ich poszukać. Ale gdzie?

3) Wskutek utrudnień paszportowo-dewizowych biorę je z drugiej ręki, a mianowicie z artykułu Anton Langa pod tytułem. „Where Bible Characters Live Again" zamieszczonego w amerykańskim miesięczniku The National Geographic Magazin (tom LXVIII, Nr 6). Następstwem tego jest podwójna siatka w cynkotypowej kliszy, którą to chybkę zechce łaskawy Czytelnik wybaczyć. — Dotyczy to również klisz z obrazu van Eycka i Memlinga. (Przypisek autora.)



Van Eyck: Siedem radości N. M. Panny

— U plastyków — podszepnęły mi dzieje sztuki. Na partykularzu, jakim jest Kraków, nie łatwo przyszło mi znaleźć ryciny, odnoszące się specjalnie do siedmiu radości N. M. Panny, ale po dłuższym poszukiwaniu i pójściu mi na rękę wszędzie, gdziem się zwrócił, udało mi się zdobyć dwie, orientujące dostatecznie w obranym przeze mnie temacie. Jedną, którą czerpię z wydawnictwa *„Les Cahiers de la Vierge“* a którego zeszyt IV nosi tytuł: *„Notre-Dame de toute Joie“*, przedstawia „Siedem radości“ pędzla van Eycka z Gandawy. Na łące (raczej darniowej ławce) siedzi Madonna, trzymając na kolanach Dzieciątko. U stóp Jej, podobnie jak Morettowskiej św. Justynie z Galerii wiedeńskiej, ulubiony w średniowieczu symbol czystości: mityczny jednorożec. Ponad Madonną, na złotym, jakby jeszcze bizantyjskim tle, siedem medalionów a w nich: Zwiastowanie, Hołd Trzech Króli i Wniebowzięcie, po prawej zaś: Boże Narodzenie, Chrystus zmartwychwstały zjawia się M. Boskiej (a może spełnia Jej prośbę, by był obecny przy Jej zgonie?), Zesłanie Ducha Św. w Wieczerniku, a wreszcie u góry, w wiążącym oba cykle medalionie, Koronacja N. M. Panny. — Druga reprodukcja, zaczerpnięta z XIV tomu wydawnictwa *„Klassiker der Kunst in Gesamtausgaben“*, przedstawia utwór późniejszego o 50 lat od braci van Eycków Hansa Memlinga. Znajduje się on w Starej Pinakotece monachijskiej i nosi tytuł *„Sieben Freuden Mariä“*, choć fabuła jego obejmuje znacznie więcej. Obraz, malowany na desce o wymiarach 80 na 1,80 cm, malowany starannie i gładko jak emalia, mógłby służyć za przykład tezy, że w sztuce można się rozminąć z powszechnie obowiązującą logiką i mimo to mieć rację, ba! wbrew logice stworzyć nielada dzieło sztuki. Pomimo, że na jednej i tej samej płaszczyźnie malarskiej — a więc równocześnie! — widzimy paru Chrystusów i parę Madonn oraz zdarzenia, oddzielone od siebie całymi latami, utwór zachowuje swoją prawdę wewnętrzną i jest jednym z najrozkoszniejszych obrazów świata. — U samej góry widzimy trzy stożkowate szczyty, a na nich trzech magów Wschodu, badających obroty ciał niebieskich i poszukujących wśród nich gwiazdy, zapowiedzianej im w sennym widzeniu. Snadź równocześnie ją dostrzegli, bo oto wsiadłszy na okręty płyną ku Ziemi Świętej. Wylądowawszy wstępują do świątyni Salomona, by podziękować za szczęśliwą podróż, po czym odwiedzają pałac tetrarchy. Tu nie dostawszy języka rozpytują po drodze żeńców, pracujących w polu — (pamiętajmy, że jest to koniec XV-go wieku, rok 1480!!) i dzięki ich wskazówkom trafiają do stajenki betlejemskiej. Po złożeniu hołdu Dzieciątku, przestrzeżeni przez anioła, omijają pałac dybiącego na Dzieciątko Heroda i odmienną drogą dążą ku morzu, ażeby, wsiadłszy na sudna, wrócić w ojczyste pielesze. A podczas gdy oni tą krętą drogą wędrują, ukazuje nam Memling szereg zdarzeń z życia N. M. Panny (i Chrystusa), które były dla Niej źródłem radości jak:

Zwiastowanie, Zgon w obecności apostołów i Wniebowzięcie oraz już tylko przygodnie zamieszczone sceny: *Noli me tangere*, trzy Marie u grobu i Wniebowstąpienie, widoczne tylko częściowo, bo górną ramą obrazu przecięte.

Momentem kompozycyjnym tego najsubtelniejszych uczuć pełnego obrazu jest wijąca się w nim droga, zupełnie tak samo, jak istotną częścią odpustowych nabożeństw naszej Kalwarii jest obchód dróżek" przez pielgrzymów. Ta okoliczność stała się i dla mnie punktem wyjścia dla gry Maryjskiej, której pragnę dać układ odmienny niż go dali van Eyck i Memling, oparty na następujących momentach życia N. M. Panny:

1) Zwiastowanie

2) Nawiedziny

3) Narodziny i Hołd Trzech Króli (złączone w jeden obraz)

4) Odnalezienie w świątyni

5) Wesele w Kanie Galilejskiej (pierwszy cud).



Hołd Trzech Króli
Szczegół z obrazu H. Memlinga „Siedem radości N. M. Panny"

Między piątym a szóstym obrazem pragnę dać — zamiast tradycyjnego „pogrzebu M. Boskiej", który przecież do radosnych obrzędów nie należy — uroczysty pochód z niesioną przez asystę na wspaniałej *sedia gestatoria* Madonną z Domku Loretańskiego do głównego klasztornego kościoła, przed którym pochód się zatrzymuje, a N. Panna na rozstaniu ze światem doczesnym, błogosławi ziemi, wodzie, zbożom, kwiatom a przede wszystkim ludzkim rzeszom, zgromadzonym u Jej stóp. Po tym błogosławieństwie żąda M. Boska wniesienia Jej do kościoła, bo wie, że tam jeszcze zobaczy Synaczka w Jego ziemskiej, cielesnej postaci. Życzeniu Jej staje się zadość.

Zaledwo orszak zniknął w kościele, następuje:

6) Zlot apostołów z najdalszych krańców świata.

Zjawia się ich tylko jedenastu. Dlaczegóż jednego z nich brak? W tym miejscu gry Maryjskiej pragnę wstawić scenę własnego pomysłu, która zmieściłaby się doskonale w apokryficznym *Protoevangelium Jacobi Minoris*, a zarazem była najgorętszym chyba wyrazem wiary w skuteczność wstawiennictwa M. Boskiej za grzesznikami i dlatego — sądzę — zasługującą na włączenie jej do misterium.

Według jednej z legend Maryjskich uprosiła sobie N. M. Panna, że przy Jej zgonie obecni będą wszyscy apostołowie, że zamykając oczy nie ujrzy szatana, a natomiast będzie przy sobie miała Synaczka w postaci ludzkiej, a mimo to pełnej chwały niebieskiej. Otóż stało się tak, że bawiący podówczas w Indiach apostoł Tomasz, wskutek zbuntowania się żywiołów, nie może zdążyć na moment Zaśnięcia N. M. Panny. Cieszy się z tego władca otchłani, a pragnąc zrobić na złość Tej, co głowę jego starła, postanawia zamącić Jej ostatnie chwile widokiem wysłannika piekieł. Do spełnienia tego zadania naprasza mu się Judasz. Ma on w tym własny rachunek. Oto ufny w niewyczerpane miłosierdzie N. M. Panny, — on, który wydał Jej Syna na

mękę krzyżową! — pragnie póki Ucieczka grzesznych, bawiąc jeszcze na ziemi, jest dla niego dostępna — przypaść do Jej nóg i prosić o łaskę. Władca otchłani, intencji jego nie świadom, uwalnia go na chwilę od mąk. Przybrawszy na się postać brakującego Tomasza staje Judasz przed kościołem, lecz pilnujący do niego wstępu aniołowie, poznawszy podstęp, zagradzają mu drogę płomienistymi mieczami. Podczas gdy ten spór między Judaszem a aniołami się toczy, w kościele — co można doskonale zaznaczyć światłem i stosowną muzyką — N. M. Panna zasypia, a ciało Jej wynosi asysta („pogrzeb zatem M. Boskiej" jest zachowany) i składa w kamiennym sarkofagu, ustawionym przed kościołem. Na ten widok i świadom, że już nic i nigdy nie uwolni go od mąk piekielnych, Judasz, łamiąc nad głową ręce jak jeden z apostołów w ołtarzu Mariackim Wita Stwosza[4]), przepada pod ziemią w płomienistej pożodze. Równocześnie zjawia się zapóźniony apostoł Tomasz i dowiaduje się, że N. M. Panna nie tylko zasnęła, ale spoczywa już w grobie. Zgodnie ze swą naturą, żąda na to dowodu. Przyprowadzają go tedy do sarkofagu i podnoszą wieko. Wśród świateł i blasków wyrastają z sarkofagu same róże i lilie. Aniołowie, tęczowym kręgiem otaczający sarkofag, klękają i adorują naoczny dla nich cud. Ale niewiernego Tomasza i to jeszcze nie przekonało. Aliści powątpiewanie jego rozprasza nowy cud; oto z kościoła klasztornego, który stał się domem zgonu N. M. Panny, w objęciach Chrystusa, ulata M. Boska w gwiaździste niebo, a to na oczach rozmodlonych rzesz pątników Wniebowzięcie stanowi siódmą i ostatnią radość N. M. Panny, a zarazem zakończenie nabożeństwa.

Wszystko to ślicznie pięknie, powie mi na to ten lub ów, lecz jak to misterium wykonać? Zapewne, że odpustową łatwizną ono nie jest, ale wykonanie go do niemożliwości nie należy. Obchód „dróżek" zaczyna się po południu dnia 14 sierpnia tak jak odbywał się przez lat trzysta i odbywa się dotąd. Pielgrzymi idą i śpiewają doskonale znane sobie „pieśni kalwaryjskie", które zebrał i w drukarni Macieja Dziedzickiego („Śpiewnik", Kraków 1802) wydał ks. Folwarski. Doszedłszy do kaplicy, na tle której ma się rozegrać pierwszy obraz gry Maryjskiej, pielgrzymi przystają szerokim kręgiem wokół kaplicy i są widzami np. pierwszej zaraz sceny, przedstawiającej

ZWIASTOWANIE

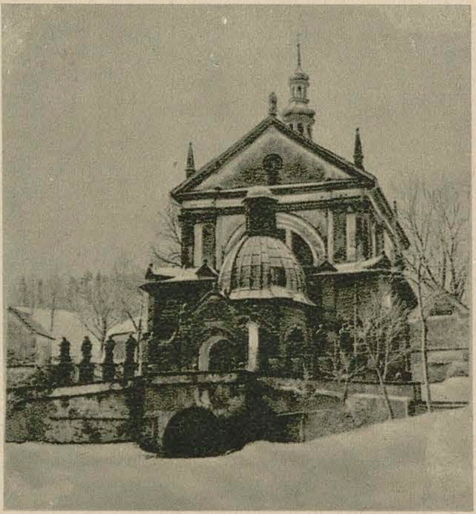
Osoby:

N. Maria Panna — Archanioł Gabriel
Św. Józef — Ruben
Aniołki (putta)

Przed kaplicą-mieszkaniem św. Rodziny, wśród trawnika, stoi warsztat stolarski, przy nim ławka. Na warsztacie jakaś rozpoczęta robota i narzędzia. Materiał stolarski i ciesielski opodal, — deski oparte o ścianę kaplicy, belki ułożone na trawie w stosy. U warsztatu stoi siwy jak gołąb św. Józef dopasowując jedną deszczkę do drugiej. — Z lewej strony nadchodzi przygarbiony wieloletnią pracą RUBEN z nosidłami na ramionach, u nosideł dzbany.

ŚW. JÓZEF
(spostrzegłszy Rubena)
Jak się macie, Rubenie, — gdzież to Bóg prowadzi?

RUBEN
Do Cedronu po wodę. — Okrutnie przypieka.
I pora grządki podlać, a nie mam czeladzi.



Kaplica Grobu N. M. Panny

ŚW. JÓZEF
Spocznijcie —

RUBEN
Radbym przysiąść, ale czas ucieka

ŚW. JÓZEF
Oj, prawda, ucieka a z nim sił ostatek,
Dawno-ż to, gdym z nieboszczą moją zawarł śluby
I mogłem, otoczony wnet gromadką dziatek,
Przełamać dyl choćby jak gruby,

[4]) figura ta, odskakująca swym nastrojem rozpaczy od reszty apostołów, intrygowała mię zawsze i stała się źródłem mego apokryficznego na wskroś pomysłu.
(Przyp. autora.)

Albo, stawiąc dom komu, po nocy czy ranu
Na barkach swych pień cedru przynieść aż z Libanu,
A dzisiaj... nie została ni kostka z nieboszczy,
Dzieci powyrastały, uszła krzepkość w ręku
I nikt się o starego cieślę nie zatroszczy,
A przeciwnie, o moją dziewkę złotowłosą
Ja dbać muszę, zbożnego ciągle pełen lęku,
By — czystą w dom wziąwszy — czystą powrócić niebiosom.

RUBEN

Cóż wy tu majstrujecie? pewno dla niej cosi...

ŚW. JÓZEF

I dla niej i nie dla niej. — Od dawna mię prosi,
Cobym skrzynię jej zrobił na giezła i szatki,
Bo mole się zalęgły w domu pani matki
I niszczą przyodziewę — Dłubię ją od rana.

RUBEN

Widnoście tym strudzeni, bo drżą wam kolana
I oczy jakoś mętnie patrzą spod powieki —
Sfolgujcie w taki upał.

ŚW. JÓZEF

(Siadając i zapraszając na swą ławkę Rubena)

Miło na pogwarce
Czas mija.

RUBEN

Jużci miło, lecz muszę do rzeki.

ŚW. JÓZEF

Posiedźcie.

RUBEN

Niech napełnię ino moje garnce,
To wracając znów przy was postoję na chwilę.

ŚW. JÓZEF

Proszę was, zróbcie dla mnie starego choć tyle.
Ja tymczasem odsapnę, a skoro się skrzepię,
To i boki u skrzyni tej spasuję lepiej.
Bóg was prowadź

RUBEN

I wy też ostawajcie z Bogiem.

(oddala się, — św. Józef bierze w rękę to jeden to drugi kawałek drzewa, deskę do deski przykłada, — przymierzył, odłożył, głowę na dłoni wspiera, po chwili całym korpusem na stół warsztatu pochyla się i zasypia. — W tej chwili odzywa się jakaś senna melodia niewidzialnych grajków; spoza desek i stosu belek wychylają się — zrazu tylko główki — potem całe różowe ciałka małych, skrzydlatych aniołków. Z paluszkami na ustach, nakazując sobie nawzajem ciszę, podchodzą do warsztatu i zaczynają za nim buszować; wziąwszy przycinane przez św. Józefa deski, składają z nich kołyskę na biegunach i włożywszy w nią na próbę jedno putto zaczynają je kołysać. Wtem jednemu z buszujących jeszcze na stole warsztatu, wypada z ręki kawał drzewa. Hałas uderzenia deski o stół budzi św. Józefa. — Strapione tym aniołki — nawet najmniejsze wyskoczyło z kołyski — stoją zawstydzone. — Św. Józef, przeciera sobie oczy, zdumiony pogląda na putta)

ŚW. JÓZEF

To mi dopiero czeladź... W oczkach błękit nieba
I co jedno ładniejsze, choć szatka ich zgrzebna.
(garnące się ku niemu głaszcze po główkach)
Skrzynięm klecił i była już gotowa wszystka,
A wy mi tu tymczasem... A to co? kołyska?
Powybijajcie kliny, bo mi jej nie trzeba,
Nic z kołyski w tej chacie.

ANIOŁKI

(otoczywszy go radosną gromadką, biorą go za ręce i po schodach wiodąc ku domostwu, świegocą nawyprzódki)

Potrzebna! Potrzebna!

(Opony, zasłaniające wchód do mieszkania św. Rodziny, rozchodzą się. Pogrążona w modlitwie klęczy N. M. Panna. — Z cienistej głębi kaplicy-komnaty wyłania się skrzydlaty archanioł Gabriel i gałązką lilii pozdrawia klęczącą. Ta spojrzała na niego i strwożona zrywa się z kolan, jakby chciała uciec, lecz po pierwszych słowach archanioła znów przyklęka i pochyla kornie głowę)

ARCH. GABRIEL

Bądź pozdrowiona. Pan z tobą. Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławion owoc żywota twego.

N. M. PANNA

Jakoż to będzie, gdyż ja męża nie znam?....

ARCH. GABRIEL

Duch Święty zstąpi na ciebie, a moc Najwyższego zacieni cię; przetoż i to, co się z ciebie narodzi, nazwane będzie Synem Bożym.

N. M. PANNA

Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa twego.

(usuwa się bezwładna na klęcznik)

ŚW. JÓZEF

(już na ostatnim stopniu)

Maryś, co tobie? Maryś!

(prowadzony przez putta wchodzi do izby-kaplicy, — muzyka milknie, — opony u drzwi same zaciągają się z powrotem)

(nabożni świadkowie tej sceny zaczynają idąc śpiewać pieśń:)

„Prześliczna Panno nad panny, Dziewico,
„Ducha Świętego cna Oblubienico!
„Wyżej nad chóry anielskie wzniesiona,
„Bądź pozdrowiona, bądź pozdrowiona!"

W takich to scenach, raz krótszych raz dłuższych, przebiega całe misterium. Rozpoczęte około 15 godz. powinno trwać do zapadnięcia nocy tak, ażeby sceny końcowe po rozstaniu się M. Boskiej z światem, rozgrywały się już przy sztucznym świetle. Bez niego nie możnaby ukazać rozwierającej się i pochłaniającej Judasza otchłani, a przede wszystkim końcowej sceny Wniebowzięcia, które powinno rozmodlone rzesze wprowadzić w zachwyt. Powrót do trzeźwego realnego życia następowałby nie przez blaski i trzaski pękających rakiet, lecz przez to, że w miarę ulatywania w niebo grupy Chrystusa i Matki Boskiej, kościół i klasztor z całym swym otoczeniem mierzchnąłby i gasnął, z chwilą zaś roztopienia się grupy w gwiaździstej dali, nagłe rozświetlenie całego terenu „kalwarii" zawiadamiałoby pątników, że nabożeństwo skończone.

Oczywiście mam pełną świadomość, że napisanie samego tekstu jest z całego misterium rzeczą najłatwiejszą, choć wymagającą rzetelnego natchnienia, i że cała trudność wskrzeszenia gry Maryjskiej w Kalwarii Zebrzydowskiej polega na opanowaniu zadrzewionego terenu, utrzymaniu w karbach uczestników nabożeństwa, w założeniu instalacji mikro- i megafonów, w umiejętnym wyreżyserowaniu całości — bo zrazu przynajmniej bez reżyserii rzecz obyć by się nie mogła — a wreszcie w znalezieniu środków pieniężnych na druk tekstu nowoprowadzonych do obchodu „drożek" pieśni. Ale równocześnie i to wiem, że dla chcących — nie ma rzeczy niepodobnych do wykonania. Koszt bowiem widowiska — nabożeństwa, które po należytym zmontowaniu go ściągałoby turystów z całego świata, dałby się rozłożyć na lat siedem przez realizowanie co roku jednej tylko sceny. Stopniowo zatem powstałaby całość widowiska.

ADOLF NOWACZYŃSKI

PO OSTATNICH WYSTĘPACH PANA SIEROSZEWSKIEGO

Z wielką niechęcią poruszam ten temat, ale obowiązek publicystyczny bezwzględnie nakazuje aby nieuleczalne warcholstwo i perfidię jeszcze raz napiętnować. Robię już panu Sieroszewskiemu z łaski to ustępstwo, że poruszam sprawę w sezonie ogórkowym i w piśmie nie wychodzącem w stolicy, żeby sędziwemu i zbliżającemu się do kresu wędrówki człowiekowi oszczędzić wstydu i skandalu na większą skalę. Zabieram głos i piszę już w tym roku po raz drugi.

Kiedy tego nieszczęsnego Rzymowskiego usunięto z prasy, z Akademii i ze wszystkich stowarzyszeń, których był członkiem, napisałem artykuł pt. *„W „obronie" W. Rzymowskiego"*, gdzie poruszyłem raz jeszcze sprawy pana Sieroszewskiego. Wybłagano przez pośrednictwa, abym tego nie publikował ze względu na *prestige* Akademii i sędziwy wiek pisarza. Uległem perswazjom. Nie zabierałem też głosu ani razu po zdemaskowaniu Wincentego Rzymowskiego, któremu w erze jego tryumfującej działalności często wiele poświęcałem czasu i miejsca, bijąc po brudnych łapach, po różnych jego popisach. Nigdy nie lubię z gromadą, z kupą, gdy kogoś „wykańczają" inni. Nie sprowokowało mnie do wystąpienia nawet, gdy zaraz po wykryciu eskamotaży warszawski Tytan z dziką furią oblęganego Al Capona rzucił się na osaczających go wrogów strzelając z browninga na prawo i lewo. Potem przyszła duża zabawa, gdy Rzymowski, aby sobie odzyskać fawory Warszawy przeprowadził wściekłą kampanię publicystyczną z krakowskim konkurentem i olbrzymie kubły gnoju dzień w dzień wylewał na... gnojówkę. Nie trzeba było przeszkadzać dwom gang-sternikom opinii publicznej gdy się wzajemnie ostrzeliwali i darli z siebie pasy. Potem przyszła eksmisja z „Poranniaka" i próby ratowania tonącego przez brukowce Fołks-frontu. Wziął w tym udział także i „Robotnik" może w nadziei, że pod jakimś kryptonimem wróci na Warecką Wicek renegat przemilczany tam przez kilka lat lub gromiony i że za tańszy „piniondz" będzie darł pasy z „reakcji". W obronie odstawionego od żłobów i geszeftów zabrał głos „nawet" „sam" Marian Stempowski, szara eminencja masonów warszawskich i w długich wywodach udowodniał że kradzież nie jest kradzieżą, że „odwoływanie się do autorów jest zbędne" (sic), że obcą „wypowiadaną myśl na swoje sumienie bierzemy zwykle" (sic) i że to, co oderznięte nie bierze się koniecznie w cudzysłów a autora się nie cytuje, to zbyteczne. Ale nic już Rzymowskiego uratować nie mogło. Opinia publiczna raz zaalarmowana demaskującym artykułem Mosdorfa w „Prosto z Mostu" już nastawała bez przerwy i Rzymowskiego trzeba było wycofać i ukryć. Kilka miesięcy trzymano go w komórce aż wreszcie znalazł znów przytułek w brudnej brukowej efemerydzie Grossterna, Wasserzuga et Comp. w „Epoce" gdzie znów może się rozpisywać, uprawiać swój proceder nożowniczy, okradać na prawo i lewo, przygotowywać grunt moralny do „podpalania kościołów", napadać na Kościół katolicki, i „sobaczyć" obozowi narodowemu. Korzysta z tej rynsztokowej placówki z powrotem

w całej pełni. I ostatnio w dniach lipcowych w czas konfliktu wawelskiego judził i szczuł zapieniony wprost obłędnie. Prasowy gangster był przekonany, że jego godzina odwetowa wybiła, że się odegra. On jeden a Sieroszewski drugi. Wicek i Wacek... Wyrzucony z Akademii i... Prezes Akademii.

Kiedy skandal z Rzymowskim wybuchł w Warszawie, nieśmiertelni panowie dostali ciężki orzech do zgryzienia. Robili więc wywiady na prawo i lewo co robić z tym fantem, ratować fatalnego kolegę a z nim skompromitowany Kapitol czy też pchnąć go z Tarpejskiej skały w przepaść. Na początku wszyscy warszawscy byli za tym, żeby wybronić plagiatora „przeczekać aż „nagonka" zmęczy się i ucichnie. Im dosłowniejsi burżuje, odcinacze kuponów, pobieracze pensji, kamienicznicy, „użytkowicze regimu", tymbardziej angażowali się w akcji wybraniania „polskiego Marata". Był moment, kiedy unisono: „nie damy Rzyma". Odkładali, wałkowali, wąchali jaki wiatr dmie od rządu od społeczeństwa, od P. P. S., od opozycji, od Endecji. „Hanswurst" Akademii i roznosiciel bajek „nieśmiertelny" (*sic!*) Irzykowski jak kot z pęcherzem oblatywał wszystkich ankietując i wywiadując. I byłoby się to wlokło i wreszcie poszło w zapomnienie a plagiator Robespiernik byłby dalej uprawiał swój profityczny proceder (do 4 tysięcy miesięcznie), gdyby nie list z Krakowa. Zacny Roztwor *autos efa:* albo on albo ja. Areopag Nieśmiertelnych stanął przed ewentualnością nowego skandalu...

I wtedy inicjatywę wziął w ręce ten, który początkowo Rzymowskiego najzażarciej i najzajadlej bronił prezentując Aeropagowi cały skandal jako „intrygę endecką". Aby okręt PALA ratować, trzeba jednak kompromitujący balast zepchnąć i wyrzucić. I dopiero kiedy „czcigodny prezes" tak zadekretował, gromadka odetchnęła z ulgą i rozeszła się po domach.

I teraz pytanie czy „czcigodny prezes" był właśnie na swoim miejscu (*right place*) i czy to on powinien był głos zabierać w tej drażliwej sprawie czyli czy pan Sieroszewski był „wskazany" na rolę tego, który posyła stryczek skazańcowi, nieszczęsnemu plagiatorowi, geszefciarzowi i moralnemu od lat dwudziestu bolszewikowi Wincentemu Rzymowskiemu?

Czy panu Sieroszewskiemu wypadało w ogóle zabierać głos w sprawie, w której dyskutuje się problem plagiatu literackiego?

Otóż wedle mojego zdania panu Sieroszewskiemu nie wypadało zabierać głosu w tej sprawie.

Pan Sieroszewski może zabierać głos we wszystkich innych sprawach.

Mało inteligentny, bez żadnego wykształcenia, nie mając pojęcia o ustawodawstwie zabiera głos w Senacie w dyskusji nad zwrotem dóbr skonfiskowanych przez rządy zaborcze Kościołowi katolickiemu. Wypowiada się przeciw oddaniu. Nie ma pojęcia o Konkordacie, zna najpowierzchowniej rok 1863, nie wie że omal 300 księży poszło na Sybir i to na Sybir prawdziwy nie na *jego Sybir* subwencjonowany i protekcyjny, nie jeździło po Sybirze wagonami I klasy i nie było na pensji herbacianej firmy Gromowych. Ale pan Sieroszewski mowę w Senacie taką a nie inną wygłosić mógł i był w swoim prawie. Chce sobie, zdyskredytowawszy się doszczętnie w swej Lewicy, zyskać na ostatnie lata z powrotem Lewicę. Jak zawsze wybucha patetycznie, sztucznie, z pozornym fanatyzmem a kierowany całkiem chytrym oportunizmem, kombinatorskim opor-

tunizmem. Przejrzeli to od trzydziestu lat Świętochowski, Reymont, Żeromski i nie taili się nigdy ze swą odrazą tak do najbardziej radykalnych wyskoków „czcigodnego prezesa" tak też i do niego samego najosobiściej. Z odrazą. Wygłaszając swą mowę w Senacie był Sieroszewski na swoim miejscu. Najpierw udowadniał, że przecież „trzyma mowy" i nie darmo bierze pensję i synekury a potem udowodnił, że nadal jest „antyklerykałem", że więc Lewica powinna mu być wdzięczną i liczyć się z nim i nie traktować go jako synekurnika, karierowicza, oportunistę, warchoła, sanatorżnika itp.

Tak samo był na swoim miejscu pan Sieroszewski ze swoimi niepoczytalnymi studenckimi, błazeńskimi, histerycznymi atakami na metropolitę krakowskiego. Wyrwał się w samą porę, stwierdzając swój analfabetyzm polityczny, ignorancję, nieuctwo, warcholstwo i typową spekulacyjkę na odzyskanie faworów liberalistycznej masonerii, Lewicy opozycyjnej i grossternów prasowych. Znów sobie przypomniano o jego egzystencji. Znów udowodnił obywatelom i towarzyszom, że zadarmo pensji różnych nie bierze, że się nie „odmienił" i „nie zdradził", że jest nadal „postępowcem radykalnym" i idzie przeciw reakcji. *Quod erat demonstrandum.* Niechżeż więc mu nie biorą za złe, że on jeden z literatów ma śliczną „willę nad morzem" (na Kamiennej Górze), że jeździ paquardami, broni Brześcia i Berezy i obwieszon orderami.

Te dwa wyskoki starego *faux-bonhomma* dadzą się zatem wybronić z punktu widzenia interesu osobistego, partyjno-politycznego. Nie była to zresztą demaskarada, ani nowalia, ani niespodzianka, gdyż w całym życiu i we wszystkich wystąpieniach i poczynaniach politycznych i społecznych zawsze obok katonicznego fanatyzmu współbrzmiały dwie nuty tj.: kabotyństwa i samochwalstwa obok geszefciarskiego kombinatorstwa.

Jeżeli teraz komukolwiek wydaje się ten ton i styl, jaki się tu w stosunku do „czcigodnego prezesa" używa, za surowy, za bezwzględny i wszelkiego respektu pozbawiony, *styl jakiego by się nie stosowało do żadnego piszącego kolegi w Polsce*, to pozwolimy tu sobie jako *glejt* dla ekskuzy przytoczyć ton i styl w jakim pan „Męczennik" (sic) pisał swego czasu o... Henryku Sienkiewiczu.

Pismo: „Trybuna", Kraków I. XII. 1906 nr 3. Pan Sieroszewski zarzuca Sienkiewiczowi, że kłamie, że jest *ojcem bandytyzmu* w Polsce i pisze:

„Jak szalenie musiał się nudzić mistrz Henryk, pisząc ostatnie swe wypracowanie na temat „O położeniu w Królestwie".

W wierszach wprost czuć krokodyle ziewanie, myśli wyparzone, jak stare trojaki toczą się od kropki do kropki bez błysku życia, bez dźwięku uczucia. Przyjacielu Petroniuszu, czyż nie wzdragasz się na widok tak licho odegranej komedii? Papo Pławicki poco udawać na starość szaloną do ojczyzny namiętność? Dobre i to, że dochowałeś jej wiary pod okiem żandarmów!"

„Pan Sienkiewicz szczodrą ręką siał kult gwałtu, przemocy, grabieży... Umiejętnie podniecał i kształtował wyobraźnię przyszłych bandytów i dlatego bandyci są tak niesłychanie śmiali i pewni siebie".

Zwalczaliśmy swego czasu i my z „Młodej Polski" Sienkiewicza, ale ani jeden z nas nigdy i nigdzie, w jednym zdaniu nie pozwoliłby sobie na takie szelmostwa i na takie infamie jak ta „czcigodnego prezesa" z r. 1906... O ojcu duchowym Legionów...

Z tej racji i teraz nie będziemy się tu zbytnio ceremoniowali z „czcigodnym prezesem", domagającym się wywiezienia metropolity do Sieroszewskiej Berezy.

Nad tym wszystkiem atoli możnaby przejść do porządku dziennego, skoro przeszła nad tym opinia publiczna, prasa, Sejm, Senat i koledzy z literatury, przebaczający zajadłemu starcowi jego ordynarne kabotyństwa, wyrywańce efekciarskie, analfabetyzm polityczny i studenciarstwo, wieczyste, nieuleczalne studenciarstwo.

Inaczej atoli z plagiatami, z ustosunkowaniem się do plagiatora Rzymowskiego z jego bronieniem a potem jego... dodźganiem.

Otóż do tych spraw pan Wacław Sieroszewski wtrącać się nie był powinien. Pod żadnym pozorem i w żadnym momencie. Dlaczego nie powinien właśnie p. Sieroszewski? Dlatego, że p. Sieroszewski *jeden jedyny* wśród akademików pozostaje dotychczas sam pod zarzutem plagiatorstwa. Plagjat zarzucili „czcigodnemu prezesowi" dwaj krytycy literaccy Piotr Grzegorczyk (w prasie narodowej) Leon Piwiński (w organie swego czasu sanacyjnym), dalej reasumując ich wywody... niżej podpisany.

Przeciw wywodom oskarżającym tych trzech publicystów pan Sieroszewski nie zareagował aktywnie. Procesu o zniesławienie i dyffamację ani Piwińskiemu ani Grzegorczykowi nie wytoczył. Tak samo mądrze, przewidująco, oportunistycznie nie wytoczył Andrzejowi Strugowi, który go *lege artis* otwarcie obraził i zniesławił. Również nie wytoczył swego czasu redakcji „Naprzodu"...

A cóż to znów było z „Naprzodem"?

Otóż swego czasu, kiedy klub B. B. W. R. zaproponował pana Sieroszewskiego na członka Trybunału Stanu, zaprotestował przeciw temu oficjalnie dzisiejszy prezes Trybunału Apelacyjnego p. St. Supiński a „Naprzód", aby definitywnie uniemożliwić groteskową kandydaturę przypomniał tak zwaną sprawę Machajskiego... haniebną sprawę z roku 1914... I „Naprzód" pisał:

> Sieroszewski zadenuncjował Machajskiego do żandarmerii, jako niebezpiecznego obcokrajowca, meldującego się fałszywie. Na skutek tej denuncjacji Machajski został aresztowany. Wstawił się za nim Żeromski i zdołał władze austriackie przekonać o jego niewinności, niemniej jednak Machajski został wydalony z granic Austrii. Odtąd opinia o poczytalności i etyce Wacława Sieroszewskiego była w kołach socjalistycznych i niepodległościowych ustalona. Stefan Żeromski żywił od tego czasu względem Wacława Sieroszewskiego nietajoną pogardę.

Kim zaś był ten Machajski, którego *zadenuncjował* „czcigodny prezes", o tym można się wywiedzieć z Listu Otwartego Stefana Żeromskiego, zamieszczonego w tomie prac publicystycznych St. Żeromskiego, wydanie Mortkowicza, strona 103.

Tak to pisał „Naprzód" o *pogardzie* Żeromskiego do Sieroszewskiego, tego samego Sieroszewskiego, dziś od lat 20 oficjalnego niepodległościowca i państwowca polskiego, który atoli swego czasu tuż przed wojną w lwowskim socjalistycznym „Płomyku" (Rocznik VIII nr 1. 46 i 47) tak pisał o państwie, o państwowości, o emblematach polskich itp.:

> „Państwo niczym nie może pochwalić się w przeszłości swej wobec człowieka. Wszystko co kultura i rozwój świadomości ulepszyły w stosunkach ludzkich, stało się bez udziału częstokroć wbrew jego zakazom i prześladowaniu. Państwo było zawsze narzędziem ucisku; gwałt i łupiestwo były dotąd głównym jego celem. Nawet źródło

słów jego nazwy, nie tylko w polskim ale i w innych językach — „pan“, „panować“, „rządzić“ zawiera w sobie hańbiący pierwiastek narzuconego przymusu i niewoli.

Czy więc pod godłem jakiegokolwiek państwa, choćby najładniej namalowanym i ubranym w tęczowe barwy legend bohaterskich, może stanąć uświadomiony robotnik, socjalista dążący do wyzwolenia siebie i braci swoich?!

Przenigdy!

Dlatego robotnicy musieli szukać innego godła: musieli szukać godła, które wyrażałoby ich namiętną dążność do wolności politycznej i ekonomicznej, oraz ich wszechświatową, międzynarodową łączność, wręcz przeciwną międzynarodowemu rozbojowi państwowemu. Mają znak taki, znak jeden, który powiewa zarówno w wiecznie zielonej Japonii, jak i na surowych śniegach Syberii.

A kolor jego jest czerwony...“

Tak to plugawie ten nasz „państwowiec“ pisał swego czasu o nadchodzącej państwowości polskiej.

Rzecz prosta, że gdyby nie mocno huligańskie wystąpienia „czcigodnego prezesa“ z lipca r. 1937, bylibyśmy mu tych wszystkich fekalii teraz nie przypominali i w ogóle figurą jego nie zajmowali. Byłby sobie dożył lat swoich w spokoju, w szczęściu, w chwale, w senatorskich paquardach, w „willi nad morzem“... podczas, gdy żyją gdzieś zapomniani i poniechani i w dosłownej biedzie Strug i Świętochowski. Wybaczone miałby i szczucie na Żeromskiego w r. 1917 i potwarze na Reymonta przez całe jego życie i zajadłą nienawiść do Kasprowicza za to, że się nie ubrał w kask ułański tekturowy, w jakim paradował przed fotografami „Sierosz“, zresztą na kartacze „Moskali“ nie łasy i mało z „wściekłymi ryzykantami“ ryzykujący.

Że atoli w lipcu wyskoczył z wrzaskiem na scenę a w marcu Wacek Wicka pchnął pierwszy ze skały, więc i sprawa plagiatów musi być znowu przypomniana.

Kiedy wyszło na jaw i stwierdzone zostało, że Rzymowski popełnił plagiaty, zachodziliśmy wszyscy do głowy i zastanawiali się bez końca nad tym, co mogło skłonić tego człowieka do eskamotażu zupełnie *niepotrzebnego.* W tym było coś zgoła psychopatycznego, graniczącego z obłędem. I to nie jednorazowo ale recydywnie a może i częstotliwie. Rzymowski posiadał i wielki talent pisarski i wielką wiedzę. W porównaniu z tym Wickiem Wacek jest pastuchowaty, niedouk, samouk, ignorant bez żadnego wykształcenia, podkarmiony rosyjskimi broszurami, o ruskiej mentalności i niepozbędnym nawet w szczerze, rdzennie polskich Legionach „duchu ruskim“. Stąd ta wścieklizna do rzymsko-katolickiej cywilizacji i do Europy w ogóle, stąd też ta *obcość* Sieroszewskiego w naszej literaturze. Ale Rzymowski był jednak Europejczykiem czytającym w kilku językach, piszącym łatwo, szybko, z werwą, myślącym a może nawet myślicielem radykalnym. Po cóż więc kradł? Całe lata, pisywał bez okradań, oryginalnie i samoistnie. Można się było z nim nie godzić ani w jednym zdaniu, w jednej myśli, można było pogardliwie odnosić się do jego wrzaskliwego, ordynarnego, demagogicznego bełkotu, do faryzeizmu tego *businesmana,* do jego szakalizmu i do skroś fałszywego opiekowania się chłopem tego miejskiego trotuarowego wygi, który chłopa i wsi nigdy na oczy nie widział. Talentu pisarskiego atoli nie odmawiał mu nikt. Czy Russel był mu więc naprawdę takim autorytetem, że aż trzeba było Russela okradać? Czy nie przeczuwał odrzynając całe partie, że to wcześniej lub później odkryją, że przyjdzie nań krach a potem

kompromitacja i tych grup, które go ostatnio odnajęły i którym się wysługiwał. Otóż właśnie, że nie, że nie przeczuwał a nawet może przeczuwając decydował się na „wściekłe ryzyko" plagiatu, przekonawszy się, że plagiowanie, plagiat nawet udowodniony nie pociąga za sobą u nas żadnych konsekwencji przykrych i szkodliwych dla plagiatora... stwierdziwszy naocznie, że nad zarzutami plagiowania (o ile się jest asekurowanym w miarodajnym obozie) opinia publiczna przechodzi do porządku dziennego. Mogą powtarzać się plagiowania recydywnie nawet na przestrzeni lat 30, a pomimo tego obwiniony pławi się nadal w dostojeństwach i zaszczytach i pozostaje nadal dożywotnio czcigodnym obywatelem, prezesem, senatorem.

Na co się tedy zapatrzył i na co mógł się powoływać i co mógł mieć pod ręką Wincenty Rzymowski w przystępie demencji czy ataku psychopatycznego odrzynający całe ustępy z Russela, bardzo względnej znakomitości, myśliciela społecznego może większego kalibru ale stylisty i prozatora pośledniejszego?

Otóż W. Rzymowski mógł mieć pod ręką bardzo poważne i solidne pismo *Ruch Literacki*, rok IV, listopad 1929. A w tym zeszycie „Ruchu" na stronie 273 udowodniono czarno na białym, że sztandardowa nowela p. Sieroszewskiego pt. Jang Hutsy w powiastkach Chińskich (rok 1901) jest dowolnym plagiatem z tysiąc-stronnicowego Pamiętnika dr Pawła Piaseckija, Rosjanina z podróży po Chinach Środkowych, wydanej nakładem tego samego Carskiego Tow. Geograficznego, którego „czcigodny prezes był ....? W „Ruchu Literackim" p. Grzegorczyk skonfrontowawszy tekst rosyjski Piaseckija z tekstem polskim dziś „czcigodnego prezesa" pisał:

„Należy teraz wyjaśnić, w jakim stopniu korzystał Sieroszewski z ksiażki Piaseckiego? — Można powiedzieć ogólnie, że ją częściowo przerobił na powieść. — Posiłkując się tym samym tłem lokalnym, początkowym wątkiem i motywami, wprowadzić oczywiście musiał element powieściowy: skonstruować fabułę. W tym celu do tego, co zastał, dodał (nie licząc podrzędnych) jedną ważną osobę, Jasia Brzeskiego. Wiążąc w ten sposób powieść z Polską, czyni Brzeskiego, ośrodkiem zainteresowania i bohaterem romansu. Wykorzystanie sentymentu narodowego dla losów młodego odważnego Polaka wśród obcego i wrogiego otoczenia (ulubiony motyw w powieściach dla młodzieży, np. „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza), miało się stać m. in. cementem spajającym przeróbkę. Jaś Brzeski przyłącza się do naukowo-handlowej ekspedycji, w której zastajemy w komplecie starych znajomych z dziennika Piaseckiego, z nieco tylko zmienionymi nazwiskami, lecz identycznymi charakterami i zawodami: Jest więc naczelnik wyprawy baron Butberg, o wszelkich cechach kpt. Sosnowskiego, jest zausznik barona fotograf, jest opozycja z doktorem i topografem, są wreszcie tłumacze: Małych i Siuj. Nieco inną droga ekspedycja wyrusza również przez Gobi, gdzie Brzeskiego spotykają zgoła nieprawdopodobne, a wymyślone przez Sieroszewskiego przygody. Następnie zapożyczenia treściowe, w początkach powieści tak silne, urywają się zupełnie: wykorzystywane sa tylko w dalszym ciągu realia. Cała więc chińszczyzna wzięta jest żywcem z Piaseckiego. Oczywiście z ogromu materiału mógł Sieroszewski skorzystać tylko w drobnej mierze w powieści liczącej około 250 stron druku. Uczynił to jednak bardzo śmiało, z znaczną bezceremonialnością nie siląc się wcale lub rzadko tylko na większe zmiany. Wiele przeto miejsc jest identycznych lub zaledwo tylko trawestowanych".

Pan Sieroszewski procesu o dyffamacje i zniesławienie nie wytoczył. A W. Rzymowski to sobie dobrze zapamiętał.

Upływają lata.

Pojawia się powieść Wacł. Sieroszewskiego o „Twardost. Twardowskim". Wartość: żadna. Krytyka subwencjonowanych dzienników

przyjmuje dzieło z subwencjonowanym respektem. Ale nie cała. Krytyk z obozu *sanacyjnego* p. L. Piwiński odmawia powieści wszelkiej wartości a nadto odkrywa znowu plagiat; analfabetyczny plagiat.

I pisze p. Piwiński:

„Dosyć często, zarówno w ustach osób działających jak i w narracji autorskiej, występują oryginalne teksty współczesne. Autor zazwyczaj nie ujmuje ich w cudzysłów dla wyróżnienia od własnego tekstu i tylko w jednym wypadku podaje w notce pod tekstem dokładną wskazówkę bibliograficzną. Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że te cytaty są przytaczane z błędami i zmianiami, które pozbawiają ich zrozumiałości. Tak np. na uczie u Twardowskiego (występującego wówczas jako doktór Giovanni Durccini-Campoletti), każe autor przemawiać Kasprowi Zebrzydowskiemu i wkłada mu w usta początek „księgi wtórnej" „Dworzanina" Górnickiego (t. II powieści, str. 246—248). Otóż wszystko czym się ten tekst u Sieroszewskiego różni od oryginału jest błędem lub niepotrzebnym zniekształceniem. Poza niekonsekwentnym zmodernizowaniem niektórych form, poza zwykłymi błędami (lada zam. lata, zaczynam zam. zaczym), są tu tylko zmiany zaciemniające jasny sens oryginału. Górnicki np. powiada: „Ganią też (chwalcy dawniejszych czasów) zasię i ubiór nasz dzisiejszy, powiadając być krótki — nieuczciwy, a długi — zuchwały". Sieroszewski zmienia to w ten sposób: „Nawet ubiór nasz dzisiejszy ganią, powiadając, by przykrótki, a nieuczciwy, a długi zuchwały" — co jest szeregiem słów bez uchwytnej treści. Takie same niedokładności i nieszczęśliwe zmiany zachodzą w przytaczanych (bez cudzysłowów) „Fraszkach" Kochanowskiego. Kiedy indziej znów autor korzysta z tekstu dziełka „Postępek prawa czartowskiego", każąc Maćkowi, słudze Twardowskiego, mieć w gospodzie wykład o różnych rodzajach diabłów."

Itd.

„Czcigodny prezes" ani nie wytacza procesu p. Piwińskiemu, ani nie probuje się bronić. Wybiera taktykę wyniosłego przemilczenia. I wygrywa. „Senator" nie potrzebuje się bronić. Badaczom i szperaczom, którzy już wpadali na tropy innych plagiowań w innych, „arcydziełach" czcigodnego prezesa po prostu sprzykrzyły się dalsze badania, tym bardziej, że odcięci... od bibliotek rosyjskich. P. Piwińskiemu czcigodny prezes procesu nie wytoczył. Ani niżej podpisanemu, ani A. Strugowi, ani „Naprzodowi". Odrzynający od *Pawła* Piaseckija zawziął się tylko na Stanisława Piaseckiego, z nim się procesował i wygrywał. I nadal prezydował i decydował i wyfraczał się i rozkraczał i prezesował i reprezentował i prezentował.

To wszystko widział i obserwował nasz biedny niedonosek Maracina, pogromca narodowców („Czcicieli Dyabła"), wróg klechów i obszarników, przyjaciel ludu, orędownik chłopów i robotników, których nigdy na oczy nie widział, geszefciarz i wyga. Ale talent, wielki talent i wielka wiedza i wielka dynamos. Aż szkoda że się potknął, spartaczył, sparszywiał i wyobcowany spadł na dno. To był jednak antagonista wysokiej klasy, którego satysfakcją było od czasu trzepnąć po łapach z krogulczymi szponami chciwca na pieniądze, chciwca omal Balzacoskiego. Wszyscyśmy chyba lubili czytać jego dyatryby i obserwować jak się ciskał, wierzgał, kopał, zapluwał, pienił, krztusił w infernialnej furji. Miał jednak coś demonicznego w sobie ten straszliwy *Quasimodo* z ruchami hieny. Ale to był ktoś. Już podnosił do góry „*krasną fahnę*" Rzymowiec, już groził Warszawie „kapitalistycznej" ten obłędnie chciwy na grosze i złocisze „Tygrys" przyszłej rewolucji, już marzył o roli Krylenki czy Jagody, już siebie widział jako podpisującego befehle: *raztrielat!*, kiedy nagle i najniespodziewaniej z jasnego nieba padł grom rewelacyjny, i przyszły Marat legł jak długi. I poszedł w cienie, w Hades.

Pies z kulawą nogą nie czyta dziś jego ataków w pokątnym świstku handełesów. Rzymowiec wychodzi z siebie i zionie jak otwarty kanał z okazji konfliktu wawelskiego. Nikt o tym nawet nie wie. Zgrzybiały jest i starczy jakby sprzed wojny europejskiej. Cuchnie naftaliną i przepoceniem. Ale jednak gdy miauczą po lewicy same koty, czasem wspominać przychodzi tego może istotnie nie tygrysa (à la Clemenceau) ale żbika czy rysia. Na czym się potknął? Na tym, że się zapatrzył w kompletną bezkarność plagiatorstwa na wielką skalę i systematycznego. Jeżeli wolno prezesowi, dlaczego tak karać członka tej samej kongregacji? Jeżeli wolno Wackowi, czemuż tak potępiają Wicka? I jakim prawem „czcigodny prezes", dwukrotnie zdemaskowany pierwszy daje hasło usunięcia publicysty o tak lekko i jednorocznie obciążonej hipotece?

Ostatnio w lipcu stanęli obaj ramię przy ramieniu judząc, szczując i plując. W momencie krytycznym, w którym wszyscy po lewej i po prawej może i zaciskając zęby zdobywali się z zaparciem siebie na maximum zimnej krwi i opanowania, w tym momencie ci dwaj warcholi nieuleczalni, pisarze polscy *jedyni, na których ciążą zarzuty o plagiatorstwo*, prześcigiwali się wzajemnie w dynamice jątrzenia, szczucia i wichrzenia. Obaj użytkowicze regimu, obaj oportuniści z maskami męczenników i bojowników, obaj mocno dostojewszczyzną zalatujący.

Cały świat literacki w Polsce zachował się poprawnie i przyzwoicie, cierpiąc głęboko i boleśnie od dnia 23 czerwca. Dużo nocy bezsennych spędzili pisarze polscy i dużo im siwych włosów przybyło na skroniach. Ale jednak nie dali się porwać do żadnych enuncjacji, schlebiających ulicy to z prawej to z lewej strony. Tylko te dwie „indywidualności", te dwa typy o mentalności raczej wschodnio-europejskiej, ściślej rosyjskiej, ruskiej, z ustawicznymi ciągotami dostojewskimi, rozpoczęły wyścig -1 gawego warcholstwa i antypaństwowego, antynarodowego, antycywilizacyjnego, *wrednego, nahalnego* szczucia Polaków na Polaków.

Aż się doczekali, że w nagrodę za ich ostatnie wyczyny wzięło się obu teraz pod pełne światło i sprezentowało „nagie dusze" bez obsłonek.

PRZYPISEK REDAKCJI: Już po złożeniu tego artykułu pojawiły się w prasie artykuły żywo dyskutujące plagiatorstwo prezesa Sieroszewskiego. Pierwszy — p. Tadeusz Hernes w Orędowniku Wielkopolskim, odkrył daleko idące „podobieństwo" między bajkami Sieroszewskiego i braci Grimmów; również „Prosto z Mostu" przypomniało zarzuty p. Gregorczyka, o których także mowa powyżej. Ze względu na rolę, jaką Sieroszewski odgrywa w życiu polskim sprawa ta nabiera specjalnego charakteru, i budzi zrozumiałe zainteresowanie i zastrzeżenia.

Z POKŁOSIA KASPROWICZOWSKIEGO

SŁOWACKI

Przemówienie prof. Jana Kasprowicza na Akademii ku czci Słowackiego urządzonej przez Wszechnicę lwowską w dniu 5 grudnia 1909 r.

1. Śledząc przebieg tegorocznych uroczystości jubileuszowych, niejeden z nas nie mógł się zapewne opędzić przykremu uczuciu, że pomiędzy duszą zdawkowymi ceremoniami uwielbień otoczonego przedmiotu a duszą w ten sposób uwielbiającego społeczeństwa, jakiś mimo wszystko głęboki uwydatnił się rozdźwięk.

Niejeden z nas otwarte lub wstydliwe wypowiadał zdziwienie, że naród, który spośród innych narodów najbardziej może przywykł do okazywania czci swoim wielkim poetom, ponieważ w wiekopomnym ich dziele widzi odbicie swoich własnych pragnień, swoich cierpień i swoich nadziei — że ten naród, który bez zastrzeżeń imponujący złożył hołd twórcy *Dziadów*, wobec Słowackiego z grzeczną zachowuje się rezerwą, że, nie umiejąc zdobyć się na energię, ażeby śmiertelne szczątki tego nieśmiertelnego króla pieśni w królewskich pomieścić grobach, uniewinnia się argumentami, do jakich nie śmiał się był uciekać przed laty kilkunastu, gdy szło o użyczenie miejsca w tych samych podziemiach Wawelu jego wspaniałemu współzawodnikowi.

Co więcej, niejednemu z nas zdawało się czasem, jak gdyby pomiędzy społeczeństwem, a postawionym na skałach oceanowych, iżby przypominał wiekowe dzieje ducha swojego, piewcą *Genezis* stanął natchniony głosiciel krwawych dziejów pielgrzymstwa polskiego; jak gdyby nikły, przemijający ich spór za życia zawlókł resztkę swojego cienia na drogi pozgonne, po których w sercu oddanego im narodu obaj w nierozerwalnej już przyjaźni kroczyć powinni.

Jeżeli wrażenie to nie jest mylne, jeżeli nie jest wypływem jedynie zbytniej drażliwości bezwzględnych wielbicieli Słowackiego, dla których choćby ostatecznych granic sięgający entuzjazm nie dosięga przecież miary potęgi jego poezji, to trzeba nam będzie przypuścić, że albo naprawdę poezja ta nie jest wyobrazicielką polskiej duszy zbiorowej, albo że społeczeństwo, nie rozumiejące, jak się to często zdarza, swojej własnej istoty wewnętrznej, nie dojrzało jeszcze do tyla, ażeby pojąć i należycie ocenić twórcze odbicie jej w *Anhellim* czy *Zborowskim*, w *Księdzu Marku* czy w nadczłowieczych zmaganiach się Króla-Ducha.

2. Nie myślę oczywiście rozstrzygać tej kwestii, — jako tako wyczerpująca odpowiedź nie pomieściłaby się w tych, świąteczną chwilą narzuconych, ramach mego przemówienia.

Gdyby jednak przypuszczenie pesymistów, zamykające w sobie zarzut obojętności, na rzeczywistych, obiektywną obserwacją utwierdzonych spoczywało podstawach, to dla oczu ludzi, usiłujących uwolnić się od

uprzedzeń, powody tego zjawiska są nietylko łatwo przystępne, ale i całkiem naturalne.

Szukać ich należy nie tyle w naszym, ideami klasycznymi przesyconym wychowaniu szkolnym, gdyż pewna część młodzieży, znalazłszy dostęp do prądów nowoczesnych, wyłamuje się spod rygoru estetyki, piętnującej wszelkie pierwiastki subiektywne jako rzecz zdrożną, ile raczej w tym strasznym zamęcie walki, którą o najkardynalniejsze warunki życia narodowego od tylu a tylu lat toczyć jesteśmy zmuszeni.

Wbrew wskazówkom szkolnym niejeden z nas nauczył się rozumieć, że nie w obiektywnym Homerze skrystalizowały się wieczyste pierwiastki duszy ludzkiej, tak jak ona ujawniła się u Greków, ale że do Aischylosa zaglądnąć nam trzeba, ażeby w piekących, niezamarłych problematach, problematach winy i kary, znaleźć to co nami wstrząsa, co nas do głębi porusza, co nas uczy, że duch ludzki w zasadzie jednakowe posiada przymioty, choć przymioty te w odmiennych uzewnętrznia kształtach.

Niejeden z nas gorąco przyklaskiwał zdaniu, że nie bronią obiektywnego rozumu szermujący Lukrecjusz Karo, nie wytrawny, rozsądnie zrównoważony Horacjusz, nie epicki Wirgili, choć mu pierwiastka subiektywnego, tj. lirycznego, odmówić nie można, lecz Dante, mimo wielkich przeobrażeń, jakie z biegiem wieku spełniły się w rasie łacińskiej, stał się tej rasy najwspanialszym wyobrazicielem, dzięki tej subiektywnej mocy uczucia, która, wybijając się z powijaków scholastycznej mądrości, uczy nas stapiania się z bóstwem w ekstazie nieokreślonej, czy choćby nawet dogmatem określonej, wiary.

Niejeden z nas, a z nami niejeden młodzieniec dzisiejszy, uciekał i ucieka od prawideł estetyki książkowej do genialnego piewcy nieokiełzanych, pierwotnych, tak z żadnymi obiektywnymi względami nie liczących się namiętności ludzkich, do Szekspira — niejeden z nas chodził czy chodzi do źródeł duszy Byrona i Shelleya, którzy, patrząc przez subiektywny pryzmat swego wnętrza na spełniające się naokół nich życie, zdają się być częstokrotnie zaprzeczeniem zimnej mechaniki tego życia, wytwarzają nowe walory uczuciowe, kierujące mechanikę tę jak gdyby na przeciwne jej tory swobody indywidualnej, społecznej czy politycznej.

Ale w tym uciekaniu naszym od rozmaitych paragrafów estetyki, która przez długie lat dziesiątki podrwiwała sobie z hamletowskich rozmyślań, która dziś jeszcze z obłudną wstydliwością odsuwa stronice *Don Juana*, lub załamuje ręce nad mętną rzekomo ciemnią *Alastora* — w tym uciekaniu do krynicznych, żadnym studniarskim materiałem nie ocembrowanych głębin uczucia zastępowały nam drogę przypomnienia strasznej katastrofy dziejowej, która pozbawiając nas samoistności politycznej, nie wiadomo na jak długo podcięła korzenie rozwoju naszego bytu narodowego; zastępowały nam drogę widma poległych pod Maciejowicami, zastępowały nam drogę bohaterskie hasła belwederczyków, lepiły się do nas jęki mordowanych, westchnienia zesłańców sybirskich, wgryzały się w nasze wnętrze te wprost nieprzeliczone, mimo wielkiego smutku, a nieraz i wielkiej rozpaczy, jakimś nieprzepartym a tajemniczym urokiem męczeńsko-bohaterskiej poezji owiane obrazy.

I w tej chwili, jak gdyby pod działaniem jakiejś magicznej siły, a przecież tak prostej i zrozumiałej, bo będącej świadomym czy nieświadomym wynikiem samozachowawczego pędu człowieka, jako jednostki zbiorowej, jednostki należącej do zrzeszenia, którego kwestia życia zwią-

zana jest z przelewem krwi, katorgą i kaźnią, czynników strasznych, a przecież poetycznych, bo złączonych z nadludzką odwagą i nadludzkim poświęceniem, a więc z pierwiastkami uczuciowymi — w tej chwili we wnętrzu naszym, na którego terenie, jakby na jakimś krwawymi blaskami krwawego zachodu zlanym pobojowisku, tłumiła się w towarzystwie żalu czy nadziei jedna już tylko predominanta uczuciowa: żądza odzyskania i zachowania narodowego bytu — w tej chwili w tym wnętrzu naszym zrodził się rozkaz, że i poezji wolno być wyrazem tylko właśnie tej jednej predominanty.

I w tej samej też chwili, jakgdyby pragnąc się uniewinnić, że śmiemy poezji, przywykłej do szybowania po bezkresach, naznaczać ściśle oznaczone kresy, że śmiemy ją, pod grozą utraty miana poezji prawdziwej, zamykać w granice uczucia patriotycznego, przywodzimy sobie na pamięć szereg argumentów historyczno-literackich, argumentów oczywiście dodatnich, a nawet wspaniałych, jak nietylko u Mickiewicza, ale i u jego poprzedników, po których nieraz najmniej by się tego można było spodziewać, ten patriotyczny pierwiastek zmienił się w mniej lub więcej jedynowładnego pana twórczości.

Przywodzimy sobie na pamięć, że nawet taki Krasicki, splendor doby stanisławowskiej, na pozór chłodny dworak, — w rzeczywistości żył życiem swego narodu; że podczas kiedy Voltaire wszystek złośliwy spryt swój wysilał na wstępowanie w szranki przeciw abstrakcyjnym pojęciom dogmatyki religijnej, w ordynarny znieważając ją sposób, — że podczas kiedy Delille, nie rozumiejąc ducha Przyrody, przystrzygał ogrodne błonia jej i skostniałymi napełniał alegoriami, — to on, nasz Krasicki, jakkolwiek francuskim hołdował gustom, choć układnie obcował z nieprzyjacielem kraju, przecież nie mógł pióra swego nie poddać kierownictwu miłości ojczyzny.

Przypominamy sobie, że wszystkie nowe hasła literackie, przychodzące do nas z zachodu, z Niemiec, Anglii i Francji, padały u nas zawsze na ten specjalny, patriotyczny grunt uczuciowy; że ani jeden z prawdziwych poetów epoki przejściowej nie zadowalał się gotowymi formułkami, ale że formułki te przezwyciężywszy, kierował kroki swe ku rodzimym źródłom uczuciowym, że taki np. Woronicz w chłodne opisy książęcej siedziby puławskiej wplatał tak potężne akordy bólu z powodu utraconej swobody, iż te śmiało postawić można obok najgorętszych, najwznioślejszych wylewów Skargi, że kiedy pod wpływem teorii romantycznych zaczęto dla zmrożonej pseudoklasycyzmem poezji odżywczego szukać ciepła w motywach gminnych, odrazu hasło to zespalało się u nas z myślą społeczno-patriotyczną: wskazywano na lud nie tyle jako na dostawcę świeżych motywów poetyckich, ile jako na nieznany dotychczas, tajemniczy, zbawczy czynnik w całokształcie życia narodowego.

3. I otóż, jeżeli naprawdę istnieje jakiś rozdźwięk pomiędzy tak zwanym inteligentnym nawet ogółem a Słowackim, jeżeli naprawdę nie nadszedł jeszcze czas, w którym dusza jego, jak Balladyna, wbrew rozwadze i historii zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości; jeżeli — mimo jubileuszowych obchodów — nie spełniły się jeszcze bez ograniczeń jego słowa, że za grobem jego zwycięstwo, że imię jego słyszane będzie nie tylko w szumie płynącego pod górą krzemieniecką potoku, ale w całej Polsce — słyszane oczywiście z godnym imienia tego od-

dźwiękiem, — że jakaś niby tęcza z myśli jego unosić się będzie nietylko nad ruinami zamku w mieście rodzinnym, ale po całej, gruzem zawiedzionych nadziei, nie dopełnionych praw, zmarnowanych wysiłków zasianej ziemi naszej, — jeżeli więc nasze obchody uroczyste nie są takim samorzutnym, ze znajomości i serdecznego umiłowania duszy poety wypływającym aktem hołdu, to, zdaje mi się, jedna z pierwszych przyczyn leży w nieporozumieniu co do rzekomego braku pierwiastka narodowego w jego poezji.

Mówię już narodowego, nie zastanawiając się bynajmniej nad tym pomieszaniem pojęć, utożsamiającym pierwiastek narodowy z ciaśniejszym pierwiastkiem patriotycznym.

Każda prawdziwa wielka sztuka zawsze była, zawsze jest i zawsze będzie, narodową, bo każdy prawdziwy wielki twórca jest nietylko wytworem ojczystej ziemi i ojczystego nieba, ale i tej ziemi i tego nieba oryginalnym wypowiedzicielem.

I jeżeliby można mieć jakieś wątpliwości co do niedostatecznego napięcia tego wypowiedzenia się środkami, których artyście użycza ojczysta ziemia i niebo ojczyste, to zarzut ten mógłby tylko dotyczyć tych utworów — i ze stanowiska czysto formalnego nie odpowiadających mierze wymagań, jaką nauczeni doświadczeniem, zaczerpniętym z późniejszych jego dzieł, przywykliśmy stosować do jego twórczości w ogóle — utworów, z którymi przede wszystkim wiąże się utarty już dzisiaj frazes o zbywaniu im na tak zwanej prawdzie wewnętrznej, o przepojeniu ich zbyt wielką sumą czynników egotycznych, do utworów, które, powstawszy pod bezpośrednim wpływem Byrona, gloryfikowały pseudorewolucyjne wyłamywanie się niesfornej jednostki z karbów społecznych, z karbów, nie zawsze istotną będących niewolą.

Ale już i w tej epoce, w której tak daleko jeszcze było od bram świątyni, w której jakby zwolennik franciszkańskiego ascetyzmu a równocześnie i franciszkańskiej radości z posiadania takich darów bożych, jak wierzba podolska i możność umiłowania jej, jak słońce i gwiazdy na niebie a związana z ciałem dusza ludzka na ziemi, jak dana tej duszy żądza i zdolność wydobycia się jej z tych więzów — otóż i w tej epoce, tak dalekiej jeszcze od wnętrza mistycznego kościoła, w którym poeta i niesłychanie pokorny i niesłychanie wyniosły — swe śluby nowego, sprawie powszechnej oddanego życia przypieczętował słynnym: *„Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!“* — otóż i w tej epoce znaleźlibyśmy niejeden moment dowodzący, jak niesłuszne i niesprawiedliwe są zarzuty, i dziś jeszcze czynione poecie, zarzuty, iż nieposkromiony egotyzm jego tak się rozpanoszył, tak się olbrzymim, potwornym ciałem swoim rozłożył na terenie twórczej jego wyobraźni, że na inne uczucia, związane z życiem narodu, a któreby twórczości tej narodowe nadały piętno, nie było już miejsca.

Nie mówię o samym doborze tematów, zewnętrznie obracających się około legendarnych dziejów naszych, nie mówię o nadgoplańskim, pysznie odczutym pejzażu, nie mówię o osobach, które, aczkolwiek zrodzone z natchnień szekspirowskich, nietylko że w narodowym obracają się kostiumie, w kontuszu czy płótniance, w palonych butach czy łapciach łykowych, ale i narodowy ujawniają charakter — nie mówię o tym wszystkim: sam jeden Anhelli, w blaskach zorzy północnej wędrujący po nieprzebytych

śnieżystych obszarach symbolicznego Sybiru, samo to jedno upostaciowanie męczeńskiej ciszy a równocześnie i ciężkiego zwątpienia w przyszłość narodu, zwątpienia, które się gubi w zawiłym kłębie niepokojących pytań, gdzie i jakich szukać środków zbawczych, sam jeden Anhelli, w takim postawiony charakterze, przeczy tym wszystkim, którzy z dobrą czy złą wiarą obniżają narodowy charakter tej poezji.

Sama jedna Roza Weneda, wygłaszająca znowu protest przeciw spokojnej ofierze anhellicznej, Roza Weneda, na wymarcie skazująca naród dlatego, że jest narodem spokojnym — sama Roza Weneda, zamiast spokojnej lutni dzierżąca krwawą pochodnię siły i hartu, jakkolwiek głos ma podobny do głosu Aischylosowej Kassandry, jest dzięki treści tego głosu znowu dowodem, jak dalece ta, rzekomo „par excellence" egotyczna, poezja Słowackiego jest narodową.

Cóż z tego, że, jak z nie dającą się zaprzeczyć bystrością zauważył jeden z krytyków, Słowacki w postać Anhellego włożył niejeden pierwiastek własnej dotyczący osoby, uważającej się za wybrańca potęg wyższych, powołanego, aby spełnić rolę Chrystusowej ofiary, odkupującej grzechy i wynikające czy nie wynikające z tych grzechów cierpienia narodu; — każdy, pierwszy lepszy powstaniec polski, idący na plac boju, aby krew przelewać za sprawę swej ojczyzny, brał tę rolę na siebie.

Tym dodatniej świadczy to o subiektywiźmie Słowackiego, że to swoje „ja" wewnętrzne, że to twórcze swoje „ja" z takim obiektywnym łączył celem, że choćby nawet żadnego innego nie miał zamiaru, jak tylko przedstawienie siebie, to dla przedstawienia tego używał symbolów wziętych z życia narodowego, z jego cierpień, z jego duchowych prostracyj. Żaden z wielkich poetów świata, tworzący środkami własnej duszy (a innymi środkami tworzyć nie można), nie był w stanie eliminować swojej własnej osoby z procesu swej twórczości, bo każda prawdziwa twórczość będzie zawsze subiektywną, to znaczy liryczną, zaś granice pomiędzy subiektywizmem a egotyzmem tak są nikłe, tak subtelne, że z połączenia ich w twórczości nie można wysnuwać wniosków czyniących ujmę etyce.

Nic to nie znaczy, że Słowacki, nawet w ostatniej epoce ukorzenia się uważający się za naturę wybraną a demoniczną, doszukiwał się broni zbawczej w takich jak on jednostkach, że sam czując w sobie olbrzymie płomienie ducha Bożego, wielbił bohaterów, czcił umysły potężne, nieokiełzane, depczące w pochodzie swoim wszystko, co mogłoby im stanąć w drodze, choćby to były największe według naszych wyobrażeń prawa, wierzył, że tylko takie umysły świat przekształcają, że tylko tacy bezwzględni, przed krwią, a nawet zbrodnią, nie cofający się bojownicy porywają ludzkość i wiodą ją do krainy światłości, do krainy, gdzie ludzkość ta dosięga szczytu swego rozwoju, gdzie naprawdę staje się podobną Bogu, z którego powstała. Cel, zmierzający ku dobru powszechnemu, nadaje tej wierze charakter etyczny; cel, zmierzający do wybawienia własnego narodu, zamknięty w kształtach poetyckich, nadaje tym kształtom charakter narodowy. Toteż, jeżeli nie ogół, dla którego poezja, przez długie lata deptana przez urzędowych jej interpretatorów i przez to (skutkiem braku należytego jej wyjaśnienia i tym samym uprzystępnienia jej) ogółowi temu niedostępna — otóż, jeżeli nie ogół, to coraz liczniejsze jednostki, jak to widzimy choćby w kolosalnym wpływie jej na dzisiejszą twórczość naszą, poezji tej gorące oddają hołdy, widząc w niej nietylko świetną barwę i ton przecudowny, objawiony w jej formie, ale i dla wol-

ności materialnej i duchowej spragnionego narodu nową, zawiązki przyszłego świetnego bytu zapładniającą, ewangelię.

Uwaga: Odczyt o Słowackim wygłoszony został dn. 5. XII. 1909 na uroczystej akademii, urządzonej przez Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie w setną rocznicę urodzin J. Słowackiego.

Akademię zagaił owoczesny rektor Uniwersytetu St. Głąbiński. Podkreśliwszy, że narodowi pozbawionemu własnej organizacji politycznej idea posłannictwa, poczucie misji dziejowej, wytycza cel, dodaje sił i gwarantuje zwycięstwo, i stwierdziwszy, że wyrazicielem tej idei, jednym z najgłębszych, był Słowacki, Rektor ustąpił mównicy Profesorowi-poecie. „Niechże teraz — zakończył — opowiedzą o naszym niezrównanym arcymistrzu słowa i wyobraźni usta, więcej ode mnie powołane."

Jakoż rzeczywiście przemówienie Kasprowicza, poza trafnym zaznaczeniem roli Słowackiego w budownictwie kultury duchowej narodu polskiego, zawiera pierwszorzędnej wagi ujęcia i wyznania ogólne o poezji, o jej funkcji społecznej, wyznania charakteryzujące dobrze zarówno autora *Króla-Ducha*, jak i samego mówcę, jego upodobania literackie i jego własną samoświadomość poetycką. Jest to zatem nie tylko szkic literacki ale i wyznanie.

Przemówienie Kasprowicza, wydrukowane bezpośrednio po obchodzie w odcinku lwowskiego *Słowa Polskiego*, nie dostało się dziwnym trafem do wydania zbiorowego *Dzieł* Kasprowicza (1930 r.), obejmującego w czterech końcowych tomach (19—22) studia i szkice literackie Poety. Wydało się więc stosownym przypomnieć ten wspaniały i tak znamienny odczyt. St. Pigoń

JERZY PIETRKIEWICZ

BALLADA O DWORCU KOLEJOWYM

W nocy dymem rozwlekłym przeżegna stacyjkę Brzezie
pociąg pośpieszny,
i dal się świstem sygnału do brzegów lasu poszerzy,
spadnie echami jak deszczem.

Matko,
o 2.40 syn Janek — starszy mechanik
w rozpiętym palcie wiatr wiezie na grubej mrokiem platformie.

Przecież w oczach dal z torów zadumą na długo zostanie
i w fioletowym śnie skończy się kurtką skórzaną Janka.

26 razy na dzień do okien przywoła matkę
tor nabijany stukotem pociągów z dalekiej Warszawy.

Cóż z tego, matko, że łzami będziesz znów zmywać statki,
gdy może w pociągu Łódź—Poznań uśmiech się Janka pojawi.

Zapatrzenie trzeba będzie oprzeć o plecione cieniami sztachety,
aż ekspressem smutek matki przejadą
rozszerzone w mrok oczy poety.



Edwin Herbert

KRZEW RÓŻY

Ogrodnik pewien, rodem z Tuluzy, pod koniec długiego swego życia wyhodował w ogrodach swych niezwykłą w barwach, w woni i kształtach różę. Krzew jej był wysoki, wyższy od najtęższego rycerza, a kwiaty róży, pojawiające się w czerwcu, nigdy nie rozwierały swej czary, tylko aż do przekwitu pozostawały w lekko rozchylonych pąkach. Płatki róży tej były śnieżnie białe z żyłkami czarnymi, tak iż kwiat każdy podobny się zdawał przedziwnemu puharowi. Zapach jej był niezwykle mocny i odurzający jak wschodnie wonności; rodził się zaś tylko nocą. W dzień róża była piękna, lecz bezwonna, jakby we śnie pogrążona.

Tę to różę w jedynym na świecie krzewie za cenę rycerskiego klejnotu nabył od starego ogrodnika pan de Cardignac, rycerz hrabiego Rajmunda, i w przeddzień ślubu swego z panną de la Varenne na wielkim dziedzińcu zamku Cardignac zasadził.

Gdy goście po uczcie weselnej późną nocą do komnat się rozeszli, pan de Cardignac sprowadził żonę swą na dziedziniec i na ławeczce pod właśnie rozkwitłym krzewem przysięgę kościelną przysięgą miłosną na różę przypieczętował.

Tak więc siedzieli oboje na marmurowej ławie na środku dziedzińca ukryci pod gwieździstym płaszczem nocy i w ciernistych ramionach wonnego krzewu.

I mówił rycerz; a głos jego drżał wzruszeniem i tą pewnością, którą miłość daje:

„Po raz pierwszy spotkałem Cię, Armando, w szumiącym wiosną lesie z łukiem na ramieniu, na koniu czarnym pędzącą za rudą łanią, nawet król zechciał cię podziwiać. Lecz ja nie podziwiałem celnego lotu twych strzał; raczej twoje krucze włosy, które wymknęły się spod kołpaka i okryły ci ramiona jak drugi płaszcz narzucony na pierwszy, błękitny. Potem nieraz przypatrywałem ci się — czy to, gdyś z mieczem w ręku nacierała na swych pachołków na podwórcu zamku Varenne, tak iż najbieglejsi cofać się musieli — czy to, gdyś w najskromniejszej szacie kiełznała najdziksze konie z stadniny swego ojca.

Upodobałem cię sobie, Armando, i pragnąłem cię poślubić. A gdy ojciec twój przychylił się ku mym gorącym pragnieniom, umyśliłem ofiarować ci jako dar ślubny godny ciebie — ten krzew róży. Obce ci są klejnoty, wiem; nawet na pierścień, godny palca królowej, z najpiękniejszym kamieniem Francji, nie spojrzałaś. Tym pewniejszy jestem mojego

wyboru. I jak ten krzew nie opuści dziedzińca zamku Cardignac, tak ja nie opuszczę ciebie. A gdybym musiał odjechać, wziąłbym z sobą kwiat róży, gdyby to wiosną było, lub gałąź cierniową o innej porze, na znak, że przysiągłem, że przysięgi dotrzymam."

Odrzekła mu pani:

„Ujrzałam cię, panie, po raz pierwszy przy uczcie u ojca mego. Siedziałeś wśród roześmianej gromady jedyny milczący i poważny. Podawałam pijącym dzbany z winem, niczym nie odróżniona od dziewczyn służebnych. Gdym cię dostrzegła, sama nie wiem dlaczego, przed tobą najlepsze stawiłam wino i najpiękniejszą czarę. Urzekł mnie spokój twej twarzy i powaga czoła. Nie widziałeś mnie; wtedy chyba nikogo nie widziałeś. Nie wiem czy był to pierwszy znak miłości, lecz długo myślałam o tobie, gdy ułożywszy się do snu, słyszałam okrzyki twoich towarzyszy i głośny śmiech ojca. Miłym mi się zdałeś, panie, i nie próbowałam przerywać ojcu, gdy mówił mi o tobie.

Zaszczyca mnie dar twój; sądzę, że nie omyliłeś się ofiarując mi różę zamiast sznuru pereł twej matki, sznuru, o którym słyszałam, że wart jest obu zamków — Cardignac i Varenne. Przysięgę twoją przyjmuję i ufam Bogu, iż pozwoli ci jej nie złamać."

Wiele słów i wiele pocałunków nocy tej uchronił szumiący leciutko drżącymi listkami krzew róży przed wzrokiem gwiazd.

Odtąd codziennie o zmierzchu, gdy krzew pąki swych kwiatów rozchylać zaczynał, schodzili na dziedziniec i woni odurzającej się poddawali jak jednej z pieszczot miłości. Nie brakło im ani słów ani spojrzeń, gdy skronią przy skroni siedzieli w zasłuchaniu radosnym; bogaty jest świat dla dwojga młodych, niezliczone są rzeczy, które powiedzieć należy, bez końca rodzą się rzeczy, które razem trzeba zobaczyć.

Miłość ich trwała niezmienna, krzewem róży szczęśliwie zaprzysiężona. Lecz na jesień drugiego roku po ślubie przybył wysłannik królewski, z pismem króla i z bullą papieską. Król Francji i Ojciec święty poprzysiegli grób Chrystusa odebrać niewiernym. Król życzy sobie, by wszyscy wierni wasale z wiosną gotowi byli wyruszyć zbrojnie w jak najliczniejszym towarzystwie własnych poddanych na wschód.

Nie zdążył zakwitnąć krzak róży niezwykłej, gdy pan de Cardignac żegnał się z żoną. Nie płakała, oczy jej płonęły zapałem, sama na mężu poprawiała rzemienie i klamry srebrzystej zbroi. Pan de Cardignac gdy straże nad bramą otrąbiły wyjazd, gdy towarzysze już barwnym wężem wyciągnęli się na drodze, w blasku chłodnego marcowego słońca podszedł do krzewu róży i ułamał zeń najeżoną ostrymi cierniami gałązkę. „Kłuć mnie będzie i przypominać o tobie" — zaśmiał się, ucałował żonę i dosiadłszy białego konia, odjechał za swoim orszakiem, którego śpiewy już ucichały w oddali.

Tego roku na wszystkich gościńcach i drogach państw francuskich, niemieckich i włoskich ciągnęły z śpiewem pobożnym i z radosnymi krzykami zbrojne gromady. Zieleniły się już pola, słońce przyjaźnie świeciło wędrowcom, a chłopi pracujący na roli dłonie podnosili do czoła olśnieni błyskami broni wszelakiej i zbroic rycerskich. Orszak pana de Cardignac wkrótce złączył się z orszakiem pana de Varenne; ciągle spotykały się nowe oddziały i coraz rosły hufce, przemierzające Europę, dążące na daleki wschód. Prowadził książę Gotfryd de Bouillon, brat jego

Baldwin, pan Flandrii i Rajmund, hrabia Tuluzy.

W lipcu, gdy wojska obozowały wśród głębokich dolin Grecji, pan de Cardignac otrzymał przez wysłannika zasuszony, lecz wonny kwiat róży z krzewu na dziedzińcu swego zamku. Kładł go odtąd zawsze przy misce swojej w czas uczty i uśmiechał się do zeschłego pąka, jak przedtem do swojej Armandy. Śmiali się z niego towarzysze, lecz nie zaniechał swego zwyczaju.

Potem przyszły pierwsze utarczki i pierwsze bitwy. Saraceni bronili każdego miasteczka, każdej wioski, każdego szmatu nieurodzajnej, pustynnej ziemi, krzyżowcy posuwali się zwolna, lecz nieustępliwie.

Wojskom nie brakło ni wina, ni tancerek; wino przybywało w wielkich beczkach z Francji, z państw włoskich, z Grecji — w każdym miasteczku zdobywali tancerki — tylko chleba i mięsa nie było dosyć.



Nie zdążył zakwitnąć krzak róży niezwykłej, gdy pan de Cardignac żegnał się z żoną.

Aż zdarzyło się, iż w pewnej bitwie pan de Cardignac postradał zasuszony kwiat róży i nie mógł go już kłaść przy swym puharze na widomy znak przysięgi.

Zdarzyło się dalej, że tancerka pewna, imieniem Zelima, upatrzyła sobie zamyślonego rycerza i na kolana mu siadła po odtańczeniu tańca niespodziewanej miłości. Potężne jak granit jest słowo męża, lecz spojrzenie kobiety jest jak diament tnący każdą skałę.

Odepchnął pan de Cardignac dziewczynę, nie uległ tancerce. Ale — Saraceni trzymali się dzielnie i hufce obozować musiały długo, miesiącami nie ruszając z miejsca. A tancerka tańczyła wszystkim, lecz dotknąć pozwoliła się tylko panu de Cardignac. A gdy zapłonął on, odepchnęła go. Nie wolno bowiem sprzeciwiać się kobiecie, gdy po odtańczeniu tańca niespodziewanej miłości zbliża się do mężczyzny.

Często stawał teraz rycerz pod oknami mieszkania Zelimy. Wśród wąskich ulic grały flety, wieczory rozgwieżdżone chwiały się nad płonącą głową pana de Cardignac. Śmiali się znowuż towarzysze z niego i wypominali mu różę przy półmisku i przy puharze; wtedy chmurzył się, przez kilka dni nie chodził do Zelimy i odwracał się plecami do niej, gdy tańczyła w namiocie. Potem jednak szedł znowu pod okno jej i słuchał grania fletów i rytmicznego poszumu bębenków.

Aż pewnego wieczoru spostrzegł, że nie stoi sam pod oknem arabskiej dziewczyny. Stał tam nieznany mu rycerz; gdy podszedł doń, ów potrącił go, nie przeprosiwszy. Dobyli mieczów obaj i poprzez smętne pogwizdy piszczałek i śpiew fletów w wąskiej uliczce zadźwięczała stal. Rozdzielili ich pachołcy straży księcia de Bouillon; na jasny dzień, przed obliczem księcia, naznaczyli sobie zbrojne spotkanie.

Nie wiele mieli zabawy rycerze krzyżowi w owe upalne dni palestyńskie. Toteż nie zabrakło ciekawych, którzy przybyli przyjrzeć się pojedynkowi pana de Cardignac z nieznanym rycerzem. Słońce stało wysoko, cieni nie było niemal wcale. Barwne szeregi rycerzy utworzyły koło, gdzie odbyć się miała walka.

Z dwu stron nadjechali ku sobie przeciwnicy: pan de Cardignac na swoim siwym koniu, w srebrzystej zbroi i z białym płaszczem na ramionach, obcy rycerz na czarnym koniu w płaszczu błękitnym. Zatoczyli końmi, mieczami skłonili się księciu, potem sobie. A po ukłonie zadźwięczała stal o stal. Biegli byli obaj w władaniu mieczami, więc walka toczyła się długo i niejedna była rana po obu stronach. Lecz nagły cios w ramię, nie wporę odbity, zwalił pana de Cardignac nieprzytomnego na piasek. Rycerz nieznany skłonił miecz przed leżącym wrogiem, potem przed księciem i nie zatrzymany wjechał między szeregi widzów; nigdy go już nie ujrzano.

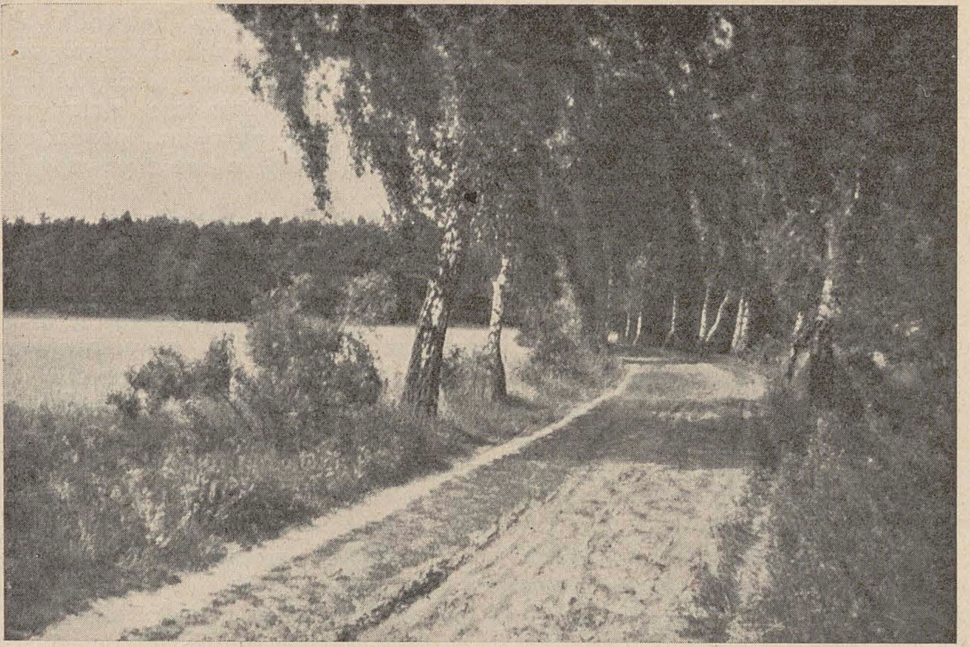
Pan de Cardignac wrócił do przytomności na rękach medyka przybocznego księcia. Na łożu leżała zasuszona róża, taka właśnie, jaką zgubił przeszło rok temu w jednej z pierwszych bitew. Gdy powstał z łoża, wiele minęło czasu od walki z obcym rycerzem. Jerozolima była już zdobyta, wojsk krzyżowych niedobitki wracały już do ziem ojczystych. Wracał i pan de Cardignac; tak samo jak przedtem kładł teraz przy sobie pąk zeschniętej róży, ale już nie uśmiechał się do niej — smutny był i pogrążony w zadumie; któż mógł mu wyjaśnić cud przywróconego talizmanu?

W bramie zamku Cardignac, przy dźwięku trąb i wśród okrzyków służby, powitała go Armanda; tym samym uśmiechem go witała, jakim żegnała męża trzy lata temu. Razem podeszli do rozkwitłego właśnie krzewu róży. Był jasny, słoneczny dzień czerwcowy. Kwiaty były zamknięte i nie pachniały. Krzew rozrósł się jeszcze bardziej i marmurowa ława prawie znikła pod wiszarem liści. Ale było dość jasno, by pan de Cardignac mógł zauważyć, że Armanda ma przegub dłoni przebity i że kazi piękno dłoni szeroka blizna. Na zapytanie Armanda uśmiechnęła się:

„Na różę poprzysiągłeś, panie, chciałam ci pomóc, byś przysięgi dotrzymał. Więc byłam z tobą i z różą na sercu strzegłam twych kroków..."

A wieczorem rozchyliły się pąki i odurzająca woń kwiatów była dla nich jedną z dawno nieznanych pieszczot miłości.

Ilustr. Barbara Tymińska



fot. Jerzy Szulc „Lato"

DR BOŻENA STELMACHOWSKA

P O Ł U D N I C A

Szkic etnograficzny

Jest południowa godzina. Górą nad światem rozpięło się niebo bez chmur, jak olbrzymia biała płachta — dołem przypadła ziemia, twardą piersią z żelaza, żarem w grudę ścięta. Pośrodku, między rozedrganą nieskończonością nieba i ziemi zawisła nieruchomo kula słoneczna, rozpryśnięta wokół ostrymi pazurami promieni.

Cisza dzwoni tętniącą krwią. Czasem tylko pierzchliwy wiatr zerwie się gdzieś i wnet przepadnie. To wiatr, polami chodzący. A wówczas chylą się i wzbierają falami zboża, uderzają o siebie brzękliwe kłosy, przecierają się źdźbła suche, szustem i szelestem gadające, skłonią się ku sobie i odchylą z powrotem, zagrają cichą melodię i milkną znów, w bezruch zaklęte.

Jest południowa godzina, nieludzka i samotna, pusta i przeraźliwa, godzina zaczarowana, w czas której niebezpiecznie jest człowiekowi opuścić próg chaty.

Żniwnej tej godziny, gdy zboża w polu stoją jeszcze nie zżęte, jak morze rozległe i szumiące, a jak bór gęsty przepastne, god-iny tej trwoży się lud, bo zła jest i dziwów pełna. Nie wiadomo, co się tam wówczas dzieje wśród łanów żyta i pszenicy, więc matki kryją troskliwie dzieci przy sobie w izbie, dziewki trzymają się blisko obejścia, a umęczony robotą i gorącem parobek zasypia pod dźwierzami stajni, byle od pól z daleka, aż minie czas, między 12—1 w południe.

I kąpać się również nie można w rzece, czy jeziorze, bo woda też jest zła i rada w wiry przepastne wciąga, zagubi, zatraci. Dziewczyna, która o tej godzinie zatonie, niechybnie powróci jako rusałka, czy topielica, chłop, co go woda zabierze, wypłynie nazad topielcem, zielonym, gąbczatym wodnikiem. A jeśli matka spiesząc gotować obiad, pozostawi śpiące dziecko pośród zbóż, lub na łące, wówczas ulegnie ono z pewnością zaklęciu i jest odtąd odmieńcem u ludzi.

Dziwna jest południowa godzina w żniwny czas, ludzie szepcą o niej rzeczy niesamowite.

Południe, południe jak północ to ciężka i uroczna chwila panowania duchów, które mogą ukazać się ludziom w rozmaitej postaci, lecz niedobrze jest, gdy im się drogę zastąpi, lub gdy śpiących na polu znajdują. Ta jedna godzina należy do nich wyłącznie, więc człowiek winien trzymać się w ukryciu, niczego nie podpatrywać, niczego nie wyglądać.

Wijącą się ścieżyną w życie, miedzą, która zielonym wałem położyła się w poprzek pszenicy, albo i na ukos gęstymi zbożami o godzinie dwunastej w południe jak Polska długa i szeroka z końca w koniec ziemi pędzi straszliwa *Południca.*

W Krakowskim Przypołudnica ta, to według orzeczeń ludu — baba, co pali ogień w polu, albo kajniebądź, ale ino rzekomo. Rzekomo się widzi, że się pali, a to się nie pali. A jest to kobieta wysoka i rozłożysta, cała czarna, głowa jej kosmatymi kudłami porosła, postać chuda, wystającymi kośćmi dzwoniąca, twarz napiętnowana straszliwą brzydotą. W okolicach zachodnich Małopolski, nad Rabą, Przypołudnica, w białą płachtę jest owinięta, świński ma ryj z błyszczącymi kłami, oczy krowie, wystające, wyłupiaste, pazury krzywe u rąk i racice bydlęce. A ta, co się około Bochni widuje, niesie na karku głowę żabią, a z głowy iskry padają. Pod Grudziądzem, na Pomorzu Żytna baba trzyma w ręku kij, żelaznym nożem oprawiony i najczęściej kryje się w grochowinach, na Mazurach pruskich, szczególniej w powiecie zadzborskim Baba-jędza to zła wilczyca, której sfora psów dzikich towarzyszy. W Wielkopolsce atoli postać ta różne, bardzo odmienne przybiera kształty. W powiecie odolanowskim nawet nic w ogóle o niej nie słychać. Tam, w lasach zamieszkują piękne dziewice, złotym pasem opasane, ale przecież za ten pas zatknęły ostre, śmiertelne noże. Jak wygląda Południca z okolic Rogowa, nie wiadomo, kryje się bowiem w gęstej pszenicy. Jednakże w Strzelcach rzecz ma się całkiem inaczej. Tu znajduje się grobowiec pani von Usedom, która po śmierci w Południcę się zamieniła i chodzi sobie przez pola w czarnym czepku z czerwonymi wstążkami.

Pod sam Poznań Południca już w ogóle nie dociera. Tutaj, aż pod Murowaną Goślinę i Skoki panuje niepodzielnie Zagac, ongi zbój i okrutnik, w gęstym boru mieszkający, a dziś przesiadujący w zbożu. Pędzi on aż pod Rogoźno, lecz tu, gdy zboże faluje, wiadomo jednak, że je wzburzyła skradająca się zdradliwie Południca.

A przy tym może ona pędzić niezmiernie szybko i nie wiadomo, gdy pole zbożami faluje, czy wiatr to, czy co innego. Bo np. pod Mogilnem w Wielkopolsce gwałtowny wiatr to kręcąca się szybko czarna świnia, na Mazurach to koń, przez chmury sadzący, na Łużycach to Prezpołnica, pędząca charty przed sobą, a w Prusach i na Mazurach to wilk z gromadą psów wokoło.

I nie należy sądzić, że Żytna-Baba, Baba-Jędza, Południca, czy nawet Leśna-Panna dobrze się obchodzi z istotą ludzką, którą w południe napotka w polu. Mści się straszliwie i znęca okrutnie.

Jeżeli małe dziecko w życie znajdzie, przyciska je do swych żelaznych długich niezmiernie piersi i zadusi. A jeśli już nie uśmierci, to w każdym razie zamieni, a tamto zabierze. Gdy starsze napotka dzieci, a czasem każe je swoim psom w pszenicy szukać, lub na grochowiskach, gdzie łakomie strączki wyjadają, gromadzi je wystraszone wokół siebie, łaskocze je ościami kłosów, lub sama drapać się każe, a na koniec przymusza je do zjadania robactwa, a jeśli usłuchać nie chcą bije. A bić w ogóle lubi. Zdarzy się bowiem, że parobek leniwy, czy chłop w polu zaśnie, to Południca do niego przypada, grzmoci po nogach, po rękach, po grzbiecie i tak oprawi dokumentnie, że się taki przez trzy dni ruszyć nie może i z bólu okropnego dzień i noc lamentuje. Leśne-Panny, gdy w polu chłopaków przydybią, wabią ich ku sobie, przymilają się i nęcą, a potem szkodzą, albo i o śmierć przyprawią, szczególniej rusałki i topielice ku wodzie ciągnące, ku zdradnej głębinie. Niekiedy jednak zdarzy się, że im się młodzieniec spodoba, wówczas szepcą mu czule do ucha rzeczy słodkie i miłe, i dobrej, tajemniczej udzielają porady.

Południca, w białą płachtę zawinięta, lubi też oczy ostrym żelazem wykłuwać, albo sierpem tnie i głowę ucina. Potem głowa niby na karku siedzi ale mętno w niej i cięży tak, że człowiek do żadnej roboty długo nie jest zdolny.

Sprawa onych Południc, straszliwie brzydkich i złych, południową godziną po pustych polach chodzących i szeleszczących w zbożach i depcących kłosy, które potargane na ziemi się kładą, zaprząta umysły ludu i każe snuć baśni rozmaite i opowieści przedziwne. Zapomnieć o nich nie można, każda matka bowiem dzieci zawczasu przestrzega — aby w żyto nie szły, ani w groch, bo tam straszy!

Budzi się więc ciekawe pytanie, czym są owe zgubne moce, które tak zachłannie, tak niepodzielnie opanowały południową, żniwną godzinę.

Prof. Jan St. Bystroń, autor obszernego dzieła pt. „Zwyczaje żniwiarskie w Polsce" (Kraków 1916), daje na to pytanie wnikliwą i przekonującą odpowiedź. Nie należy więc sądzić, że mamy do czynienia z wyobrażeniem mitologicznym, z duchami zbożowymi, które w postaci zwierząt przebiegają pola. Rzecz tłumaczy się o wiele prościej i realniej. Południce, towarzyszące im wilki, psy, konie itp., to po prostu przenośnie, to określenia obrazowe, jakie powstają na widok falującego zboża, białego, rozżarzonego nieba, kłujących promieni słońca, i to wynik prostego doświadczenia, że przebywanie w chwili największego żaru pod nieosłonionym niebem musi zaszkodzić każdemu, kto nieopatrznie narazi się na udar słoneczny, na skurcz niespodziewany w czasie kąpieli.

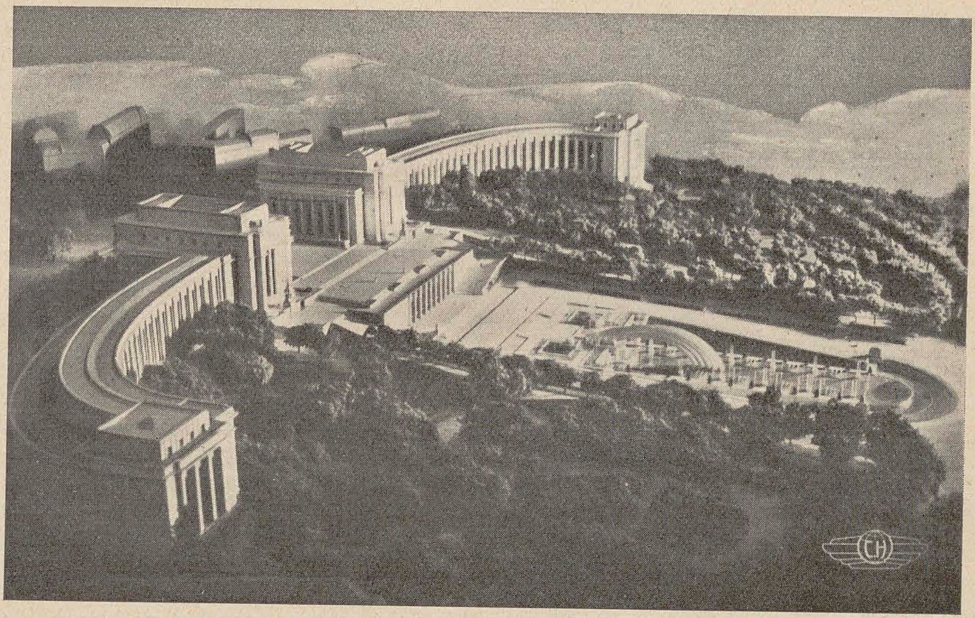
Nazwa sama kojarzy się często z gatunkiem zbóż, np. Żytna-baba na Mazurach, czy kaszubska Rżana-matka, lub Korn-baba z okolic Starogardu i Gołdapii. Istoty te, wraz z towarzyszącymi im postaciami zwierzęcymi, znane zresztą w demonologii całej Europy, nie są straszakami na dzieci tylko, ale rzeczywiście przerażają lud. I dlatego np. na Polesiu Wołyńskim tydzień przed św. Trójcą uchodzi za „rusałczany" i nikt wówczas nie odważy się wyjść sam w pole z obawy przed demonami. Poszczególne te wyobrażenie jednakże, łączące się ze sobą i przecho-

dzące w siebie wzajemnie, bliskie są wszystkie fenomenów przyrody, które wyobrażają i z którymi razem pojawiają się i znikają, jak poszum wiatru w kłosach; można je więc zaliczyć do uzmysłowień demonologicznych, jednakże nie są bynajmniej przejawami mitologii. Wszelka religia bowiem tworzy zwarte systemy przekazywane tradycją, ustalone, dające się badać historycznie. Demonologia jednakże jest więcej płynna, składają się na nią zarówno wpływy mitologii i literatury, jak i aktualna wyobraźnia ludu. Ulegają one więc ciągłym przemianom i przetwarzaniom, łącząc w sobie przeróżne elementy modyfikowane regionalnie i wciąż od nowa, bez ustalonych reguł i oficjalnej interpretacji.

Mają one jednak niektóre cechy wspólne, powtarzające się najczęściej. I tak charakterystyczną dla Południcy jest jej postać odrażająca, brzydka, przeraźliwa. Południca ma zazwyczaj wygląd pół-ludzki, a napoły zwierzęcy, owinięta jest w białą płachtę i niesie w palcach, pazurami zakończonych, sierp ostry, lub nóż. Inną jej właściwością jest pojawianie się w towarzystwie psów, czy wilków.

Południca, czyli daemon-meridianus zresztą charakterystyczny dla Słowiańszczyzny zachodniej, powszechna jest w całym folklorze zachodnim. Bo godzina południowa, podobnie jak północna, ma swoje dla człowieka szczególne znaczenie. Już greccy pasterze nie trudnili się pracą w polu, gdy nadeszło południe z obawy przed pojawieniem się dzikiego Pana, tak samo jak rzymscy pierzchali w popłochu przed Faunem. Południca zachodnio-słowiańska jednakże nie przejawia się w tak ściśle ustalonej postaci, raczej w kształtach przeróżnych, zarówno kobiety starej i brzydkiej, jak i młodej strojnej dziewicy leśnej. Istnieją nawet dobroczynne Wile, które żniwiarzom w pracy dopomagają — w co wierzą ludy słowiańskie południa. Zarazem, np. w Czechach, gdy wpada na pole i snopki wichrem rozrzuca — to z dala wydaje się mała, ledwie od ziemi widoczna, ale w biegu swym rośnie i wyolbrzymia się, podobnie jak letnia wichura, aż wreszcie wir zatoczy — i w górę wionie większa wielekroć ponad ludzką postać.

Z opisów tych więc widać, że w wierzeniach ludu, w jego baśniach i podaniach, w zwrotach przysłowiowych i powiedzeniach pojawiają się przede wszystkim cztery typy demonologiczne łącznie z polami do żniw dojrzałymi: demon wegetacyjny, atmosferyczny, demon meridianus i ten, który porywa dzieci. Nie można jednak tym samym twierdzić, że istnieją specjalne demony zbożowe, które miałyby być przedmiotem kultu żniwiarskiego, raczej są to wyobrażenia złożone, przenośnie poetyckie, łączące w sobie poszczególne, wymienione powyżej elementy, a w przetworzeniach swych ulegają licznym odchyleniom, zależnie od regionu, zależnie nawet od poszczególnych wiosek i fantazji jego mieszkańców. Wyobrażenia te jednakże są trwałe, na pradawnej tradycji ludu oparte, wyrosłe z jego światopoglądu, a karmione nadal owym szczególnym, jedynym w swoim rodzaju współżyciem ludu z przyrodą, która panuje niepodzielnie nad jego wyobraźnią, dyktuje mu swoje nieustępliwe prawa i ogarnia go zupełnie, zamykając w prawidłach swoich życie ludu, jego nastawienie psychologiczne i sposób postępowania.



Główne wejście na Wystawę Międzynarodową w Paryżu — pałac Trocadéro

JÓZEF CHMARA

OBRAZKI PARYSKIE

Wielkie place, asfaltowe nawierzchnie ulic ze śladami szyn tramwajowych (tramwaje zlikwidowane), strzeliste, symetrycznie biegnące i szerokie a pełne zieleni bulwary, szare, lecz jakieś lekkie i wesołe domy z pomalowanymi okiennicami, także „rudery" z odrapanymi bokami — widoczne z „Eifla" lub Bastylii, stragany nęcące zapachem owoców przed składami, wieczorem — morze światła, istny szał neonów, grupki czytających śpiesznie przesuwające się świetlne reklamy i najświeższe wiadomości, miliard żółtych punkcików przygaszonych świateł samochodowych na Polach Elizejskich, dwójki i trójki — zdawałoby się — sennych policjantów przed kawiarniami, piskliwe głosy sprzedawców gazet, nieprzerwane sznury szybko mknących taksówek (jakże tanich!), wiecznie śpieszące się autobusy (zawsze przepełnione), z serca ziemi dobywający się huk kolejki podziemnej, ostry — i o ból głowy przyprawiający swąd spalanych materiałów pędnych — wreszcie *młyn, w którym ziarnem jest mrowie ludzkie*. Trudno inaczej określić. — Oto jest Paryż w oczach człowieka, który oglądał go po raz pierwszy.

*

Zacznijmy od kościołów paryskich. Stoją jakieś ciche, jakby niedobrze im było w tym nowoczesnym Babilonie. Zarówno bogaty Nôtre Dame, szlachecki Madeleine, jak „cudowna" Sainte Chapelle i wiele innych. Jakiś specyficzny nastrój tchnie od świątyń paryskich. Odczuwa się jakby rozdział Kościoła i Państwa. Rozbawione miasto swoje — i Domy Boże też swoje. Dwa rozdzielone światy. I wydaje się jakoby Sainte Cha-

pelle umyślnie ukryła się wśród murów Pałacu Sprawiedliwości i tylko smukła wieża wskazuje drogę szukającym. Notre Dame otoczyły dwa ramiona wód Sekwany, aby tylko to, co czyste doznało rozkoszy poznania piękna. Madeleine wyniósł się jakby ponad miasto, oparł się na tęgich kolumnach i zadumał się w swojej czcigodności.

Ale lud paryski kocha swoje kościoły. Nawet te z przedmieść, — ubogie, katakumbowe, Chrystusowe. Od wczesnej godziny modlą się pobożni paryżanie. Sporo wśród nich mężczyzn. Za dnia kościoły zamierają — jedynie cienie zwiedzających suną cicho z „przewodnikiem" w ręku i od czasu do czasu wpada kobieta, zapali świeczkę za 50 centimów i znowu ucieka do zajęć.

*

A teraz ulica paryska. Nie ta z bulwarów nadsekwańskich, ani z przedmieść, ale z śródmieścia i najbliższych okolic. Przede wszystkim pogoda. Nie widać prawie ludzi skwaszonych. Widać uśmiechy, żywe rozmowy i wesołe szczebioty umalowanych pań. Umalowane są nawet służące — nie tylko usta, ale i lica na ostry *rose*. Dużo Murzynów — także b. eleganckich — Mulatów w towarzystwie białych kobiet. Rzadko trafi się żołnierza (za to b. często policjant), a jeśli się trafi, to nie robi dobrego wrażenia (znowu w przeciwieństwie do policjanta). Spotyka się też robotników, pijących liche piwo francuskie, nie zawsze pozdrawiających się „kułakiem"[1]). Dużo gości w kawiarniach pod „gołym niebem". Piją kawę, kakao, czekoladę, lody lub oranżadę.



Pawilon polski

Pod wieczór żyje Paryż gazetą. Po prostu nie ma człowieka, który by nie kupował gazety. Sprzedawcy gazet urządzają konkursy: kto głośniejszy i kto szybciej i więcej rozprzeda. Na ulicy, w kawiarni, w autobusach, w kolei podziemnej — wszędzie czyta się gazety. Nic dziw, że niektóre dzienniki mają milionowe nakłady. Ale czytają i kupują tylko mężczyźni.

Życie ulicy paryskiej rozpoczyna się dopiero przy świetle elektrycznym. Wtedy jest największy ruch. Lokale rozrywkowe rozpoczynają programy około północy (godz. 11). Ulica żyje, śmieje się i tańczy — do godz. 3. A potem zamiera. Zamiast rozbawionych grup, taksówek i autobusów jawią się wówczas „zamiatacze ulic",

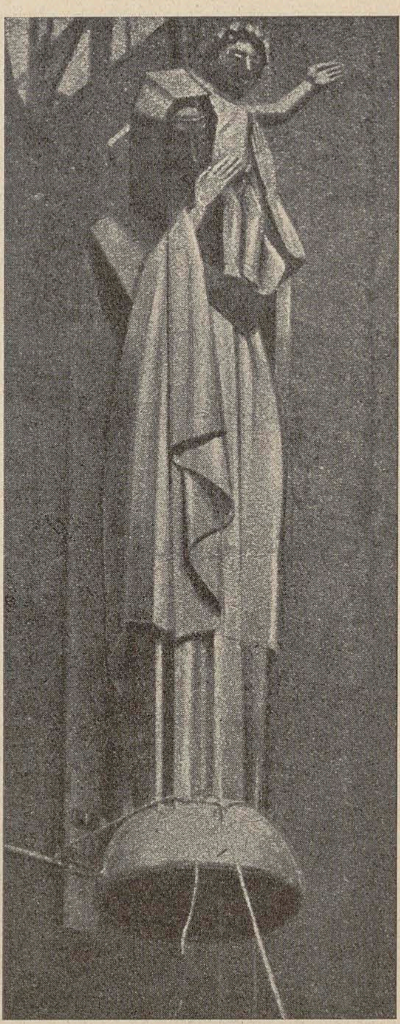
[1]) Przywykliśmy mniemać, że każdy robotnik francuski to komunista i „folksfrontowiec". Nie jest to prawdą. Bardzo wielu robotników podnosi rękę przy pozdrowieniu lub nie demonstruje wcale swoich przekonań politycznych.

47

wielkie dwukołowe wozy i ciężkie samochody, pełne warzyw, owoców, ziemniaków i wszelkich prowiantów. Rozpoczynają pracę targi, handlarze i kupcy. Aż do świtu.

*

Jeszcze jeden obrazek. Moralność publiczna, — zwłaszcza wieczorem i nocą. Pod tym względem Paryż jest naprawdę Sodomą dwudziestego wieku. W porównaniu z Paryżem jest Poznań (od zewnątrz patrząc) miastem świętym! Żołnierz lub cywil, obejmujący całą długością ramienia, szczerzącą ząbki Francuzkę, nawet w biały dzień nie jest rzadkością. A cóż dopiero wieczorem! Na środku chodnika, gdzie mijają się dziesiątki przechodniów, w autobusie, pod nabliższym drzewem na środku bulwaru, w podziemiach „metra", w kolejce — młodzi ludzie ściskają się. Gdyby się tylko ścikali! — I nikt na to nie zwraca uwagi. Chodzi właśnie o to, że to jest naturalne w Paryżu. Sex appeal! — Paryż tym żyje, — to widać. Nastrój grzechu wyczuwa się w powietrzu. Np. parę setek młodzieży przesiaduje w „Luna Parku" po parę godzin codziennie, aby entuzjazmować się, gdy w tzw. „fabryce śmiechu" z ukrycia puszczony wiatr podwiewa paniom garderobę. Ach, jak „ryczą" z uciechy! — Taki jest Paryż. Nie, nie — tak źle u nas nie jest.



9 metrów wysoka statua M. Boskiej z Dzieciątkiem Jezus, umieszczona na szczycie pawilonu Watykańskiego

*

Gdy się było w Paryżu w okresie Wystawy nie można jej pominąć milczeniem. Jest godna zwiedzenia, chociaż już u samego wejścia rzucają się oczom żebra rusztowań, obejmujących skrzydła wielkiego pałacu Trocadéro[2]. Widok rusztowań i niewykończonych pawilonów trafia się dosyć często, aż — sądzę — zbyt często. Mimo to — Wystawa paryska jest imponująca. Przede wszystkim rozmachem, architekturą niektórych pawilonów i defiladą dorobku narodowego wystawiających państw.

Polaka interesuje na pierwszym miejscu pawilon polski. Tyle o nim napisano. Jak jest właściwie? — trudno powiedzieć. Najlepiej było by wysłać wszystkich „zdolnych do noszenia broni", by sobie zobaczyli to „cudo", a potem urządzić plebiscyt — za albo przeciw.

---

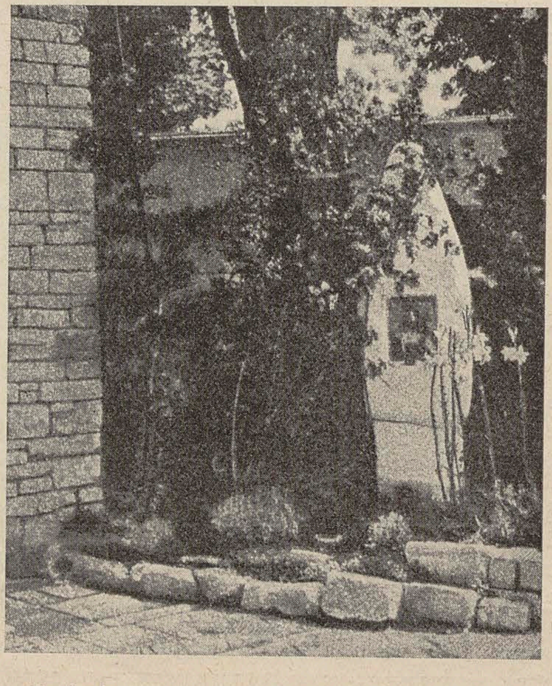
[2]) Piszący te słowa zwiedzał wystawę w połowie lipca. W tym czasie była ona dopiero może w 60% wykończona.

Dla Polaka, który chciałby w wyścigu międzynarodowym widzieć Polskę gdzieś na czele, pawilon polski wypada bardzo skromny, cichy, zadumany wśród lip i krzewów, wcale nie zdradzający ochoty do wyścigu międzynarodowego. Usiadł i w rotundzie wielkich mężów marzy o przeszłości. Zapomniał o przyszłości. Inne narody w swoich pawilonach przede wszystkim o tym pomyślały. Marazm, zastój, statyka panują w pawilonie polskim — inaczej mówiąc — kryzys na całej linii. Nie ma za grosz dynamizmu. Polska pawilonu polskiego na Wystawie paryskiej jest Polską starych dziadów, co na przypiecku siedli i rozpamiętują stare dzieje.

Nie, nie tegośmy szukali w polskim pawilonie. Co nam pomoże estetyzm architektoniki — naprawdę! — pawilonu, jeśli w nim jest pusto, — jeśli w nim nie żyje Polska walcząca o mocarstwowe stanowisko, — jeśli eksponaty wcale nie obrazują ani nam, ani obcokrajowcom dorobku narodu polskiego. Narodu, który w pierwszym rzędzie chce żyć, chce działać, tworzyć i na tym polu konkurować z innymi.

Tak pojęły ideę swej obecności na tej Wystawie inne państwa wystawiające. Tylko my jesteśmy „inni". I ta „inność" nam szkodzi, bo gdy inne pawilony zwiedzają tłumy — do polskiego wchodzą tylko ci, którzy go znajdą i tę „inność" oceniają jako „mizerotę wystawioną".

Na terenach wystawowych wielki ruch. Tłumy ludzi — zwłaszcza wieczorami — osiągają parę set tysięcy. Słyszy się wszystkie języki świata, — bardzo często polski. Specjalnym powodzeniem cieszą się pawilony: niemiecki i sowiecki, które stoją naprzeciw sobie. W sowieckim jest ewenementem gruby zeszyt do wpisywania swych wrażeń. Zeszyt jest stale oblężony przez czytających i wpisujących. Ostatni są przeważnie komunistami i — oczywiście wpisują wciąż powtarzające się „prawdy" — np. „dotąd wierzyliśmy, że prawdziwa kultura idzie z zachodu, teraz zaś wiemy, że idzie ze wschodu" i t. p. pochlebstwa. Lecz nie brak i soczystych powiedzonek w językach obcych, a nawet w polskim, powiedzonek często niecenzuralnych.



Kapliczka przy wejściu do pawilonu polskiego

W niektóre dni wieczorami odbywają się „sztuczne ognie" na terenach wystawowych. Cały Paryż wylega wtedy nad brzegi Sekwany. Wieża Eifla świeci się snopami świateł reflektorów, a Sekwana po prostu szaleje różnokolorowymi gejzerami. Co chwila wybuchy: „aaach" towarzyszą zmianom świateł. Tłumy bawią się w późną noc.



Smuts i Krüger

KAZIMIERZ PLUCIŃSKI

JAN CHRISTIAN SMUTS

Najpierw pilnował gęsi. Potem świń. Potem owiec. Na fermie ojcowskiej niedaleko Przylądka Dobrej Nadziei pomagał robotnikom Hotentotom i Malajom.

W szkole czytał, ile tylko mógł. Rano, i późno w noc. Koledzy go nie lubili. Chodził zawsze sam.

Ojciec napróżno usiłował obudzić w nim zamiłowanie do rolnictwa. Potem chciał go zrobić pastorem. Janek sam nie wiedział, do czego dąży. W gimnazjum pisał nudne tasiemnice do gazet. Klecił wierszydła. Nauczał Murzynów. Wreszcie dostał jakieś stypendium i popłynął do Anglii.

Studia w Cambridge były jednym tryumfem. Koniecznie chcieli go zatrzymać. Ale on świetnie zdał ostatni egzamin prawny i pierwszym statkiem wrócił do Kapsztatu.

Otworzył kancelarię adwokacką. Już wkrótce okazało się, że na adwokata nie ma absolutnie żadnych warunków. Był szorstki, nie grał w brydża, nie znosił alkoholu. Klienci szli do innych adwokatów.

Nagle zrozumiał, że interesuje go polityka. Został sprawozdawcą parlamentarnym jednego z pism.

W Afryce Południowej toczyła się w tym czasie zażarta walka między dwoma ludźmi: wodzem Anglików Cecil'em Rhodes'em, genialnym premierem Kolonii Przylądka, marzącym o zjednoczeniu całej Afryki Południowej pod berłem sędziwej królowej Wiktorii — i wodzem Holendrów, prezydentem Krügerem, szefem niepodległej republiki chłopskiej Transwaalu, stworzonej przez holenderskich kolonistów.

Wyobraźnię Smuts'a porwała idea zjednoczonej Afryki. Całą duszą stanął po stronie Rhodes'a. Smuts był Holendrem z krwi i kości, a jednak musiał sobie powiedzieć, że prezydent Krüger jest uosobieniem tępoty.

Był rok 1884. W sąsiedztwie Kolonii Przylądka pojawili się Niemcy. Zajęli olbrzymi kraj i nazwali go Deutsch-Süd-West-Afrika. Od razu zaprzyjaźnili się z Krügerem. Dla angielskiej Afryki Południowej oznaczało to śmiertelne niebezpieczeństwo.

Premier Rhodes postanowił działać. Pod jakimś pozorem wysłał do Transwaalu 400 policjantów. Holendrzy oddział rozbroili, ale równocześnie podnieśli straszny krzyk, że Anglia chce ich ujarzmić.

Odtąd Holender Smuts nienawidzi Rhodes'a. Kancelarię przenosi z angielskiego Kapsztatu do holenderskiego Johannesburga.

Tu czuje się fatalnie. Irytuje go brak drzew, i ci ludzie, których obchodzą wyłącznie pieniądze. Nie rozumie, jak można użerać się za pieniędzmi tylko dla nich samych. Magnatów w Johannesburgu wielkie idee nie obchodzą nic. A dla niego idee są wszystkim. Chce o nie walczyć!

Między prezydentem Krügerem a prezesem sądu najwyższego w Pretorii wybucha kłótnia. Prezes nazwał prezydenta „dziadygą". Prezydent prezesa „wariaciskiem". Wszyscy sędziowie, adwokaci i aplikanci Transwaalu uchwalają grzmiące rezolucje przeciw prezydentowi.

Mecenas Smuts błyskawicznie orientuje się w koniunkturze. Jako jedyny prawnik w Transwaalu ogłasza, że rację ma prezydent Krüger. Zadowolony prezydent mianuje go ministrem sprawiedliwości. Smuts ma lat 28. Zdumiona prasa pisze, że minister był adwokatem bardzo słabym.

Wojna z Anglią zbliża się wielkimi krokami. Nowy Wysoki Komisarz angielski w Kapsztacie, Sir Milner ciągle robi jakieś podejrzane aluzje na temat konieczności połączenia ziem poł. afrykańskich. Krügerowi chodzi już tylko o to, żeby wojna wybuchła nie przed październikiem. Wtedy w Transwaalu zaczynają padać deszcze. Pustynia porasta trawą. Konie kawaleryjskie mają co jeść.



Pierwsza kopalnia złota w Afryce Poł. w r. 1886



Dyliżans w Johannesburgu w r. 1889

Wreszcie jest październik. Oddziały Holendrów (Burów) przekraczają równocześnie granice dwóch kolonij angielskich: Przylądka i Natalu. Po początkowych zwycięstwach Burowie ponoszą klęskę po klęsce. Smuts pozostał w Pretorii. Rola ministra sprawiedliwości mu nie wystarcza. Staje na czele propagandy, wywiadu i kontrwywiadu. Dwoi się w oczach.

Anglicy wkraczają do Pretorii. Na godzinę przedtem Smuts zabrał złoto z banków i odjechał ostatnim pociągiem, już pod obstrzałem armat. Jeszcze broni się w górach kilka oddziałów wojska burskiego. Została im jedna jedyna szansa: zrobić rejd konny przez sam środek Kolonii Przylądka. Tam mieszka wielu Holendrów. Może oni powstaną.

Smuts wyrusza na czele 350 jeźdźców. Jest sierpień. W straszliwym upale jadą przez spalony kraj. Nie mają żywności, ani paszy. Tygodniami jadą we mgle, szczytami gór, ciągle niepokojeni przez nieprzyjacielskie patrole. Marzną po nocach. Konie wyglądają jak szkielety. Z ubrań zrobiły się łachmany. Wszyscy cierpią na brak snu. Zaczynają szemrać.

A on jakby nie odczuwał zmęczenia. Gna ich po 60 godzin z rzędu bez odpoczynku. I jeszcze potem każe walczyć. Dziesiątki razy oddział jest otoczony. Dziesiątki razy Smuts wyrywa go z pułapki.

Najważniejszego celu nie osiągnął. Przecenił patriotyzm swych rodaków. Holendrzy w Kolonii Przylądka nie powstali.

Zaczynają się pertraktacje pokojowe. Smuts w żaden sposób nie chce zrezygnować z niepodległości Transwaalu. Wreszcie ustępuje, ale tylko dlatego, że lord Kitchener wziął go na stronę i powiedział po cichu: „Zobaczy pan, że za dwa lata w Anglii upadnie rząd konserwatywny, a do steru dojdzie rząd liberalny. Liberałowie dadzą wam autonomię". Na Smutsie ta uwaga angielskiego szefa sztabu robi potężne wrażenie. Zaczyna agitować za pokojem. Przekonuje wszystkich. Kapitulują.

Prości żołnierze nie chcą wierzyć w kapitulację. Przeklinają Smuts'a. Wraca do Pretorii. Po raz trzeci w życiu jest adwokatem.

Tymczasem były naczelny wódz Burów, Botha, udał się do Anglii. Tu spotkała go niespodzianka. Pisze do Smutsa, że w Anglii mówią o Burach nie, jak o pobitych wrogach, lecz jak o nieposłusznych dzieciach. Jeśli Burowie pokażą, że chcą żyć w obrębie Imperium, to Anglicy są gotowi im dać wszelkie swobody. A dogodną pożyczkę w kwocie 8 milionów funtów, dają już zaraz.

Smuts list Bothy czyta ze zdumieniem. Zmienia taktykę: „Gotowi jesteśmy należeć do Imperium Brytyjskiego", głosi, „ale niech nam dadzą autonomię. Będziemy lojalnymi poddanymi Edwarda VII ale zabierzcie stąd angielskich urzędników".

Wtedy właśnie Milner, generalny gubernator angielski, sprowadza do południowo-afrykańskich kopalń złota 60 tysięcy robotników z Chin. Holendrzy są oburzeni. „Chińczycy idą — woła Smuts, — oto ptaki drapieżne, żerujące na trupie Wolności".

Sprawę Chińczyków wyzyskują liberałowie w Anglii. Krzyczą: „konserwatyści, to handlarze niewolników". Wiedzą, że naród angielski nienawidzi niewolnictwa. Wyzyskują tę nienawiść. W wyborach zwyciężają olbrzymią większością. Premierem zostaje liberał Campbell-Bannerman.

Smuts spieszy do Londynu. Już dawniej miał kontakty z liberałami, zwłaszcza z tymi, którzy, jak Lloyd George, publicznie potępili wojnę burską. Teraz idzie prosto do nowego premiera. Żąda natychmiastowej autonomii dla obu dawnych burskich republik: Transwaalu i Oranie.

Premier myśli długo. Wreszcie powiada na radzie ministrów: „Okażmy się szlachetnymi, dajmy im autonomię — rozmawiając ze Smuts'em, nabrałem przekonania, że w ten sposób zdobędziemy ich lojalność".

W grudniu 1906 r. Anglicy ogłaszają przyrzeczoną autonomię. Botha zostaje premierem Transwaalu, a Smuts ministrem oświaty.

Zabiera się do pracy z niesamowitą energią. Całymi dniami wykłóca się w parlamencie. Z holenderskim kościołem reformowanym walczy zajadle o wychowanie młodzieży. Daje się we znaki milionerom w Johannesburgu, stwarzającym, jak mówi, „atmosferę całkowicie pozbawioną kultury". „Nie zgadzam się na socjalizm pod żadną postacią" odpowiada delegacji górników. Gdy zastrajkowali, nasyła na nich dwa pułki wojska.

Tylko z Hindusami nie może sobie poradzić. Zamyka dla nich granicę Transwaalu. Przywódca Hindusów protestuje przeciw temu. Ten przywódca jest adwokatem w Natalu i nazywa się Gandhi. Smuts nie chce go w ogóle przyjąć. Na to Gandhi stosuje taktykę „biernego oporu". Smuts'a ta taktyka niepokoi. Najpierw aresztuje Gandhiego, potem każe go zwolnić, i pertraktuje z nim jak z równym.

Ale na czoło zagadnień wysuwa się sprawa zjednoczenia Afryki Południowej.

W Durbanie, stolicy Natalu, zbiera się konferencja wszystkich czterech krajów południowo-afrykańskich: dwóch kolonij angielskich: Przylądka i Natalu, i dwóch autonomicznych republik burskich: Oranie i Transwaalu. Ciężka atmosfera tropikalnego sierpnia rozleniwia delegatów. Spacerują wśród palm.

Wszyscy podejrzewają wszystkich. Holendrzy, że zjednoczenie będzie po prostu aneksją. Anglicy, że po zjednoczeniu Afryka Południowa stanie się holenderską.

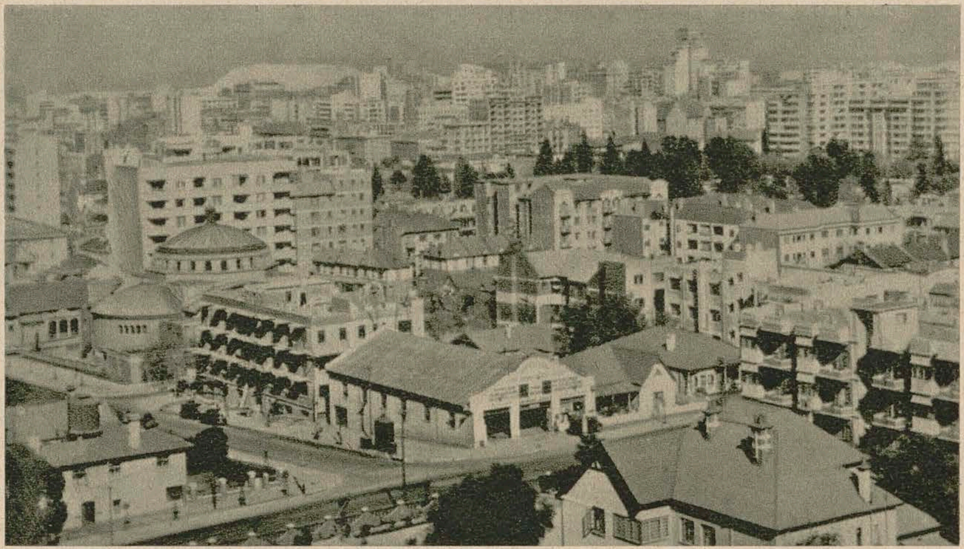


Johannesburg w r. 1886

Wreszcie zapada uchwała o zjednoczeniu. W połowie roku 1909 Edward VII może podpisać ustawę, tworzącą „Unię Południowo-Afrykańską".

Premierem Unii zostaje Botha — a Smuts, były dowódca rejdu na Kapsztat, otrzymuje trzy teki, w tym obrony narodowej.

Z początku w nowym państwie stosunki między Anglikami i Holendrami były serdeczniejsze niż kiedykolwiek. Ale już zbiera się burza. Przywódca skrajnych nacjonalistów holenderskich, Hertzog, pisze o Anglikach w Afryce, że są „gnojem przylepionym do ścian chlewu — najbliższy deszcz zmyje ten gnój". Gazety angielskie w Kapsztacie podnoszą krzyk.



Johannesburg w r. 1936

Równocześnie w kopalniach złota wybucha strajk. Smuts zakazuje policji użycia broni. Na to strajkujący rozbrajają kilka oddziałów policyjnych. Smuts wysyła wojsko. W bitwie, która się wywiązuje, płonie dworzec w Johannesburgu i ginie kilkadziesiąt osób. Przerażeni magnaci przemysłowi ślą do rządu błagalne telegramy. Smuts nie ma dość wojska, żeby zdławić strajk. Kapituluje przed robotnikami. Była to najcięższa chwila w jego życiu.

4 sierpnia 1914 do Kapsztatu przychodzi telegram, że Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom. Parę dni później premier Botha zapowiada, że rząd południowo-afrykański wyśle wojska do niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej.

Wśród nacjonalistów holenderskich wre. W Niemcach widzą przyjaciół; pod żadnym warunkiem nie będą walczyć przeciwko Niemcom. Wybucha rewolta. Ale większość obywateli jest za rządem i za Anglią. Bunt zostaje zduszony, po czym wojska Unii przekraczają granicę.

W następnych wyborach Botha i Smuts znów przechodzą ogromną większością. Ale tym razem zawdzięczają to głosom angielskim.

Krótko potem rząd angielski mianuje Smutsa głównodowodzącym w Afryce Wschodniej.

Wojska anglo-hinduskie zastaje jenerał Smuts w stanie zupełnej depresji. Karmią się sucharami i mięsem zdechłych wołów. Niemcy odnoszą zwycięstwo po zwycięstwie.

Smuts chce szybko zakończyć tę wojnę. Gwałtownymi marszami ściga Niemców, jakby to był rejd na Kapsztat. Mimo pory deszczowej każe zziajanemu wojsku pędzić przez pustynie i bagna. W końcu żołnierze, śmiertelnie zmęczeni nie mogą się już dalej posuwać. Smuts nie wie co robić. Z radością wita telegraficzny rozkaz Bothy, że ma natychmiast jechać do Londynu, aby reprezentować Afrykę na konferencji dominiów, zwołanej przez nowego premiera brytyjskiego, Lloyda George'a.

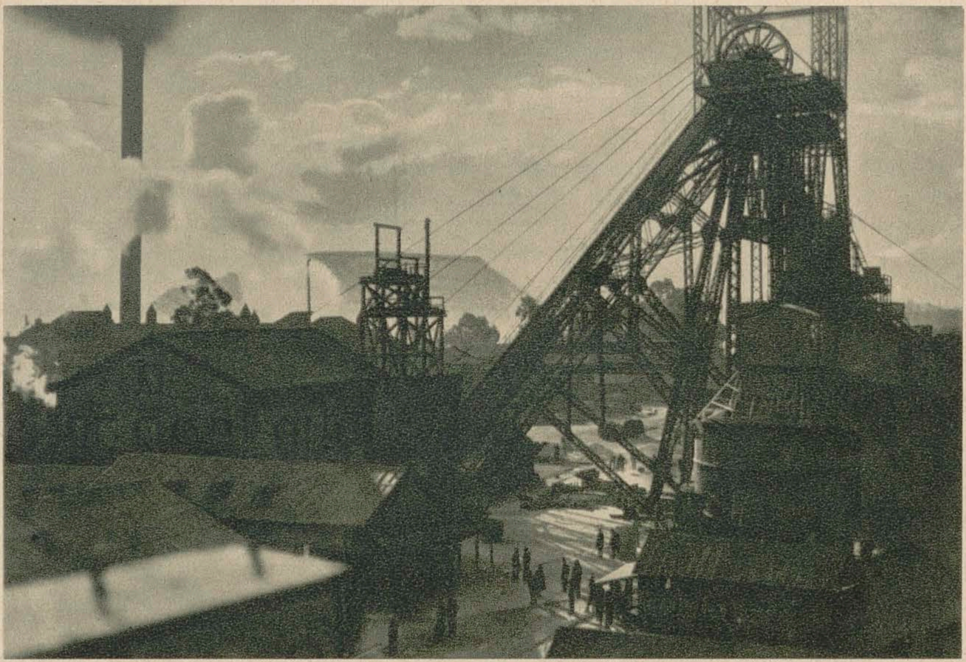
Londyn wita go entuzjastycznie. „Dawny rebeliant", piszą gazety, „teraz w potrzebie stanął po stronie Anglii". „Najświętniejszy generał tej wojny", mówi Lloyd George.

Taki jest popularny, że po konferencji Lloyd George proponuje mu dowództwo na froncie egipskim. Smuts telegrafuje do Bothy, czy ma przyjąć. „Radzę odmówić", brzmi odpowiedź, „obydwaj wiemy, że strategiem nie jesteś". Więc odmawia.

Na to Lloyd George robi go członkiem swego rządu. Premier szybko zaprzyjaźnia się z nowym ministrem. Rozumieją się świetnie. Obaj byli kiedyś adwokatami. Obaj inteligencją przerastają otoczenie. Obaj nienawidzą formalności. O Lloydzie Georg'u mówią generałowie i admirałowie: „Pojęcia nie ma o prowadzeniu wojny. To taki adwokacina. Mąci tylko". Lloyda George'a biorą na to diabli.

A tu naraz zjawia się Smuts, też „adwokacina", ale taki, co to w r. 1901 zadał bobu angielskim generałom. Teraz wypędził Niemców z Afryki. Oni dwaj Lloyd George i Smuts pokażą generałom, co znaczy „adwokacina".

W roli doradcy premiera Smuts czuje się świetnie. Zawsze marzył o wielkich problemach. Teraz je ma. Lloyd George każe mu jechać do Francji, dla pogadania z głównodowodzącym angielskim, generałem Haigem, a potem z królem Albertem i prezydentem Poincaré. Potem posyła go do neutralnej jeszcze Ameryki. Rodowitego Anglika Amerykanie byliby wygwizdali. Tego rebelianta, Holendra, słuchają z zapartym tchem.



Szyb Robinsona

7 lipca 1917 dwadzieścia dwa samoloty niemieckie rzucają na Londyn bomby. Zabitych jest 195. Płonie kilkadziesiąt domów. Lotnictwo angielskie zawiodło. Lloyd George każe Smutsowi zbadać przyczynę tego.

Smuts niebawem składa sprawozdanie. Komendę nad lotnictwem należy odebrać generałom i admirałom. Nie mają o nim pojęcia. Należy stworzyć osobne ministerstwo lotnictwa.

Przez Anglię idzie fala strajków. Znów łagodzi to Smuts.

W czerwcu 1917 generał Haig przedkłada gabinetowi projekt ofensywy pod Ypern. Jest pewien, że uda mu się zmusić Niemców do cofnięcia się na linię Bruksela-Antwerpia, a może i do zawarcia pokoju. Smuts, „najświetniejszy z generałów", popiera go z zapałem.

Ofensywa angielska kończy się klęską. Artyleria przerwała tamy. Północna Belgia zamieniła się w jedno bagno. W tym bagnie zginęło 400 tysięcy Anglików.

Lloyd George zwymyślał Haiga. To była jego wina: — dostarczył fałszywych informacyj i wprowadził w błąd gabinet. Smuts'owi Lloyd George nie powiada ani słowa. Smuts'a uważa za polityka.

Po zawieszeniu broni ustępuje z rządu. Razem z Bothą udaje się do Paryża, żeby na kongresie pokoju, reprezentować Unię Afrykańską.

Obaj delegaci Afryki gorąco wypowiadają się za złagodzeniem warunków postawionych Niemcom. Francuzi zaczynają uważać Smuts'a za niebezpiecznego germanofila.

Mało go to wzrusza. Właśnie wymyślił system mandatów kolonialnych. System mandatów wszedł żywcem do Traktatu Wersalskiego.

W tym czasie otrzymuje misję szczególnie delikatną. Ma pojechać do Budapesztu. Rządził tam wtedy komunista Bela Kuhn. Smuts ma

z nim omówić warunki zawieszenia broni Węgrów z Rumunami. Za tą misją kryła się inna, ważniejsza. Bela Kuhn był w bliskich stosunkach z Leninem. Smuts miał się dowiedzieć, czy by nie można zaprosić Lenina na konferencję do Paryża.

Smuts nienawidził nie tylko bolszewizmu, ale nawet łagodnego socjalizmu. Do Budapesztu pojechał. Nie wysiadając z pociągu, wezwał do siebie Belę Kuhna. Wkrótce wiedział, że pertraktacje do niczego nie doprowadzą. Mówić o Leninie w ogóle uważał za bezcelowe.

Wróciwszy do Paryża opracował projekt, który miał mu przysporzyć najwięcej sławy; statut Ligi Narodów. Statut ten posłużył Wilsonowi za wzór przy ostatecznej redakcji paktu.

W parę dni po podpisaniu Traktatu Wersalskiego umarł Botha. Generalny gubernator Unii zamianował Smuts'a premierem Afryki Poł.

Unia właśnie przechodziła ostry kryzys: popyt na strusie pióra ustał zupełnie, suszy takiej jak w 1920, nie było od lat 50-ciu; diamentów nikt nie kupował. Rosły wpływy komunistów i nacjonalistów holenderskich.

W r. 1922 właściciele kopalń i złota zdecydowali się, że odtąd będą przyjmowali mniej białych robotników a więcej czarnych. Górnicy ogłosili na to strajk generalny. Smuts uderzył pięścią w stół. „Tu jest Afryka Południowa, a nie Meksyk", powiedział i kazał siedziby komitetów strajkowych zbombardować samolotami i artylerią. W wyborach, które odbyły się krótko potem, poniósł sromotną klęskę, pierwszą w życiu.

Premierem został teraz Hertzog, przywódca skrajnych nacjonalistów. Smuts wierzył, że za parę miesięcy wróci do władzy. Z tych paru miesięcy zrobiło się dziewięć długich lat. Dopiero w r. 1933, Hertzog czując, że popularność Smuts'a rośnie znów jak lawina, zwrócił się do niego o współpracę. Smuts długo wahał się, wreszcie wyraził zgodę.

Wydawało mu się, że tak będzie lepiej dla jego ideału, dla Wielkiej Południowej Afryki w ramach Imperium Brytyjskiego.



Murzyński górnik w kopalni złota (1700 m pod ziemią)

ZYGMUNT GAŁECKI

W IMIĘ SOLIDARNOŚCI

(Z okazji „Dnia Opieki Polskiej nad Rodakami na Obczyźnie"
5 września 1937 roku)

W ostatnich dniach jedno z pism zamieściło notatkę, o środowisku z którego wyszedł zamachowiec na płk. Koca. Z notatki tej wynika, że przecież najbliższe otoczenie jego kolegów złożone było z reemigrantów z Francji, którzy fatalny wywierali na niego wpływ. Przypomniały mi się wtedy również wszystkie rozmowy, jakie w sprawie położenia Polaków za granicą przeprowadzałem z różnymi polskimi działaczami emigracyjnymi. I tymi z Francji, i innych państw. Nasunął mi się też od razu inny fakt, który kilkakrotnie przewijał się w rozmowach.

Oto w jednej z fabryk francuskich, w okresie największego nasilenia ruchu fołksfrontowego zaszedł wypadek niesamowity w swej wymowie. Rozagitowani robotnicy — Polacy, wysłali do dyrekcji fabryki delegację, z żądaniem usunięcia z pracy tych wszystkich, którzy przeciwstawili się agitacji lewicowej i nie zadeklarowali przynależności do fołksfrontu. Chodziło przede wszystkim o pracowników Polaków. Działo się to w tym samym okresie, gdy pod wpływem nacisku właśnie ze strony organizacyj lewicowych, niemal co tygodnia Francja przymusowo wysiedlała robotników polskich poza swoje granice.

Te dwa drobne fragmenty warto przypomnieć właśnie obecnie, gdy z jednej strony obserwujemy znowu wzrost emigracji, a z drugiej — pojawiają się apele „Opieki Polskiej nad Rodakami na Obczyźnie" o pospieszenie z pomocą, tym wszystkim, którym poza granicami Polski grozi wynarodowienie.

Sprawa ta jest tak ważną i pilną, przede wszystkim dlatego, że przecież emigracja polska zamyka się w poważnej liczbie 8 milionów. Oczywiście, że zrezygnowanie z tej ogromnej masy Polaków czystej krwi i pozostawienie ich własnemu losowi prowadzi w prostej linii do wynarodowienia, co było by stratą niepowetowaną, dla naszej przyszłości narodowej.

Już w tej chwili sytuacja jest poważna, choć wiele jeszcze można uratować. Podstawą na której można oprzeć się z całym spokojem jest to, że emigracja Polska, i ta od dziesiątek lat osiadła na ziemiach obu Ameryk, i ta płynna, we Francji, Niemczech czy na Łotwie, składa się z elementu przeważnie mocno ciążącego ku polskości, i może dla Polski zrobić bardzo wiele. Wielka wojna aż nadto wyraźnie dała tego dowody.

Ale nie wystarczy poprzestać tylko na uświadomieniu sobie tego faktu. Mimo bowiem ogromnej nieraz ofiarności i wysiłku działaczy emigracyjnych, mimo przywiązania do polskości, grozi wychodztwu poważne niebezpieczeństwo wynarodowienia. Na element emigracyjny, zwłaszcza robotniczy skierowane są bardzo silne ataki ugrupowań wywrotowych, przy czym niestety często osiągają zamierzone rezultaty. Odbija się to fatalnie na położeniu emigracji, która w pierwszym rzędzie ponosi wszelkie z tego tytułu konsekwencje w wielu wypadkach, dołącza się drugie niemniej groźne niebezpieczeństwo.

Jest rzeczą jasną i zrozumiałą, że wtedy, gdy rozagitowana grupa obca zaczyna siać ferment, następuje proste w takich wypadkach i krótkie rozwiązanie. Niewygodnych cudzoziemców, dobrze przygotowanych do agitacji, wysiedla się po prostu przymusowo tam skąd przyszli, tj. do Polski. I takich przykładów można by wiele przytoczyć.

Nasuwa się więc pytanie, jakie należy wobec zagadnienia emigracyjnego zająć stanowisko, by ogromne te masy przy Polsce utrzymać, z Polską zespolić, i zapewniwszy im tam gdzie trzeba opiekę prawną, otoczyć je trwałą i w najlepszym sensie pojętą opiekę moralną.

Dużo w tej dziedzinie już poczyniliśmy. W roku 1926 powstaje w Warszawie Stowarzyszenie Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie, które przeniósłszy w r. 1935 siedzibę swego Zarządu Głównego do Poznania, z ogromną energią i poświęceniem pełni swoją misję. Rok 1929 jest rokiem powstania Światowego Związku Polaków z Zagranicy. Wreszcie w r. 1932, dostojny Opiekun emigracji polskiej J. Emin. Ks. Kardynał Prymas Hlond, powołuje do życia Seminarium Zagraniczne. To ostatnie ma na celu przygotowanie zastępów księży-Polaków, którzy w przyszłości siecią swej działalności duszpasterskiej i polskiej mają otoczyć całe polskie wychodźtwo.

W ten sposób wytyczone są zasadniczo trzy drogi, którymi równolegle winna pójść akcja społeczeństwa.

„Opieka Polska" nad Rodakami na Obczyźnie — jako właściwy cel swej pracy wysunęła tę w najczystszym pojęciu sformułowaną opiekę moralno-oświatową nad wychodźtwem. Wyrosła z najidealniejszych pobudek patriotycznych, nawiązując do polskich tradycji narodowych, pod protektoratem Ks. Kardynała Prymasa, prowadzi swoją pracę w oparciu o szerokie zaufanie społeczeństwa, które w ciągu swej działalności potrafiła do współpracy zjednać.

Światowy Związek Polaków z Zagranicy jako organizacja, powołana do życia przez czynniki urzędowe — przede wszystkim zagadnienia polityczno-gospodarcze uwzględnia w swoim programie.

Seminarium Zagraniczne wreszcie jako instytucja specjalnego typu, służyć ma sprawom duszpasterskim.

Może najsilniej związana jest ze społeczeństwem „Opieka Polska". I cele jej — moralno-oświatowa akcja opiekuńcza — i sposób oddziaływania, i głęboki sentyment dla sprawy, wreszcie oparcie całej działalności o ofiarność społeczeństwa, wszystko to wytworzyło więź specjalną między ność społeczeństwa, wszystko to wytworzyło więc specjalną między „Opieką" i społeczeństwem. Serdeczna zaś zapobiegliwość o wszystkie potrzeby wychodźtwa, odwoływanie się do patriotyzmu, budzenie świadomej solidarności narodowej — wytworzyło szczególnie bliski jej kontakt z terenem. Uwidacznia się to w każdej rozmowie z wychodzcą, który kiedykolwiek zetknął się z „Opieką" lub z jej działalnością.

Jedną z najpiękniejszych prac „Opieki" jest wysyłka opłatka, książki i czasopisma polskiego z okazji świąt Bożego Narodzenia. Stowarzyszenie już dzisiaj zbiera fundusze na tę tak ważną akcję. Na dzień 5 września organizuje doroczny „Dzień Opieki nad Rodakami na obczyźnie", połączony z kwestą publiczną. Wzniosłe cele jakim Stowarzyszenie służy, niewątpliwie znajdą szeroki oddźwięk w społeczeństwie.

NIEZAWISŁY ZAKON DOBRYCH TEMPLARIUSZY

Od dwóch lat masoneria w Polsce wykazuje wielką aktywność. Szczególnie ożywioną działalność prowadzi „Niezawisły Zakon Dobrych Templariuszów" (Independent Order of Good Templars, Unabhängiger Orden der Guttempler), założony w 1851 roku w Nowym Jorku, a do objęcia władzy przez Hitlera dobrze zakorzeniony w Niemczech.

Cechą „Zakonu Dobrych Templariuszów" jest to, że zakazuje swoim członkom nie tylko używania napojów alkoholowych, ale także ich przyrządzania, handlowania nimi i polecania ich innym. Przyrzeczenia w tej materii, jakie składa każdy członek Zakonu w chwili przyjęcia, obowiązuje do końca życia, nawet, mimo wystąpienia z Zakonu.

Ustosunkowanie się „Zakonu" Dobrych Templariuszów" wobec religii ma być — jak zapewnia Encyklopedia wolnomularstwa niemieckiego — poprawne: Dobrzy Templariusze nie są ani ciasnymi bigotami, ani wrogami religii. Wyznawcy różnych religij, jako też różnych przekonań politycznych są równouprawnieni na punkcie swoich poglądów. Tajemnica Zakonu ogranicza się zarówno do określonych formalności, pewnych oznak odróżniających, oraz debat. Stosunki towarzyskie członków między sobą są uważane za ważny łącznik także i poza życiem związkowym.

Zakon dzieli się na cztery systemy lóż: loża światowa, wielkie loże, loże okręgowe i loże podporządkowane; ostatnie mogą podlegać wprost loży światowej. Z reguły loże jednego kraju łączą się w jedną wielką lożę, która znowu dzieli się na loże okręgowe. Te cztery systemy odpowiadają czterem stopniom, których udziela się członkom stosownie do wieku, zasług i obserwowania następstwa stopni. *Zakon posiada również loże dla dzieci i młodzieży.*

Z Ameryki „Zakon Dobrych Templariuszów" dostał się do Anglii, a stąd rozszedł się na wszystkie części świata. Poza Anglią w Europie najwcześniej uplasował się w Skandynawii, skąd w 1880 roku przeniknął do Danii, a w 1883 roku do Niemiec. Na początku XX wieku Zakon liczył już: 84 wielkich lóż, 9500 lóż podporządkowanych i 600000 członków.

Na czele „Zakonu Dobrych Templariuszów" stoi „Międzynarodowa Loża najwyższa (International Suprême Lodge) z Templariuszem loży światowej jako przewodniczącym. Według zapewniań Encyklopedii wolnomularzy niemieckich „Zakon Dobrych Templariuszów" nie ma rzekomo nic wspólnego z wolnomularstwem, co jest jednak pospolitym wybiegiem, podobnym do wybiegu stosowanego przez Rotary Club'y, i gwałtownego wyrzekania się jakiejkolwiek łączności z masonerią. „Zakon Dobrych Templariuszów" nie tylko bowiem utrzymuje żywe i bardzo serdeczne stosunki ze wszystkimi niemal rytami wolnomularskimi, ale nawet ma w swym gronie, szczególnie w kierownictwie, wybitnych i wysoko wtajemniczonych masonów zarówno z Wielkiego Wschodu, jak i z Wielkiej Loży, że wymienimy najważniejszych: Williama Stead'a znanego publicystę i polityka angielskiego, żydofila pułkownika Wedgwooda, b. króla angielskiego Edwarda VIII-go, Gastona Martin'a, de Monzie, Chautemps'a, Zamorę, Lerroux i innych.

Pracami „Związku Dobrych Templariuszów" w poszczególnych krajach kieruje wydział wychowawczy z przewodniczącym na czele. Wydział ten wybierany jest przez przedstawicieli związków (lóż) okręgowych. Siedzibą wydziału jest zwykle miejsce zamieszkania przewodniczącego. Związki (loże) miejscowe mogą powstać w każdej miejscowości, w której znajdzie się 10 osób zgodnych i „przejętych ideami Związku". Związki (loże) miejscowe dzielą się na:

1) Związek ogólny (Grundloge) z osób dorosłych od 18 roku życia;
2) Związek harcerzy (Wehrloge) z młodzieży od 14 lat;
3) Związek młodzieży (Jugendloge) z uczniów od 10 lat;
4) Związek okręgowy (Distriktloge) z przedstawicieli związków ogólnych.

Członków wszystkich trzech pierwszych kategorii Związku werbuje się bardzo ostrożnio przez osoby zaufane, rekrutujące się przeważnie spośród nauczycielstwa, jako elementu, który zna najłatwiejszy dostęp do młodzieży.

Licząc się z wybuchami przy lada okazji antagonizmów narodowościowych Zakon ustanowił, że do lóż podporządkowanych i okręgowych mogą należeć tylko członkowie jednej narodowości, którym zakazuje się przy tym surowo uczestnić w jakichkolwiekbądź sporach politycznych i religijnych. Członkowie różnych narodowości mogą należeć dopiero do Związku Centralnego, który składa się z osób już odpowiednio „przygotowanych", tj. takich, którym już wypruto wszelkie uczucia religijne, patriotyczne i narodowe oraz poczucie odrębności rasowej.

Związek Centralny powołany jest do czuwania nad tym, aby praca wszystkich Związków odbywała się harmonijnie w grupach narodowo oddzielnych i aby te komunikowały się ze sobą tylko za pośrednictwem Związku Centralnego lub też pod auspicjami tegoż Związku. Związkowi Centralnemu przysługuje prawo rozwiązywania związków, nie stosujących się do jego zleceń. Na zewnątrz zastępuje wszystkie związki i wszystkie wydziały wykonawcze odnośny przewodniczący i sekretarz, którzy tworzą zarząd i kierują pracami przy pomocy pozostałych członków zarządu.

Tak się przedstawia ogólnie „Niezawisły Zakon Dobrych Templeriuszów", na którego działalność w Polsce należałoby zwrócić specjalną uwagę. j. m.

KOBIETA W RAJU SOWIECKIM

Los kobiety w raju sowieckim jest więcej, niż opłakany. Musi ona nie tylko na równi z mężczyzną pracować i starać się o własny byt, ale także sama musi ponosić wszystkie ciężary macierzyństwa. Bowiem komsomolcy, wychowani w pogardzie dla „ogniska domowego" i „więzów niewolnictwa małżeńskiego" nie odczuwają żadnych skrupułów w rozwiązywaniu związków małżeńskich i uchylają się od wypełniania wszelkiej z tego tytułu płynących obowiązków.

Oto co pisze na ten temat w 264 numerze „Komsomolskiej Prawdy" G. Kompancewoja:

„Dziesięć kobiet z tysiąca mieszkańców osiedla Wołowo w (pobliżu Moskwy — mój przyp.) wychowuje dzieci, których ojcowie się wyrzekli. Na pytanie: „Czyj ty?" — dzieci odpowiadają bez namysłu: „Mamin". „Biezotcowyje" — nazywają je mieszkańcy Wołowa".

Los zaś tych matek, porzuconych bezlitośnie przez mężów komsomolców, jest godzień pożałowania.

„Niurę zwolniono z pracy na stacji — opisuje dalej wspomniana powyżej autorka martyrologię porzuconej kobiety — skoro tylko dowiedziano się, że jest w odmiennym stanie. Jako przyczynę podano redukcję pracowników. O zwolnienie to postarał się ojciec jej dziecka Wiktor Frołow, komsomolec i b. „komsorg" stacji. Nie chciało mu się spotykać z oszukaną przyjaciółką.

W ciągu roku Niura nie mogła znaleźć pracy. Cierpliwie obijała progi miejscowego komitetu i gabinetów administracji.

— Dajcie choć jakąkolwiek pracę, choćby na pewien czas...

Odmowa. Niura prosi, aby wzięto ją do mycia podłóg w bufecie stacji, gdyż wie, że tam potrzebni są pracownicy. Ale kierownik bufetu Surowiagin, popatrzył na młodą kobietę, na dziecko, zamamrotał coś o braku wolnego miejsca i — na następny dzień przyjął nowych robotników. Tak mijały dni i miesiące. Wkrótce umarło dziecko Niury.

Sześciomiesięczny chłopczyk zginął karmiony sztucznie w upalne dni lipcowe. Niura straciła syna. Jej słaby organizm nie wytrzymał. Rozwinęła się gruźlica... A komsomolec Frołow z lekkim sercem przyglądał się, jak ginie jego syn i schnie kochana niegdyś dziewczyna..."

Nie przypuszczajmy, że jest to jakiś wyjątkowy wypadek. Autorka artykułu przytacza ich kilka z życia tej małej osady Wołowo.

„Podobnie jak Frołow postąpił Mirzin, „komsorg" i zastępca przewodniczącego kołchozu im. N. K. W. D.: porzucił 18-letnią nauczycielkę, gdy zaszła w ciążę i ożenił się z inną. Swemu dziecku odmówił pomocy. Tylko sąd — powiedział — może mnie zmusić do płacenia alimentów".

Nie sądźmy czasami, że postępek takiego Frołowa lub Mirzina w Sowietach spotyka się z potępieniem.

Oto co pisze w końcu swego artykułu Kompancewoja.

„Jakże społeczeństwo klasyfikuje takich ojców, jak Frołow? Czy okazuje im swoją pogardę? Potępia ich? Czy prokuratorzy pociągają winnych do odpowiedzialności? Nie! W Wołowie panują inne porządki. Tym młodzieńcom podaje się rękę, otacza się koleżeńską przyjaźnią, przyjaciółki pokrzywdzonych kobiet zajmują ich miejsce. Starsi zachęcają młodzież: „Któż nie miał grzechów w młodości". „Na twój wiek chwatit" — powiadają mieszkańcy Wołowa."

Oto są następstwa całkowitej anarchii moralnej, pozbawienia ludzi religii i Boga.

Ale to jeszcze nie wszystko. Zdarzają się wypadki, że kobiety, skarżące się do sądów na swoich dawnych „mężów-kochanków", o ile ci ostatni są ludźmi wpływowymi, zsyła się do obozów koncentracyjnych, gdzie znoszą daleko większe prześladowania i cierpienia, niż mężczyźni-zesłańcy. Ciężka praca, straszny głód i choroby przyczyniają się do rychłego ich zgonu. Nikt w obozach nie ma dla nich litości. Żołdacy z bronią gotową do strzału często z niej korzystają.

Każda z tych nieszczęśliwych musi być powolną swoim dozorcom i katom. Najgorsi z nich są przy tym żydowscy kierownicy obozów, którzy w wyrafinowany wprost sposób znęcają się nad nieszczęśliwymi, prześcigając jeden drugiego w okrucieństwach. W takich warunkach nic dziwnego, że rzadko która z kobiet, zasłanych na przymusowe roboty, wraca do stron rodzinnych. Wszystkie przeważnie padają ofiarą pracy ponad siły i okrutnych tortur fizycznych i moralnych. b. r.

TĘPIENIE „ZWYRODNIAŁEJ SZTUKI" W NIEMCZECH

W dniu 18 lipca b. r. kanclerz Hitler dokonał w Monachium otwarcia „Domu Sztuki Niemieckiej", wielkiego budynku wystawowego, wzniesionego w miejsce spalonego przed kilku laty sławnego „Glaspalastu".

Równocześnie z otwarciem w „Domu Sztuki Niemieckiej" okolicznościowej wystawy malarstwa i rzeźby, będącej przede wszystkim pochwałą dzisiejszych Niemiec i wyrazem światopoglądu, obowiązującego w tym państwie, prezydent „Reichskammer der deutschen Kunst", prof. Ziegler, dokonał otwarcia, w salach arkad monachijskiego „Hofgartenu", wystawy tak zwanej „sztuki zwyrodniałej".

Na eksponaty tego pokazu składa się wybór obrazów, rzeźb i grafik, które prof. Ziegler skonfiskował we wszystkich muzeach i galeriach niemieckich jako obrażające tak obecne niemieckie kanony i piękna, jak i program polityczny i społeczny partii hitlerowskiej.

Czystka prof. Zieglera nie dotknęła dzieł żydowskich malarzy niemieckich, w rodzaju impresjonisty Liebermanna, lub ekspresjonisty Barlacha, lecz zajęła się

utworami różnych dadaistów, infantylistów, futurystów, kubistów i innych tzw. „bolszewików sztuki" z okresu powojennego, poprzedzającego dojście do władzy hitlerowców.

Na wystawie „zwyrodniałej sztuki" zebrano wielką ilość obrazów, na których twarze ludzkie wymalowane zostały zielonymi, niebieskimi i czerwonymi farbami, gdzie krzyżyki i pytajniki zastępowały oczy, a włosy miały barwy tęczy. Konfiskacie uległy wszystkie symboliczne i „konstruktywne" rzeźby, wszelkie „kompozycje" stanów „duszy", utworzone z zawartości śmietników, czyli z kawałków drutu, zużytych biletów tramwajowych, starych szmat itd.

Okazuje się, że w swoim czasie galerie publiczne w Niemczech wydawały dużo pieniędzy na tego rodzaju „arcydzieła". Za przedstawione na wystawie smarowidło w stylu futurystycznym i określone przez autora jako „Żyd wieczny tułacz" miejska galeria obrazów w Dreźnie zapłaciła w roku 1925 (za rządów katolickiej partii centrowej, jak głosi złośliwe objaśnienie) sumę 9.000 marek w złocie.

Monachijska wystawa „sztuki zwyrodniałej" ma dużą dozę słuszności, bo Żydzi i ich naśladowcy istotnie w okresie powojennym sprowadzili sztukę niemiecką na manowce. Jednak w wystawie tej silnie przebija tendencja, usiłująca dowieść, iż narodziny prawdziwej, czystej sztuki niemieckiej datować wolno dopiero z chwilą dojścia do władzy partii hitlerowskiej.

Propaganda ta przypomina galerie obrazów w Leningradzie, gdzie flamandzkie martwe natury i francuskie pastele z wieku XVIII zaopatrzono napisami, iż są to wytwory ustroju „burżujskiego" i kapitalistycznego i potępiono je jako sprzeczne z programem i światopoglądem ustroju komunistycznego. Natomiast pod niebiosa wyniesiono obrazy i rzeźby tych kierunków, które teraz w Monachium wystawione są pod pręgierzem. *(sb.)*

Z ŻYCIA POLSKICH HARCERZY NA JAMBOREE W HOLANDII



Zespół polskich harcerzy w liczbie 750 osób, który wziął udział na międzynarodowym zlocie harcerzy Jamboree w Holandii zyskał sobie ogólne uznanie i sympatię ze strony tysięcy widzów, którzy zachwycali się naszymi harcerzami, podczas rozmaitych przedstawień, jakie były wykonane przez przedstawicieli harcerzy wszystkich narodów świata w ramach tegorocznego Jamboree. Polskie pokazy zyskały sobie do tego stopnia ogólny aplauz, że musiały być dwukrotnie powtarzane.

Zdjęcie nasze przedstawia pokaz polski, na wielkim obozie harcerskim Vogelensang, w Holandii gdzie nasi harcerze wykonali wesołą komedyjkę pt. „Krowy holenderskie". Widzimy właśnie dwie takie „krowy" w wykonaniu polskich harcerzy.

KOBIETA PIONERKĄ MASONERII

W lutym ub. r. pisaliśmy o specjalnych lożach masońskich dla kobiet. Obecnie organ Francuskiej Unii Przeciwmasońskiej p. t. „La Bataille Antimaçonnique“ zamieszcza w numerze lipcowym obszerny artykuł o roli, jaką kobiecie wyznacza masoneria. Z jednej strony dąży ona do jak największego oderwania kobiety od ogniska rodzinnego, wskazując jej jako najwyższy cel t. zw. emancypację polityczną (udział we wszystkich działach administracji państwowej), niezależność gospodarczą (praca zarobkowa kobiety) i swobodę społeczną (rozerwalność „w razie potrzeby“ węzła małżeńskiego). Z drugiej strony masoneria usiłuje wpłynąć przez kobietę na wychowanie młodych pokoleń w swoim duchu. Wymieniony artykuł — w części podany niżej — jest oparty na cytatach masońskich i dowodzi, jak dużą dziś wagę przywiązuje masoneria do pozyskania wpływu na kobietę, od której w dużej mierze zależy oblicze jutra.

Przeciw religijności kobiet. Odsunąć kobietę od religii — to cel masonerii kobiecej. „Siostra“ Maria Deroismes mówi o tym wyraźnie, czyniąc cyniczne porównanie między dewocją a rozpustą.

„Dwie drogi otwierają się przed kobietą; są to dwie krańcowości, dwa bieguny: fanatyzmu i swobody. Inaczej mówiąc Kościół lub prostytucja. Biorę to słowo ostatnie w jego najszerszym znaczeniu, w sensie jak najbardziej ogólnym. Nie mówię tu tylko o tym odłamie, podlegającym przepisom policji, lecz również i o tym legionie nieprzeliczonym, który metodycznie kupczy potajemnie swym ciałem na wszystkich szczeblach społecznych — a zwłaszcza na najwyższych — i stąd czyni wyłom w całym systemie społecznym. Mistycyzm i rozpusta, do siebie niepodobne — stykają się w więcej niż jednym punkcie. Po obu stronach odrzucenie rozumu, ekscesy, niezdrowa popędliwość schorzałej fantazji. Dewocja pogrąża ducha ludzkiego w ciemności, rozpusta go deprawuje. Pierwsza go otumania, druga budzi w nim bestię. Mogą więc sobie podać rękę“.

Toteż masoneria skupia wszystkie swe siły w walce z religią, która „deprawuje“ kobietę, a przez nią i dziecko. I chełpi się, że jej się to udało.

W r. 1925 delegat Konwentu Wielkiego Wschodu powiedział z zadowoleniem: „Masonerii francuskiej wiele kobiet udało się uratować od klerykalizmu; jest to dzieło, z którego możemy być dumni, bo niebezpieczeństwo klerykalizmu jest tym niebezpieczeństwem, które zagrażało nam zawsze i psuło nam szyki; gdy masoni idą do Loży, kobiety wychowują dzieci w duchu klerykalnym.

A na Konwencie w r. 1930 pewien „brat“ głosił dumnie: „Żaden kościół nie omieszkał — schlebiając szlachetnym uczuciom kobiety i przywiązując ją do swych tajemnic i wierzeń częstokroć zabobonnych — zrobić z niej równocześnie anioła ogniska rodzinnego i nieoszacowanego narzędzia rozprzestrzenienia swych doktryn mistycznych i dogmatycznych. A trzeba walczyć nieubłaganie — tak w obronie małżonki, jak i dzieci — przeciw przyciągającemu działaniu religii, wykazując obok zbawiennych skutków, jakie wywierały, gdy ograniczały się do oświecania mas bez powziętych z góry instrukcji — rolę jaką odgrywają, stając się w rękach mniejszości ohydnym narzędziem podboju, ujarzmiania dusz i narodów“.

Tak to — cokolwiek by się mówiło — religia pozostaje wrogiem nr. 1 masonerii. Najczęściej, ażeby lepiej móc walczyć, atakuje się ją nie wprost, a drogą pośrednią i dlatego masoni nadają religii nazwę klerykalizmu. Lecz często też maska opada i odsłania ukryte, istotnie ich zamysły. Ostatnio w ciągu jednego tygodnia „bracia" Wielkiego Wschodu mieli możność uczestniczenia w dwóch konferencjach, wyraźnie antyreligijnych. Np. 20 czerwca — było to w loży Espérance — „brat" Zaborowski wygłosił odczyt, którego tytuł mówił jasno o tym co chciał powiedzieć: „Religie przeciw rozwojowi umysłowemu i moralnemu społeczeństw ludzkich".

Zawsze antyklerykalna, zawsze antyreligijna działalność masońska ujawnia się we wszystkich dziedzinach. I nie tyle o emancypację kobiety, ile odsunięcie jej od religii chodzi lożom masońskim — i w tym kierunku działają **loże kobiece.**

Kobieta — wychowawczyni. Loże masońskie dają kobiecie misję wychowawczą i to zarówno w szkole, jak i w domu. Potwierdza to Konwent Wielkiego Wschodu z r. 1930:

„Wpływ masoński winien oświecić matki i żony, pouczając je, że nie powinny wychowywać bohaterów i żołnierzy, lecz obywateli robotników i myślicieli. Masoneria powinna jasno sobie z tego zdać sprawę, że wpływ masoński nie zdoła przeniknąć do rodzinnego ogniska, że dalej nie będzie mogło być mowy o naprawdę świeckim wychowaniu dzieci, dopóki kobieta pozostanie poza obrębem nauczania obywatelskiego, filozoficznego i społecznego, które dotąd dzierży mężczyzna".

W r. 1932 Konwent „Prawa Ludzkiego" specjalnie zajął się tą sprawą i dokładnie określił, jak ma wyglądać działalność masońska w tej dziedzinie:

„...kobieta już z urodzenia jest wychowawczynią dziecka. Ale tylko wtedy wychowa je na normalnego i zrównoważonego obywatela, jeśli przede wszystkim zapewni mu od samego początku warunki przyszłego rozwoju. Wszczepić mu ona powinna od wczesnego dziecieństwa zamiłowanie do czystości cielesnej i dobrych przyzwyczajeń moralnych. Rozbudzić w nim sumienie, poszanowanie dla siebie samego i dla bliźniego. Wpoić mu nienawiść do wszelkiej przemocy, a wszczególności do wojny, ażeby wzbudzić w dziecku miłość bliźniego.

3⁰ Ale kobieta musi być przygotowana do swej roli wychowawczyni. I dlatego żądamy, by młoda dziewczyna zaprawiła się do przyszłej działalności przez wychowanie seksualne, kurs wychowania fizycznego i kurs higieny...

4⁰ ...Wychowawczyni tak w domu rodzicielskim, jak w szkole elementarnej powinna dać dzieciom obojga płci podstawowe pojęcie o higienie i obywatelstwie i pracować nad umysłowym urobieniem moralnym...

7⁰ ...Programy nauczania w szkolnictwie powszechnym powinny być zreformowane. Powinno się wyrugować rzeczy bezużyteczne, a ich miejsce zastąpić racjonalniejszą kulturą fizyczną, nauką higieny, gospodarstwa i niektórymi wiadomościami z dziedziny seksualnej.

8⁰ Jest rzeczą niezbędną, aby zarówno chłopcy, jak dziewczęta otrzymały wychowanie obywatelskie, mające nam dać przyszłego obywatela i obywatelkę.

9⁰ Trzeba zreformować nauczanie od podstaw, stwarzając nauczanie mieszane."

Spolszczył K. T. ***„La Bataille Antimaçonnique"***

„ROBOT" OBDARZONY INTELIGENCJĄ

Przed kilku tygodniami ukazała się w prasie skromna notatka, — prawie niezauważona przez szerszą publiczność, — informująca, że „radio-sonda", wysłana w przestworza z paryskiego „Observatoire de Trappes" — osiągnęła rekordową wysokość ponad 23.000 m — to znaczy wzniosła się na 23 kilometry wzwyż ponad poziom morza. Cóż to są owe radio-sondy (laikowi wolno o tym nie wiedzieć)? — Są to cudowne automaciki z miedzi i stali, opatrzone „mózgiem" elektrycznym. Potrafią one odczytywać bardzo dokładnie wskazania swego termometru i barometru, a potem przesyłać odnośne cyfry na ziemię drogą radio-telegraficzną.

Notujemy zatem nowy krok naprzód, stajemy wobec nowego zwycięstwa mechanicznych „robotów", które zaczynają napełniać świat, stwarzając poważną konkurencję dla istot ludzkich... Oto dzięki swemu samopękającemu balonowi i automatycznemu spadochronowi — mały potworek metalowy dystansuje najśmielszych lotników

i obecny rekord wzlotów do stratosfery nie należy już do człowieka, lecz do „robota"!...

Bywają także, na nieszczęście ludzkości, zwycięstwa mniej pokojowe. Wprowadzenie wynalazku „oka elektrycznego" pozwala na zbudowanie „robotów" groźnych, obdarzonych wzrokiem, umiejących ścigać człowieka nawet w ciemności i — wycelowawszy weń mały karabinek — zabić go. Inny wynalazek pozwala na zbudowanie żołnierzy-„robotów", nieustraszonych i bezlitosnych, a zdolnych do kierowania samolotów, czołgów i wszelkiego sprzętu armii nowoczesnej.

„ROBOT" NA STACJI ROZDZIELCZEJ KOLEI FRANCUSKIEJ. Ciekawy okaz „inteligentnego robota" zainstalowany został na stacji rozdzielczej kolei paryskiej „de Trappes", w pobliżu Saint-Cyr. Na ową stację — jedną ze znaczniejszych w Europie — przybywają pociągi towarowe, od których oddziela się poszczególne wagony, dla utworzenia nowych pociągów, kierowanych następnie do miejsca swego przeznaczenia. Nie tak to łatwo manewrować dwoma tysiącami wagonów dziennie — zwykłą ilością na tej stacji! Sztuka polega na tym, by wagony, popchnięte zapomocą lokomotywy na szczyt sztucznego pagórka, pojedyńczo rozsyłać po pochyłym torze na odpowiednie szyny. Wystarczy wprowadzenie w ruch, dokładnie przed danym wagonem, igły elektrycznej, aby wóz skierować na tor dla niego przeznaczony. Siedzący w wysokiej oszklonej wieży kierownik ruchu rozdzielczego ma zadanie niezwykle odpowiedzialne. O ile zbyt szybko manewruje on kontaktami, od których zależą igły elektryczne — może łatwo spowodować wykolejenie wagonu i katastrofę. Jeśli natomiast przesadza w ostrożności — powoduje tym wielkie opóźnienie ruchu. Dlatego też zainstalowano na danej stacji „automaty bezpieczeństwa", w celu zapobieżenia mylnym ruchom przy rozdzielaniu wagonów. I tu otrzymujemy ciekawy paradoks: mechaniczny „robot" poucza i kontroluje swego twórcę — człowieka!

Ten nowy model „robota" posiada „mózg", złożony z rurek, do których wpadają kulki: każda kulka odpowiada jednemu wagonowi i biegnąc naciska kontakty elektryczne, które puszczają w ruch igły. Żaden błędny ruch nie jest tu możliwy; jeżeli zaś jaki wagon potoczy się zbyt szybko na igłę elektryczną — „robot" woli go puścić w kierunku fałszywym, niż wywołać katastrofę. W danym wypadku kulka wyskakuje automatycznie przez okienko, czym oznajmia: Baczność! wagon źle skierowany

Opisany „robot“ i w tym jeszcze przewyższa człowieka, że jest zaopatrzony w oczy elektryczne, widzące na odległość i objawiające mu położenie wagonów: tym sposobem „roboty“ wyprzedzają człowieka również i w dziedzinie telewizji.

„ROBOT“ OBDARZONY „PAMIĘCIĄ“. Niezwykły wynalazek Francuza Dussaud pozwala na zbudowanie „robotów“, obdarzonych jakoby pamięcią; potrafią one przyjąć bardzo złożone polecenie, które następnie wykonują, jak wierne sługi. Wynalazca urządził na podwórzu paryskiego Instytutu pokaz ciekawego wózka automatycznego, poruszanego zapomocą akumulatorów, a który zaznajomiono z planem podwórza. Wózek ruszał szybko z miejsca, lecz zatrzymywał się przed murem, unikając zderzenia, zbaczał, cofał się w tył, dawał sygnały i jechał bez jakiejkolwiek pomocy ludzkiej!

Gdy wynalazca otworzył „czaszkę“ „robota“, który kierował zaczarowanym wózkiem, zebrani akademicy stwierdzili niesłychanie uproszczoną budowę jej wnętrza. Zwykła papierowa wstęga dziurkowana, przechodząca pomiędzy elektrycznymi kontaktami, — wystarczała do wykonywania wszelkich zleceń. System, znany z budowy organków jarmarcznych, został przystosowany do poruszania olbrzymiej armii „robotów“.

Na jeziorze genewskim p. Dussaud urządził następnie pokaz o rezultatach rzeczywiście fantastycznych, mianowicie, puścił na wodę statek automatyczny, wyposażony nie tylko w pamięć lecz i w zaradność. Gdy naprzeciw niego umieszczono drugi statek — automat zatrzymał się, cofał się w tył, wymijał przeszkodę, a potem spokojnie jechał dalej.

Ten nadzwyczajny rezultat osiągnięto przez zastosowanie kilku seryj „pamięci“, które automatycznie zastępują jedna drugą, — podobnie jak my porzucamy nieraz jeden projekt dla drugiego, gdy zmusi nas do tego nieprzewidziana konieczność.

UDZIAŁ POTWORÓW AUTOMATYCZNYCH W WOJNIE. Pojmujemy zatem, jak straszliwe możliwości stwarza na polu bitwy zastosowanie owych automatycznych potworów w postaci szybkich czołgów, kierowanych przez „roboty“, obdarzone „pamięcią“ i wyposażone w „oczy“ elektryczne, a niosące nieprzyjacielowi zniszczenie i śmierć. Dla celów walki na morzu „roboty“-torpedy mogłyby nauczyć się planu, choćby najbardziej skomplikowanego, portów nieprzyjacielskich i udawać się na zniszczenie okrętów w tychże portach.

Jeżeli zaś chodzi o cele pokojowe, możemy już obecnie budować „roboty“-lokomotywy i „roboty“-motorówki na szynach, wykonujące bez obsługi ludzkiej służbę swą jak najdokładniej; dalej „roboty“-automobile, biegnące po autostradach z szybkością 200 kilometrów na godzinę, posłuszne sygnałom świetlnym i zatrzymujące się wobec przeszkody na drodze. „Roboty“-łodzie podwodne mogą być wysyłane do głębin morskich, dokąd nie sięgnie człowiek, i stamtąd przynosić fotografie.

Lecz najbardziej fantastycznemi są zdobycze techniki w dziedzinie lotnictwa. Nie zapominajmy, że „samoloty automatyczne“ mogły krążyć o własnych siłach pomiędzy Croydon i le Bourget, a nawet dotarły do Rzymu. Gdyby maszyny te zostały wyposażone „automatyczną „pamięcią“ — do jakichże niebywałych wyczynów stałyby się zdolne!

Za śmiesznie niską cenę 3,000 franków mały samolot automatyczny z gatunku „pchełek niebieskich“ może być kompletnie zbudowany oraz wyposażony w motor i w „pamięć“ o dziurkowanej wstędze. Za cenę niespełna jednego miliona jakiś zażarty nieprzyjaciel mógłby wypuścić na miasto przeciwnika trzysta małych „robotów“-awionetek, zaopatrzonych w bomby gazowe i niecących pożary...

Zaiste — wartoby już zaprzestać tych niebezpiecznych wynalazków, lecz wiedza, niestety, podobna jest do pudełka Pandory: gdy raz wyjdą zeń bicze klęski — nie da się go już zamknąć.

Oprac. F. S. *„Gringoire“*

P R Z E G L Ą D Y

KRONIKA MIESIĘCZNA

Strajk lekarzy i strajk grabarzy — We Francji moda na strajki — Strajk jako wielkie kłamstwo — Robotnicy domagają się pozbawienia pracy... robotników — „Dziennik Poranny" — opromieniony sławą Z. N. P. — „Płomyk" i Kongres paryski — Przyjrzeć się zjazdom międzynarodowym!

Z Francji doniesiono ostatnio, że w departamencie Seine et Oise zastrajkowało 570 lekarzy. Strajk wybuchł jako protest przeciwko zarządzeniu prefektury w sprawie formy recept. Władze ustaliły jednolity formularz recept; formularz ten lekarzom się nie spodobał. Wysunęli jakieś swoje argumenty, może i nawet słuszne, i zastrajkowali. Nie można oczywiście wchodzić w meritum zatargu, jakkolwiek przedmiot zatargu wydaje się raczej błahy. Chodzi przede wszystkim o podkreślenie samego faktu, że w tym a w tym departamencie Francji zastrajkowali l e k a r z e!

W tym samym czasie przeczytałem w gazecie wiadomość, znowuż z Ameryki, ze Stanów Zjednoczonych o strajku grabarzy. Czyta się ciągle o najrozmaitszych formach i powodach strajku, dlaczegoby nie miało być strajku grabarzy. Sądzę nawet, że w konsekwencji strajkowej powinno się pójść jeszcze dalej. W jednym i tym samym okręgu winien wybuchnąć równocześnie strajk lekarzy i grabarzy. Wtenczas wola strajkujących przeprowadzona byłaby o wiele szybciej. Złośliwi postawiliby może tę sprawę inaczej. Strajk lekarzy i grabarzy równocześnie mijałby się z celem. Wobec strajku lekarzy chorzy przestaliby umierać i nie byłoby kogo chować.

Pomińmy jednak te dygresje. Interesuje mnie przede wszystkim strajk lekarzy francuskich. Przyznam się, że jakoś nie bardzo udaje mi się połączyć te dwa pojęcia: lekarz i strajk. Medycyna to zawód, jeden z tych wyjątkowych zawodów, u których w samym założeniu leży niemożliwość strajkowania, uchylenia się od pomocy choremu. W samym więc zestawieniu strajku lekarzy istnieje jakaś zdecydowana i zasadnicza sprzeczność. Być może, że odczuwanie tej sprzeczności jest następstwem naszej łacińskiej kultury, która pewne zawody przyzwyczaiła się otaczać specjalną estymą, ale i specjalnych usług od nich wymagała. Dziś obiecują nam różni przepowiadacze nadejście nowych okresów kulturalnych. Kto wie, czy właśnie ten strajk lekarzy nie jest zapowiedzią i przedsmakiem owych przyszłych kultur.

Chodzi właśnie o ową zapowiedź. W ostatnich czasach wśród wiadomości z Francji ciągle czytało się o jakichś strajkach. Mania strajkowa przeżarła, zdaje się, tam cały organizm społeczny, stała się modna, stała się narzędziem wielkiego szantażu, który dokonywany jest na organiźmie narodu francuskiego. Można dokładnie oznaczyć datę wezbrania tej francuskiej fali strajkowej. Zbiega się ona ze spotęgowaniem agitacji komunistycznej we Francji i dojściem do władzy rządów „frontu ludowego". To właśnie komunizm przyniósł, razem z in-

nymi dobrodziejstwami, jedno ze swych najskuteczniejszych narzędzi — strajk.

Strajk w pojęciu komunistycznym jest skuteczną formą walki o sprawiedliwość. Tak przynajmniej jest w teorii. Ale obserwując właśnie teren francuski można sobie oglądnąć praktykę tego kłamstwa, kłamstwa przynajmniej w interpretacji komunistycznej (trzeba bowiem tu dla ścisłości zaznaczyć, że istnieją formy strajku, które znajdują usprawiedliwienie i są uzasadnione; ale to już odrębny temat). Chodzi o psychozę strajkową. Psychozę i zarazem paradoksalność tej akcji strajkowej, jaką się właśnie widzi w dzisiejszej Francji.

Nie dalej, jak kilka miesięcy temu w licznych tamtejszych fabrykach główny komunistyczny komitet robotniczy wywołał falę strajków, które zwrócone były przeciw... samym robotnikom. Tylko innych ideologii. Robotnicy komuniści rozpoczęli strajk i sabotaż w fabrykach pod hasłem wyrzucenia robotników o przekonaniach katolickich i narodowych. Przestaną strajkować, jeśli w fabrykach będą pracowali sami komuniści. Oto paradoks naszych czasów. Oto czystość haseł. Reprezentanci ludu przeciw ludowi! Ma to swój wcale ostry przysmak, taki strajk.

Podobny charakter zresztą ma w swej istocie i strajk lekarzy. Nie ulega wątpliwości, że ci strajkujący lekarze ulegli sugestii rzuconej przez cały komunizujący nastrój dzisiejszej Francji. W innych okolicznościach nie byłoby im na pewno przyszło do głowy chwytać się tak drakońskiego środka z powodu tak błahego i nieistotnego, jak recepty!... Ten strajk stawia przecież tych lekarzy w sprzeczności z samym ich powołaniem. Zaprzecza sensowi ich istnienia. Oto jeszcze jeden piękny paradoks roboty komunistycznej, konsekwencyj, do których prowadzą integralne założenia socjalistyczne.

*

Pismem, które można na terenie polskim uważać za wyraziciela ideologii lewicowej, zbliżonej do francuskiego „frontu ludowego", jest wychodzący w Warszawie „Dziennik Poranny". Wpływ na to pismo posiadają ludzie, należący równocześnie do osławionego Związku Nauczycielstwa Polskiego.

W numerze 216 „Dziennika Porannego" pojawił się na pierwszej stronie dłuższy artykuł p. t. „Sukces Polski na kongresie prasy pedagogicznej i dziecięcej w Paryżu. Czasopisma Z. N. P. uznane za jedne z najlepszych na świecie." Artykułowi tak szumnie zatytułowanemu wypada przyjrzeć się bliżej.

Na wstępie notatka która informuje, że w dniach ostatnich zakończony został w Paryżu międzynarodowy kongres prasy pedagogicznej i dziecięcej. W kongresie wzięli udział przedstawiciele państw całego świata. „Polska reprezentowana była wyłącznie przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, który, jak wiadomo, oprócz szeregu pism dziecięcych wydaje szesnaście czasopism pedagogicznych". Po tych wstępnych informacjach takie doniesienie: „Spośród całej reprezentowanej na kongresie prasy czasopisma wydawane przez Z. N. P. uznane zostały za najlepsze i wysunęły się bezkonkurencyjnie na pierwsze miejsce, zarówno jeśli chodzi o ich poziom, wartości wychowawcze i pedagogiczne, jak i stronę redakcyjną i artystyczną".

Ta ostatnia wiadomość wydrukowana została tłustymi czcionkami i jest bardzo aktualna, zwłaszcza po ostatnich procesach przeciw „Płomykowi". Widzicie, zacofańcy, wam się „Płomyk" nie podoba, a w Paryżu, a przez międzynarodowy kongres został on uznany za jedno z najlepszych pism świata, i co wy na to?

Z dalszego ciągu artykułu dowiadujemy się, że delegacja polska była

przedmiotem bezustannych owacji i podziwu, do tego stopnia, że kongres uchwalił „powierzyć Związkowi Nauczycielstwa Polskiego zorganizowanie następnego światowego kongresu prasy pedagogicznej i dziecięcej w Polsce. Kongres ten odbędzie się prawdopodobnie w końcu 1938 lub początku 1939 r."

Zanim nastąpi komentarz do tych radosnych zapowiedzi, jeszcze kilka fragmentów z artykułu: „Mówcy zagraniczni przemawiający w obecności oficjalnych osobistości z prem. Blumem i Herriotem na czele, podkreślali przy każdej sposobności doniosłą rolę, jaką odgrywają nauczyciele-związkowcy w życiu społecznym Polski..." Zaiste decydujące znaczenie ma dla nas opinia mówców z p. Blumem na czele o roli nauczycieli-związkowców w życiu społecznym Polski. Z. N. P. wybrał doskonały autorytet do wystawienia świadectwa swej użyteczności.

Wobec tak wielkich sukcesów zrozumiałe jest rozgoryczenie, zawarte we wspomnianym artykule: „Na marginesie tych bynajmniej nie grzecznościowych pochwał pod adresem nauczycieli polskich z przykrością należy stwierdzić, że olbrzymi sukces osiągnięty przez Związek Nauczycielstwa Polskiego na kongresie prasy w Paryżu przeszedł u nas bez echa". Bidule, oni naprawdę nie wiedzą, dlaczego o tych „sukcesach" u nas się nie pisze. Ale swoją drogą tupet w tym Z. N. P. jest. Tupet i obłuda w ilości naprawdę godnej podziwu.

Artykuł kończy się taką diatrybą: „A przecież sukces ten opromienił sławą nie tylko organizację nauczycielską, ale całą Polskę, przynosząc krajowi naszemu niemniej zaszczytów i uznania od jednocześnie zdobytych laurów... w dziedzinie sportowej".

Komentarz pierwszy: Cała Polska rezygnuje z zaszczytów i uznania tą drogą zdobytych. Niechaj organizacja nauczycielska, „opromieniona sławą" sama delektuje się swymi laurami i ma poczucie wyższości, zwykłe wielkościom zasłużonym a zapoznanym.

Ale omawiany tu artykuł, oraz zawarte w nim wiadomości wymagają dalszych komentarzy. Przede wszystkim należałoby dowiedzieć się, co to za kongres odbywał się w Paryżu. Czy nie przypadkiem kongres lewicowych organizacyj nauczycielskich, które stoją w takim czy innym związku z międzynarodowymi organizacjami politycznymi. A jeśli to wielce prawdopodobne podejrzenie okazałoby się słuszne — należy koniecznie zająć się tym mającym się odbyć u nas następnym kongresem, który organizować i przygotować ma Z. N. P. Nasuwa się bowiem podejrzenie, że wybór Polski na miejsce przyszłego zjazdu podyktowany jest taktyką. Będzie się nazywało, że przyjeżdża do Polski wielki międzynarodowy zjazd, a przyjedzie tymczasem kilkudziesięciu radykalizujących nauczycieli z pełnym worem frazesów propagandowych. Z. N. P. wykaże przy tym wiele gorliwości i szukać będzie sposobów odegrania się w opinii polskiej.

Ale żadne zabiegi już nie pomogą. Sprawa Z. N. P., przynajmniej przy dzisiejszym jego kierownictwie, jest na terenie Polski gruntownie przegrana. Co się jeszcze wyraźniej pokaże w sezonie jesienno-zimowym roku bieżącego.

Artem.

ERRATA

W numerze sierpniowym „Tęczy" skutkiem pomyłki i przeoczenia podaliśmy fałszywie nazwisko projektodawcy okładki. Kompozycję tę wykonał p. H. Czaman, p. Brzeziński zaś, zilustrował nowelę p. t. „Z sieciami".

Perpetuum mobile strajków

Oto jedna z cech współczesności: strajki. Nie tylko tu i ówdzie wybuchające. Przez świat dzisiejszy przelewa się jakby nieprzerwana fala strajków — prawdziwe perpetuum mobile. Częstotliwość powtarzania się tego zjawiska uodporniła naszą wrażliwość na nie. I tylko z okazji większych wstrząsów, gdy np. w starciu strajkujących z policją leje się krew, budzimy się i szukamy przyczyn tych strajków. Rzadko jednak domyślamy się przyczyn ogólnych (najważniejszych) a chętnie uspokajamy się, że znaleźliśmy źródło zła, gdy uda nam się stwierdzić, że tu i ówdzie strajk został wywołany przez grupę polityczną lub klikę zawodową. Powtarzam — obserwujemy powierzchownie i nie domyślamy się często, że mogą być bardziej ogólne przyczyny strajków, że musi istnieć wspólne podłoże — istnieje naprawdę — na którym drobne grupy i kliki wygrywają swe własne (drobne) cele.

Podamy najpierw kilka faktów.

We Francji

Strajki francuskie są w tej chwili najbardziej charakterystyczne. Wyładowują się one w walkach politycznych o silnym zabarwieniu czerwonym i są przyczyną dezorganizacji wielu odcinków życia gospodarczego. Mają one jednak swoje najbardziej ogólne podłoże, wcale nie polityczne, lecz socjalne i w walce o w zasadzie słuszne reformy socjalne nabierają one cech walki politycznej. Dla polityków są zresztą nauczką, że przejście od zacofania socjalnego do daleko idącej szczodrobliwości pod adresem pracowników nie może być zbyt gwałtowne.

W Ameryce

Niektórzy sądzą, że i akcja Roosevelta w Ameryce jest wyrazem dążności „bolszewickich". Tak jednak nie jest. Polityka socjalna Roosevelta jest obliczona na stopniowe wyrównywanie różnic społecznych świata wielkokapitalistycznego. Posiada ona charakter typowo ewolucyjny i — tak mi się zdaje — jej ogromne znaczenie doświadczalne nie jest należycie doceniane. Rozsądna ewolucja może wykluczyć ewentualność przemian rewolucyjnych. Uprzedza bardzo prawdopodobne fakty, rozkłada na raty ich przejawy, które, wyładowując się jednorazowo, o wiele cięższej dotknęłyby całe życie Ameryki. Roosevelt wie, że — podobnie jak „stary świat" — i Ameryka znajduje się nad krawędzią rewolucji.

W Polsce

U nas obraz rzeczywistości przedstawia się nieco odmiennie, ale tylko w przejawach zewnętrznych. Pod względem uprawnień socjalnych nasz robotnik stał jeszcze wczoraj o całe piętro wyżej od robotnika francuskiego i amerykańskiego. Jednak nasz robotnik nie odczuwa dobrodziejstw ustawodawstwa socjalnego, ponieważ nie pozwala mu na to bardzo niskie wynagrodzenie za pracę — znacznie (o dwa piętra) niższe niż na zachodzie, nie wystarczające nawet na jego skromne potrzeby. Dlatego nasze strajki posiadają przeważnie charakter ekonomiczny (wyjąwszy te wypadki, kiedy członkowie socjalistycznych związków zawodowych okupują zakłady pracy w celu wymuszenia na pracodawcach zwolnienie pracowników — członków organizacyj chrześcijańskich. W ostatnim czasie strajki o takim właśnie charakterze były zbyt częste). Strajki tzw. ekonomiczne mają zawsze widoczne przyczyny socjalne. Te ostatnie przejawiały się u nas w walkach o Izby Pracy, o umowy zbiorowe itp.

Wnioski

Wielkie rozruchy, niepokoje, częściowo rewolucje, w których jedną ze stron były masy robotnicze, posiadają swą bardzo doniosłą wymowę. Nie są one wyłącznie dowodem opanowania tych mas przez czynniki polityczne, lecz są wyrazem głębokich dążeń socjalnych najmłodszej warstwy społecznej, której proces emancypowania się rozpoczął się wraz z okresem gospodarki wielko-kapitalistycznej i nie zakończył się jeszcze.

Jeśli odłączymy od akcji strajkowej wielkie szkodliwe naloty agitacyjno-polityczne oraz żądania czysto gospodarcze, spowodowane poprawą koniunktury — to zauważymy silną tendencję o charakterze socjalnym, polegającą na dążeniu świata pracy do stworzenia silnej reprezentacji zawodowej, będącej przeciwwagą ze strony pracowników — w stosunku do środków materialnych i wpływów politycznych pracodawców. Tendencja ta jest znamieniem czasu. Chodzi o to, ażeby te radykalnie nieraz się przejawiające dążności emancypacyjne skierować na drogę ewolucji, a nie dopuścić do ich wyładowywania się gwałtownego. Polityka bezwzględnego przeciwdziałania tym dążnościom byłaby tak samo błędna jak polityka przesadnego forsowania warunków pracowniczych. Prawda mieści się w środku. Rację ma Roosevelt.

Sew.

PRZEGLĄD WYDAWNICZY

NOWE DZIEŁO KS. ARCYBISKUPA TEODOROWICZA

X. JÓZEF TEODOROWICZ, arcybiskup: *Herold Chrystusa na tle epoki.* Nakł. Księg. św. Wojciecha. Poznań, s. IV + 261, zł 6.00.

W roku bieżącym obchodził ks. Arcybiskup Józef Teodorowicz jubileusz pięćdziesięciolecia kapłaństwa. Było to zdarzenie bardzo doniosłe dla całej Polski. Bo oto półwiecze pracy obchodził nie tylko kapłan katolicki i książę Kościoła, który całe swoje życie poświęcił na pracę głoszenia Słowa Bożego, ale również wielki Polak i patriota, który obok swych prac arcypasterskich przez długie lata głosił najszczytniejsze hasła narodowe i społeczne, tak ważne i krzepiące zwłaszcza w okresie naszej niewoli politycznej. Niedawny jubileusz ks. Arcybiskupa Teodorowicza postawił przed oczy współczesnej Polski człowieka o jednej z największych zasług religijnych i narodowych, który unikając rozgłosu i głośnych wyrazów uznania — stał czujnie na straży powierzonego sobie społeczeństwa.

Osobnym zakresem działalności ks. Arcybiskupa Teodorowicza jest jego dorobek pisarski. Dostojny jubilat należy do najświetniejszych pisarzy religijnych, jakich posiadała Polska. Jego dorobek pisarski jest olbrzymi. Trudno na tym miejscu omawiać całokształt dzieła pisarskiego ks. arcybiskupa Teodorowicza, tak jest on obfity; wymaga specjalnego, wyczerpującego studium.

Pragniemy omówić, przynajmniej w skrócie, ostatnie wielkie dzieło pisarza, dzieło, którego tom trzeci ukazał się właśnie w okresie tegorocznego jubileuszu. Ks. arcybiskup Teodorowicz planował od dawna a podjął przed kilku laty wielkie cyklowe wydawnictwo p. t. „Jezus Chrystus". Według założonego planu ma to być obszerna monografia historyczno-apologetyczna Zbawiciela, oparta na dokładnych, całożyciowych studiach i przemyśleniach Bowiem pisarz nie tai, że praca, którą podjął jest pracą całego życia, jest rezultatem długich i trudnych przemyśleń wewnętrznych. We wstępie do pierwszego tomu zaznacza autor, że na to by godnie i wyczerpująco przedstawić, tak wielki temat, nie starczy życia ludzkiego.

W założeniu swym ma być dzieło p. t. „Jezus Chrystus" monografią o charakterze naukowym. Ale ta naukowość pojęta została w sposób zgoła swoisty. Autor zgromadził wszystkie potrzebne wiadomości historyczne, apologetyczne i topograficzne (topografia Ziemi świętej), cały wszakże ten olbrzymi materiał naukowy został wkomponowany w wykład tak barwny i pociągający, że tę książkę naukową, najściślej naukową czyta się w sposób łatwy i przystępny. Jest to już tajemnicą talentu wielkiego pisarza, że jego dzieło może być czytane z równym pożytkiem przez uczonego, jak i przez każdego przeciętnego inteligentnego człowieka, który nie posiada przygotowania specjalnego, a wrażliwy jest tylko na piękno słowa i gotów jest poddać się przemożnej sile postaci Zbawiciela.

Z omawianego cyklu ukazały się poprzednio dwa spore tomy: pierwszy „Od Jahwy do Mesjasza", oraz „Od Betleem do Nazaretu". Ostatnio ukazał się tom trzeci. Nosi on tytuł „Herold Chrystusa na tle epoki". Cała książka dzieli się na dwie wielkie części. W części początkowej dał autor szeroki i wszechstronny obraz polityczny, religijny, społeczny i obyczajowy stosunków, panujących w Palestynie w okresie poprzedzającym przyjście Mesjasza. W części drugiej zawarty jest wykład o osobie św. Jana, który jest heroldem, zapowiadającym przyjście Zbawiciela.

W tak logicznie zbudowanym tomie otrzymuje czytelnik doskonały a pełny obraz tych wiadomości, które niezbędne są do dobrego zrozumienia tła działalności Jezusa Chrystusa. W polskiej literaturze religijnej nowe dzieło ks. arcybiskupa Teodorowicza zajmuje miejsce wyjątkowe, zarówno ze względu na swoją oryginalną koncepcję, jak i ze względu na sposób opracowania. Należałoby sobie życzyć, aby „Herold Chrystusa na tle epoki" rozszedł się jak najszerzej i dotarł do całej polskiej inteligencji, stając się zapowiedzią głębokich i trwałych przeżyć religijnych.

Powieść polska

WANDA MIŁASZEWSKA: *Stare Kąty.* Powieść. Nakł. Księg. św. Wojciecha. Poznań, s. 248, zł 4.50.

Rok bieżący w działalności wydawniczej Księgarni św. Wojciecha obfituje w nowe edycje dzieł wydanych poprzednio. W dziale powieściowym zapowiada się nowe wydanie Zofii Kossak „Krzyżowców" (na jesieni ukaże się również nowa powieść tej autorki p. t. „Bez oręża"), wy-

szło również drugie wydanie dawniejszej powieści Wandy Miłaszewskiej p. t. „Stare Kąty". Miłaszewska należy do najpoczytniejszych autorek polskich, co jest prawdziwym sukcesem czytelniczym i literackim, jeśli się zważy, że autorka „Kacząt" fabułę swych powieści pogłębia i unika łatwizn kompozycyjnych i psychologicznych. „Stare Kąty" są jedną z pierwszych powieści Miłaszewskiej. Wartość tego utworu opiera się na dwóch elementach — umiejętności połączenia opisu kresowej wsi polskiej z głębokim nurtem uczuciowym, oraz na postawieniu interesującego problemu.

Ostatnio ukazała się również nowa powieść Miłaszewskiej p. t. „Święty wiąz". Omówienie tej nowości literackiej ukaże się w jednym z najbliższych numerów naszego pisma.

POLA GOJAWICZYŃSKA: *Rajska Jabłoń*. Powieść. 2-tomy. „Rój", s. 269 + 330, zł 8.00 + 8.00.

Pełne i właściwe omówienie ciekawej powieści Gojawiczyńskiej można dać dopiero obecnie, kiedy ukazał się również i tom drugi utworu. Z okazji omawiania pierwszej części „Rajskiej Jabłoni", oraz również dwutomowej powieści tej autorki „Dziewczęta z Nowolipek", które stanowią początek cyklu powieściowego — dawaliśmy na tym miejscu przyczynki do charakterystyki twórczości Gojawiczyńskiej.

We wspomnianych recenzjach podkreślaliśmy niejednokrotnie wybitny talent autorki, talent o skali bardzo szerokiej, szukający tematów wśród najbardziej palących zagadnień dni dzisiejszych. Podkreślaliśmy również umiejętność ustalania dystansu artystycznego wobec tematu i równoczesną zdolność zbliżania narracji powieściowej do świata myśli i uczuć współczesnego człowieka. Zarówno konstrukcja, jak i styl powieści Gojawiczyńskiej charakteryzują się powściągliwością, ale równocześnie odgradzają się od dotychczasowych form powieściowych. Autorka umiała znaleźć własną formę literacką, formę doskonale zharmonizowaną z wybraną treścią, i zagadnieniową i fabularną.

Patrząc w tej chwili na ukończony już czterotomowy cykl powieściowy, trzeba raz jeszcze podnieść wszystkie wspomniane zalety, które w tym ponownym zestawieniu nie tracą na wartości, przeciwnie, przychodzi powtórzyć sąd raz już wyrażony. Ale równocześnie mocno i wyraźnie rysują się zauważone podczas lektury poszczególnych tomów wady utworu. Głęboki pesymizm, jaki stoi u podstaw światopoglądu autorki — wpłynął na zwichnięcie artystycznej struktury całości. Obraz świata, jaki buduje w swoich powieściach Gojawiczyńska jest przechylony w stronę zła i upadku, nacechowany jest zniechęceniem i smutkiem, a cechy te nie zostały zrównoważone przez elementy charakteru odmiennego.

Od lat kilku śledzimy rozwój talentu autorki „Ziemi Elżbiety". Postęp artystyczny zaznacza się w każdym utworze bardzo wyraźnie. Ale równocześnie nie przezwyciężony zostaje w dalszym ciągu ów ważny brak artystyczny, o którym była mowa powyżej, a który stoi u podstaw poglądu na świat Poli Gojawiczyńskiej.

Nowe wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego

ADAM FISZER: *Etnografia Dawnych Prusów*. Rozprawa z pracy zbiorowej „Dzieje Prus Wschodnich". Wyd. Instytutu Bałtyckiego. Gdynia, s. IV + 53, zł 2.50.

LEON KOCZY: *Polityka Bałtyckiego Zakonu Krzyżackiego*. Toruń, s. IV + 73, zł 2.50.

STOSUNKI NARODOWOSCIOWE W ROLNICTWIE POMORSKIM. W opracowaniu dr. Antoniego Wrzoska i Stanisława Zwierza. Zeszyt 1. Wyd. Instytutu Bałtyckiego: Prace Kartograficzno-statystyczne pod red. Józefa Borowika — Gdynia-Toruń, s. 21, zł 2.50.

Działalność wydawnicza Instytutu Bałtyckiego rozwija się coraz wszechstronniej. Z roku na rok Instytut wydaje coraz większą ilość książek we własnym nakładzie, tematyka prac obejmuje coraz szersze zagadnienia.

Dwie pierwsze wymienione książki pochodzą z wielkiego wydawnictwa cyklowego, które złoży się na wyczerpującą monografię „Dziejów Prus Wschodnich". Adam Fiszer daje w obrębie tego wydawnictwa zarys etnografii dawnych Prusów, a Leon Koczy omawia politykę bałtycką Zakonu Krzyżackiego. Obie prace odznaczają się doskonałym opracowaniem przedmiotu, oraz jasnym i przystępnym wykładem. Ze względu na te dwie zalety prace wspomnianych uczonych czytane będą nietylko przez specjalistów i uczonych, ale i przez szersze koła inteligencji.

Trzecia praca posiada charakter inny. Instytut Bałtycki podjął wydawnictwo Kartograficzno - statystyczne, które ma przynieść opracowanie całokształtu stosunków narodowościowych w rolnictwie pomorskim. Pracy tej, przeprowadzonej przez dr. A. Wrzoska i St. Zwierza ukazał się obecnie zeszyt pierwszy, zawierający dwa rozdziały: „Podstawy demograficzne", oraz „Własność ziemska i zagadnienie parcelacji".

60

Kaszuby

DR. BOŻENA STELMACHOWSKA: *Sztuka ludowa na Kaszubach.* Archiwum Etnograficzne Instytutu Zachodnio-Słowieńskiego U. P. zeszyt 3. Wyd. Księg. Jana Jachowskiego. Poznań, s. XII + 84. Wydanie albumowe z licznymi ilustracjami, zł 20.—

Książka dr. Bożeny Stelmachowskiej, wybitnej uczonej poznańskiej, stanowi zwięzłą, ale wyczerpującą monografię sztuki kaszubskiej. Autorka tej książki poprzedziła jej wydanie wieloma pracami o charakterze etnograficznym i folklorystycznym, których temat omawiał życie i obyczaj Pomorza, a przede wszystkim jego skrawka północnego, Kaszub. Wydana więc obecnie monografia stanowi rezultat długoletnich badań, które potrzebne były do tego, aby w zwięzłym wykładzie dać wyczerpujące omówienie twórczości, ludowej na Kaszubach nacechowanej odrębnością pomysłów i różnorodnością form.

Dzięki coraz częstszym obecnie pracom o polskim wybrzeżu, jego historii, życiu i sztuce — w opinii powszechnej wyrabiać poczyna się coraz wyraźniejsza świadomość wielkich walorów, jakie reprezentuje Kaszubszczyzna. Kaszuby, to nie tylko wykazujący pewną odrębność teren polski, to również rezerwuar form najrdzenniej słowiańskich, które potrafiły przetrwać przez tysiące lat i wykazują dziś również sporą aktywność. Należy tylko zrozumieć konieczność ich zachowania, wartość ich trwania. Powinno się dążyć do umożliwienia tej aktywności swobodnego rozwoju.

Aby ten postulat mógł być przeprowadzony, teren kaszubski powinien zostać doskonale poznany i oceniony. Takie prace, jak omawiana monografia dr. Stelmachowskiej do takiego poznania walnie się przyczyniają. Twórczość artystyczna, której omówienie znajduje się w książce dr. Stelmachowskiej, wyraża najpełniej i najwszechstronniej bogactwo życia i pracy ludu kaszubskiego.

Podnieść wypada piękne wyposażenie graficzne książki i jej niemal albumowy wygląd. Autorka i wydawcy nie żałowali trudu i kosztów na to, aby zebrać w wydawnictwie wielką ilość ilustracyj, przedstawiających dzieła sztuki kaszubskiej.

Zbiorowe wydanie „Pism" Orzeszkowej

ELIZA ORZESZKOWA: *Meir Ezofowicz.* Tom II. „Pisma Elizy Orzeszkowej" Tom V. Nakł. Gebethnera i Wolffa, s. 199, zł 3.60.

W wydaniu zbiorowym „Pism" Elizy Orzeszkowej, którego ukazywanie się poszczególnych tomów notujemy na tym miejscu od kilku miesięcy — pojawił się dalszy tom. Zawiera on drugą część społeczno-obyczajowej powieści Orzeszkowej p. t. „Meir Ezofowicz". Przy omawianiu całokształtu dzieła autorki „Nad Niemnem", które zapowiedzieliśmy na jeden z zimowych numerów naszego pisma — zagadnienie podniesione przez autorkę w wyżej wynotowanej powieści znajdzie specjalne oświetlenie. Jest to zagadnienie stosunku świata polskiego do żydów, tak aktualne w chwili obecnej.

Książka Studnickiego

WŁADYSŁAW STUDNICKI: *Ludzie Idee i Czyny.* Nakł. autora. Warszawa, s. 230, zł 7.00.

Książka Władysława Studnickiego jest z wielu względów bardzo ciekawa. Interesująca jest przede wszystkim przez swoje założenie i cel, jakiemu została poświęcona. Jest to tom szkiców portretowych najwybitniejszych ludzi Polski współczesnej kreślony na podstawie własnych wspomnień autora. A wspomnienia to są bogate i rozległe. Władysław Studnicki od lat wielu brał bardzo czynny udział w życiu publicznym społeczeństwa polskiego, zajmując niejednokrotnie bardzo wybitne i odpowiedzialne stanowiska. W czasie swojej działalności publicznej stykał się z wieloma ludźmi, znał osobiście najwybitniejszych działaczy, patrzał na wiele ważnych spraw z bliska.

„Ludzie, Idee i Czyny" mają charakter studiów portretowych, ale są równocześnie pewnego rodzaju bilansem sił społeczno-politycznych Polski w pierwszych dziesiątkach lat XX stulecia, sił wyrażających się w wybitnych jednostkach tego czasu. Z tej potrzeby sporządzenia bilansu płynie charakter polemiczny szkiców. Wpływa nań również bardzo określone stanowisko ideologiczne samego autora i jego temperament pisarski. Poszczególne sylwetki pisane są śmiało i zdecydowanie. Można i trzeba często spierać się z autorem w jego sądach, ale trudno mu odmówić oryginalności i szerokiej znajomości tematu. Wszystko to razem sprawia, że książkę Studnickiego czyta się z olbrzymim zainteresowanie i pożytkiem. Dla historyka naszych czasów, dla socjologa, ale również i dla człowieka interesującego się współczesnymi zagadnieniami polskimi książka to nieodzowna.

Tom ułożony został bardzo przejrzyście. Wszystkie zawarte w nim szkice zostały podzielone na kilka grup. Po sylwetce marszałka Piłsudskiego następuje

grupa szkiców zatytułowana „Ministrowie Spraw Zagranicznych Piłsudskiego", następnie „Generałowie Piłsudskiego". Osobne omówienie znaleźli w książce „Generałowie współzawodnicy". Najobfitszy końcowy dział wypełniają sylwetki „Polityków". Do książki Studnickiego przyjdzie raz jeszcze wrócić. Wówczas zostaną zaznaczone dokładnie zastrzeżenia i zarzuty, jakie w stosunku do poszczególnych „portretów" należy z naszego stanowiska poczynić.

Biblioteka Młodego Technika

LEON RUDAWSKI: *Prace z drzewa*. Z 37 tablicami, z 198 rysunkami w tekście, oraz 51 rysunkami technicznymi. „Biblioteka Młodego Technika" tom X. Nakł. Księg. św. Wojciecha. Poznań, s. 177, zł 2.80.

J. ALICHNIEWICZ i J. KOWAL: *Młody Fizyk-konstruktor*. Cz. I. Mechanika. Z 29 rysunkami w tekście. Rysunki wyk. Szczęsnolewicz, s. 103, zł 1.80. Ci sami: *„Młody Fizyk-konstruktor*. Cz. II. Elektryczność i optyka. Z 40 rysunkami w tekście. Rysunki wyk. B. Szczęnolewicz. s. 121, zł 2.20. „Biblioteka Młodego Technika" tomy XI i XII. Nakł. Księg. św. Wojciecha, Poznań.

W bardzo pożytecznej i szeroko już rozpowszechnionej bibliotece miesięcznika „Młody Technik" ukazały się dalsze tomy, X, XI, i XII. Pierwszy z wynotowanych tomów przynosi wskazówki, jak należy postępować przy amatorskich pracach stolarskich. Autor podał w przystępnym, bogato ilustrowanym rysunkami wykładzie wskazówki, dotyczące początkowych prac nad obróbką drzewa, oraz wykonaniem wielu pożytecznych przedmiotów. Dwie dalsze książeczki przynoszą opis prac konstrukcyjnych nad przyrządami, służącymi do praktycznej nauki fizyki. Materiał podzielono w ten sposób, że mechanika znalazła się w pierwszym tomiku cyklu, elektryczność zaś i optyka w tomiku następnym.

WŚRÓD KSIĄŻEK

LAMA YONGDEN I ALEKSANDRA DAVID-NEEL: *Mipam, lama pięciu mądrości*. Tłum. Róża Czekańska-Heymanowa. Wydawnictwo M. Arcta, s. 303, zł 7.20.

Wynotowany powyżej utwór posiada charakter bardzo oryginalny już w samym założeniu. Napisany został przez dwójkę autorów, przez panią Aleksandrę David-Neel, kobietę cywilizacji i kultury zachodniej, oraz przez lamę Yongdena, autentycznego duchownego buddyjskiego.

„Mipam" jest utworem beletrystycznym. Założenie i przeprowadzenie akcji dokonane zostało sposobem powieściowym z nieuniknionym schematem intrygi miłosnej. Ale czytelnika europejskiego interesować będą w tej książce te przede wszystkim jej partie, w których zawarty został autentyczny folklor życia w Tybecie. Tłem bowiem tej powieści jest groźny i tajemniczy Tybet, a kanwą, na której rozsnuto akcję — życie yogów i lamów tybetańskich. Przez ten egzotyczny materiał, przedstawiony bardzo wiarogodnie i ciekawie — książka nabiera wartości już nie tylko rozrywkowej. Dostarcza bowiem wielu nieznanych informacji geograficznych, folklorystycznych i obyczajowych.

IRENA NIEMIROWSKA: *Kariera*. Powieść. Tłum. dr. J. P. Zajączkowski. „Rój", s. 238, zł 5.00.

Niedawno na tym miejscu omawialiśmy poprzednią powieść Niemirowskiej, „Maskę młodości". Przy okazji owej recenzji mieliśmy możność podzielenia się z czytelnikami uwagami o twórczości tej autorki, która pochodząc z Rosji zdołała sobie przyswoić na tyle francuską sztukę pisarską, że obecnie należy do najpoczytniejszych pisarzy rozrywkowych Paryża.

Bo nie ma co ukrywać, że jest to twórczość niższego rzędu, rozrywkowa, czy użytkowa, jakby ją można nazwać. U Niemirowskiej najsilniejszą stroną książek jest rzemiosło literackie, zręczność kompozycyjna i stylistyczna. Ta cała jednak świetność pióra spiętrzona jest nad błahymi w zasadzie problemami, a raczej cieniami problemów. Nie ma tu samodzielnego pogłębienia, nie ma istotnej pracy twórczej. Dlatego powieści Niemirowskiej, budząc w chwili wyjścia spore zainteresowanie, po krótkim okresie czasu nikną i przestają zajmować sobą ludzi.

Zajmujące czytanki

Firma wydawnicza M. Arcta wydaje od dawna cykl niewielkich książeczek dla młodzieży z pouczającymi opowieściami. W ostatnim czasie charakter tej lektury dla młodzieży został nieco zmieniony. Redakcja położyła nacisk na tematy, oraz na momenty dydaktyczne.

W cyklu tym ukazały się obecnie następujące książeczki: „Największa moc" (tłum. M. Saryusz-Stokowska); Jerzego M. Taylora: „Czarny szyb znowu działa"; Marii Gerson-Dąbrowskiej: „Rogata dusza"; Lili Hanusz: „W pogoni za sławą"; Zofii Topińskiej: „Pierwsze skrzydła", oraz Jerzego M. Taylora „Kamienne róże" (nr. 87—92; cena każdego tomiku 40 gr).

61

N A M A R G I N E S I E

Rozmyślania o wojnie — Cudowne dzieci wyrosły — Przed siedemnastu laty — Trochę za dużo „świąt".

Na Wschodzie znowu wojna. W dobrych czasach przedwojennych takim ogniskiem niepokoju były zawsze Bałkany. Rolę kotła bałkańskiego objął teraz kocioł japońsko-chiński. Gotuje się w nim a gotuje.

Do Japończyków czuję sympatię jeszcze od czasów wojny rosyjsko-japońskiej. Prali tęgo skórę Moskalom, którzy początkowo chcieli zarzucić malutkich „Japonów" czapkami, a później mówili o nich z uznaniem:

— Jak tu z nimi walczyć, kiedy ich cesarz taki duży: siedzi w Tokio, a nogi (generał Nogi) na Syberii...

Z sympatią słuchało się i czytało o ich zwycięstwach. Ale teraz... Chińczycy też są bardzo miłym narodym.

Tak prawdę mówiąc, to przeciętnemu Polakowi dosyć trudno uświadomić sobie różnicę między Chińczykiem i Japończykiem. Z fotografii na przykład nie rozróżnię, jakie to są wojska: chińskie czy japońskie. Dziwię się nawet, jak oni się nie pomylą. I ten i ten skośnooki, niezbyt rosły, żółty. Jednak... jedni drugim przeszkadzają i dla jakichś tam spraw muszą ze sobą walczyć. Myślę, że co do tych powodów walki lepiej od nich uświadomieni są Europejczycy czy Amerykanie, którzy mają koncesje w Chinach. Gdyby i Polska miała, na pewno i my lepiej orientowalibyśmy się w różnicy między Chińczykami i Japończykami.

I tak to jest z wojną. Z bliska wydaje się ona konieczna, niezbędna, emocjonuje, budzi zapał, uczucia patriotyczne, nienawiść do wroga. A z perspektywy... Nie widzę różnicy między Chilijczykiem i Boliwijczykiem, i nigdy nie mogę zrozumieć, dlaczego oni się nienawidzą i walczą ze sobą. Nie rozumiem, bo dzieli ich od nas kilka tysięcy kilometrów. Przypuszczam, że Boliwijczyk równie dobrze nie dostrzega różnicy między Polakiem i Niemcem, nie rozumie, że może nam zależeć na tym, pod czyimi rządami będzie taki, czy inny kawałek ziemi, ani że my możemy się nie lubić.

Ale o tym ludzi się nie przekona. Bo z czego żyliby właściciele fabryk prochu i armat, na czym można było by robić wielkie fortuny. W czasie pokoju jest to o wiele trudniej.

*

W ubiegłym miesiącu obchodziliśmy rocznicę Cudu nad Wisłą.

Siedemnaście lat minęło. Kawał czasu.

Dzieci polskie, które obroniły Warszawę przed bolszewikami, porządnie od tego czasu powyrastały. Porobiły się z nich drągale pod wąsem. I spotkała ich dola wszystkich cudownych dzieci. Dopóki to chodzi w krótkich spodenkach i brzdąka na fortepianie, albo rzępoli na skrzypcach, zachwycają się wszyscy, podziwiają, biją brawo. A wyrośnie — zapominają o jego cudowności. Aż śmiesznie przypomnieć:

„Byłem kiedyś cudownym dzieckiem, a teraz ludzie zatykają uszy, gdy siadam do fortepianu!"

Tak samo z cudownymi dziećmi spod Warszawy i Lwowa.

„Jestem orlę lwowskie" — a drab pod sufit i w dodatku bezrobotny.

Ci, którzy polegli, mają pomniki, wieczną chwałę, czci się ich, jak bohaterów. A ci, których wypadkowo minęły kulki, pokończyli szczęśliwie szkoły — szukają teraz daremnie posad. Wszędzie trzeba mieć trochę szczęścia! Za legiony się należy, za rok 1920 — nie!

Ale to nic! Minie jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat, „orlęta“ spod Warszawy trochę powymierają, to ci, którzy przeżyją, dostaną specjalne mundury, przydzieli się im krzyże, ordery. I znów ich ludzie zaczną szanować, jak szanowali w dwudziestym roku, kiedy zgubione w zbyt wielkich żołnierskich płaszczach szkraby maszerowały ulicami Warszawy, uginając się pod ciężarem plecaków i karabinów, kiedy warszawska publiczność urządzała im owacje, wrzeszczała: „Ratujcie Warszawę!“, pakowała do kieszeni cukierki, ciastka i papierosy.

Trzeba tylko jeszcze odczekać. Niech trochę powymierają, bo na razie byłoby za dużo w Polsce bohaterów, zbyt wielka konkurencja!

*

Każdy kraj ma swoje święto narodowe. Polsce jedno takie święto nie wystarczy — więc mamy ich kilka. Ale i tego jeszcze mało: mało świąt kościelnych, mało narodowych, wymyślamy więc sobie jeszcze inne, przeróżne święta. Jest więc święto morza, święto lasu, święto matki, święto gór. Niedługo braknie dni w roku, tym bardziej, że niektóre święta ciągną się po tygodniu i dłużej.

Nie mam o to zupełnie pretensji. Proszę bardzo! Są przynajmniej zniżki kolejowe i, jeśli kto ma jakieś sprawy handlowe w Gdyni, albo w Katowicach, to w czasie „święta“ morza, czy gór zaoszczędzi sobie na bilecie. Szczególnie Żydzi bardzo w tej myśli wszelkie „święta“ popierają. Ale — mniejsza o to — przy okazji niejeden też naprawdę jedzie w góry, czy nad morze, żeby kawałek Polski poznać. Prowadzona w ten sposób propaganda turystyki jest bardzo pożyteczna i pochwały godna.

Chodzi mi tylko o nazwę „święto“. Czy to nie za wiele!

Pogląd ten wypowiadany był już niejednokrotnie i nawet często spotykamy w prasie omówienia nie „święta“, lecz „tygodnia“, czy dni. „Tydzień Gór“, „Dni Gór“ — brzmi to zupełnie dobrze i nikomu ujmy nie przynosi. Istota rzeczy nie zmieni się ze zmianą nazwy. A stwierdzić trzeba, że określenie „święto“ jest trochę niestosowne. Czy nie możnaby znieść go urzędowo i na przyszłość zastąpić nazwę „święto“ — nazwą „tydzień“ lub „dni“.

*

Najdotkliwszą formą ruchu antysemickiego jest bez wątpienia bojkot żydowskiego handlu przez społeczeństwo polskie. Na jarmarkach wielkopolskich bojkot ten przeprowadzany jest bardzo systematycznie, tak że żydowscy handlarze, przyjeżdżający do Wielkopolski na jarmarki, nic nie sprzedają i ponoszą duże straty. Lepsze to niż pogromy i bicie, lepsze i skuteczniejsze.

Na bojkot Żydzi odpowiadają bojkotem... instytucyj kulturalnych. Już w ubiegłym sezonie teatry w takich miastach, jak Warszawa, Łódź, Kraków, gdzie gros publiczności stanowili zazwyczaj Żydzi, odczuwały spadek żydowskiej frekwencji. Sytuacja zaostrza się coraz bardziej. W sezonie letnim w Krynicy zbojkotowali Żydzi-kuracjusze bawiący tam teatr poznański. Gruntownie i systematycznie! Przez sześć tygodni ani jeden Żyd nie przyszedł do teatru.

Na razie sprawę tę jeszcze bagatelizujemy. Mówi się, że na prawdziwie atrakcyjne imprezy Żydzi jednak chodzić będą. Nie wiem, czy to bardzo uzasadnione przeświadczenie! Myślę, że jednak bojkot jest zupełnie możliwy. Teatry warszawskie, łódzkie, krakowskie liczyć się muszą z tą możliwością, a będzie to dla nich, przynajmniej z początku, sytuacja dość przykra. Ale tylko z początku! Trzeba będzie oprzeć się wyłącznie na publiczności polskiej i tak ją sobie przysposobić, żeby teatr gorliwiej popierała. I to jest, to musi być możliwe! Polskie teatry muszą być polskie! Przecież nas chyba na takie stać!

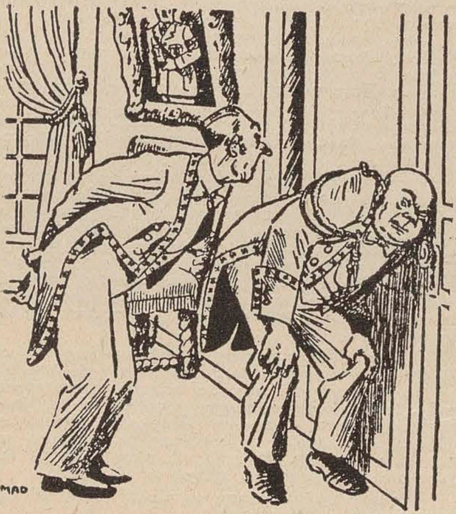
T. Kraszewski

Z AKTUALNEJ SATYRY



Z powodu powołania Kornela Makuszyńskiego do P. A. L. Wit Gawęcki

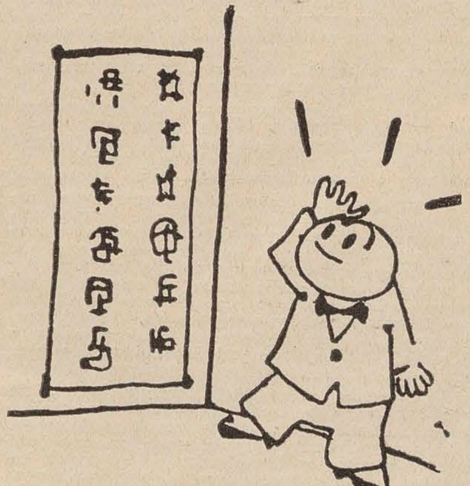
Gdy Führer przyjmuje ambasadora sowieckiego.



— Ciągle słyszę tylko słowa: „Egzekucje masowe"... „katolicyzm musi być złamany"...
— No dobrze, ale który z nich mówi?

(Poślednii Novosti)

Tokio — Pekin — Tientsin



Zagadnienie dalekiego wschodu, staje się z dnia na dzień zrozumialsze dla europejskich obserwatorów tej kwestii.

(La Flèche)

SPACER PO GLOBUSIE

Plotki z Budapesztu. Węgry, nieszczęsne królestwo bez króla, rządzone od r. 1920 przez regenta (admirała Horthy) zmieniły konstytucję. Było to konieczne dla uregulowania następstwa tronu. Po wojnie mocarstwa sprzymierzone zaprotestowały przeciw królowi Węgier z rodziny Habsburgów — od tego czasu Węgrzy absolutnie nie mogą między sobą uzgodnić, kto ma być ich przyszłym królem. A Horthy przecież kiedyś zamknie oczy.

Powzięto plan jedyny w swoim rodzaju: regent Horthy wyznacza teraz trzech kandydatów, jednak nazwisk nie ujawnia. Ma być trzech, nie mniej i nie więcej. Z chwilą śmierci regenta, senat i izba niższa, wyznaczą ze swej strony po jednym do trzech kandydatów. Po czym połączone izby wybiorą spośród wszystkich kandydatów nowego regenta. Znaczy to, że wybór będzie mógł paść albo na jednego z kandydatów Horthyego, albo na jednego z kandydatów proponowanych przez Izby. Zwycięski kandydat musi otrzymać większość absolutną przy pierwszym głosowaniu, albo też względną, przy następnym.

W średniowieczu, i nawet później, królów węgierskich wybierały niezliczone rzesze szlachty. Był to żywioł niesforny, który za nic nie chciał monarchii dziedzicznej, gdyż bał się ograniczenia swych wybujałych swobód. Widzimy więc, że nowe prawo na Węgrzech jest nawrotem do tradycji.

Równocześnie Węgry pośpiesznie zbroją się od nowa, za wzorem Niemiec i Austrii, a mimo zakazu zawartego w traktatach pokoju. Czechosłowacja, śmiertelny wróg Węgier, przymruża oko na te zbrojenia, mając nadzieję, że ta jej wielkoduszność ułagodzi nieprzejednanych Węgrów (którzy w r. 1919 stracili 70% swego terytorium). Niemcy starają się wymienić kosztowną broń w zamian za węgierskie płody rolne, a w bankach berlińskich zamroziły należności węgierskie w sumie 24 milionów złotych, aby tym łatwiej móc płacić; jednak węgierscy generałowie wahają się, czy można kupować niemiecką broń, gdyż w Hiszpanii broń ta nie zdała egzaminu.

Regent Horthy, choć jest admirałem, panuje nad krajem bez metra wybrzeża morskiego. Pochodzi on ze stanu średniego i jest protestantem. Nowe prawo dało mu pełnię władzy królewskiej, prócz patronatu religijnego i prócz prawa nadawania tytułów szlacheckich. Gdy po najdłuższym życiu umrze, to w tydzień potem zostanie wybrany nowy regent. Będzie pełnił straż nad starożytną koroną św. Szczepana.

Węgry są konserwatywne, a nie dyktatorskie, ani też faszystowskie. Mają partie opozycyjne, umiarkowanie wyzywające na rząd, mają strajki i na pół wolną prasę. W gminach wiejskich zamierzają niebawem wprowadzić tajne głosowanie.

Pacyfistyczna Holandia. Przysłowiowo pacyfistyczne Indie Holenderskie są obecnie największym odbiorcą amerykańskich materiałów wojennych: samolotów i karabinów maszynowych. Może to się wydawać rzeczą dziwną, ale te wyspy równikowe, zwykle zepchnięte na ostatnią stronę starego atlasu szkolnego stanowią w tej chwili sam środek strefy niebezpieczeństwa na Oceanie Spokojnym. Możliwe, że gdy się skończy wojna w Hiszpanii, to najtłustszymi literami gazety będą drukować wiadomości z Jawy, Sumatry i Borneo.

Od trzystu lat posiada Holandia te wyspy, gęsto zaludnione, ważne strategicznie i uderzająco bogate. Dostarczają światu większą część kauczuku i chininy, połowę liści tytoniowych, znaczne ilości cyny, nafty, kopry, herbaty, kawy i artykułów korzennych. Na wyspach dymi stale 45 wulkanów. Skarbu tego pożąda gorąco Japonia, jako że chętnie zmienia mapę świata i gwałci traktaty. Po awanturze mandżurskiej, okazało się, że nafty w Mandżurii nie ma. Japończycy potrzebują nafty, a Holendrzy mają naftę. Ponad to Niemcy, sprzymierzone z Japonią, wolałyby, żeby najbliższy wybuch nastąpił na dalekim Wschodzie.

Wielka Japonia ma janusowe oblicze, z jednej strony imperializm ekonomiczny, z drugiej — wojskowy. Holendrzy robią się coraz podejrzliwsi, gotują broń, demaskują szpiegów japońskich, zatruwają życie kupcom japońskim, i umacniają słabe forty nadbrzeżne. Handel japoński, który w czasie depresji zalewał wyspy, (niszcząc zupełnie handel holenderski) zostaje stopniowo ograniczony.

Holandia słusznie liczy na pomoc Lwa brytyjskiego i na nowe wielkie fortyfikacje brytyjskie w Singapore. Gotowa jest bronić swej neutralności. Nawet socjaliści oklaskiwali nowy budżet wojskowy w kwocie 55 milionów złotych. Indie Hol. otrzymają 200 samolotów, nowe krążowniki dla swej małej floty, nowoczesne fortyfikacje na wybrzeżu Nowej Gwinei i wokół pól naftowych na Borneo, Balikpapan i Pontianak. Około 242 tysiące Holendrów i mieszkańców pełni służbę wojskową. Natomiast z ostrożnością odnoszą się władze do sprawy uzbrojenia 61 milionów krajowców. Ich nacjonalizm staje się coraz bardziej świadomy.

W tej chwili najlepszą obroną Holandii jest dyplomacja. Angielskie i holenderskie interesy zazębiają się w sprawach naftowych i są do siebie bardzo zbliżone, jeżeli chodzi o obronę Singapore i Indyj Holenderskich, tego mostu łączącego Indie Brytyjskie z Australią. Anglia i Holandia stoją ramię przy ramieniu na froncie Białego Człowieka przeciw czającemu się Żółtemu Niebezpieczeństwu.

Wystawa antykomunistyczna w Niemczech. Mieszkańcy małego miasteczka niemieckiego zbierają się na rynku. Ogólną uwagę zwraca dziwaczna konstrukcja, która przez noc wyrosła na samym środku placu.

Dnia poprzedniego przybyło 12 ciężarówek, pomalowanych na kolor krwi. Po bokach mają napis: „Wróg publiczny nr. 1". Teraz ustawiono jedną obok drugiej i pospuszczano im boki — w ten sposób tworzą jedną platformę. To do miasta przyjechała podróżująca wystawa antysowiecka.

Jedynym jej eksponatem jest bolszewizm. Szereg obrazów przedstawia bardzo zwyczajną historię. Zrobiono ją z całą zręcznością propagandową, bo w tym narodowi socjaliści celują.

Nasamprzód wisi olbrzymia mapa świata. Kontynenty i morza widać wyraźnie, choć przykrywa je lekka mgła. Czarno-szary olbrzym stoi nad Moskwą. Rozrzuca białe karteczki na cały świat — to jest propaganda komunistyczna. Na karteczkach są różne napisy, zależnie od kraju, dla którego są przeznaczone. Te, które spadają na Afrykę, mówią: „Precz z białymi!". Te, które unoszą się nad Indiami, krzyczą: „Precz z Anglikami!".

Inny obraz pokazuje, co tkwi za tą propagandą. Na wielkiej mapie widzimy wątłe Niemcy, a tuż obok nieprzemierzoną równinę rosyjsko-azjatycką, niewyczerpane źródło żołnierzy i materiału wojennego. Na mapie są liczne plamy. Każda z nich wyobraża jeden pułk Czerwonej Armii wraz z tankami, samolotami, ciężką artylerią i karabinami maszynowymi. Ma to znaczyć, że Niemcy są obrońcą cywilizacji przeciw groźbie ze wschodu.

Dalej widzimy obrazy przedstawiające to, co Sowiety osiągnęły rzeczywiście w porównaniu z tym, co przyrzekały, że osiągną. Pomęczone, zabrudzone kobiety ciągną ciężkie wózki; inne wykonują pracę ręczną w fabrykach. Dalej jest tablica z cenami. Źle zrobiona para butów sowieckich kosztuje 135 rubli. A parę mocnych butów niemieckich można nabyć za 12 marek.

Uzupełniają wystawę próbki bolszewickiej propagandy antyreligijnej.

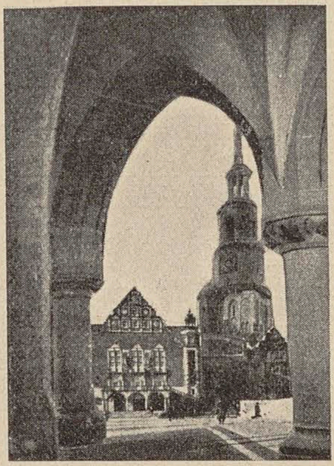
Z Literary Digest, Atlantic Monthly, Popular Science, Revue des deux Mondes, zebrał

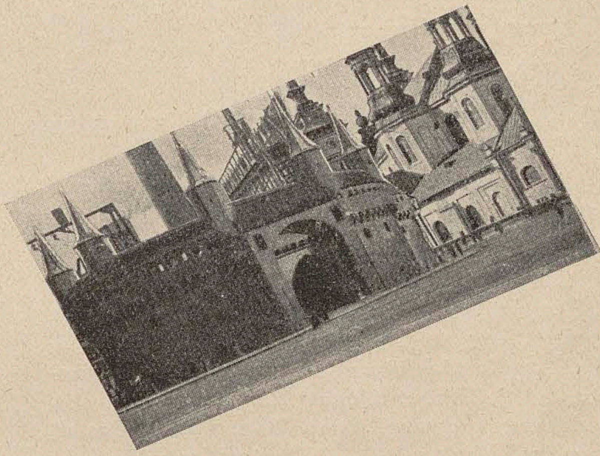
K. Pluciński.

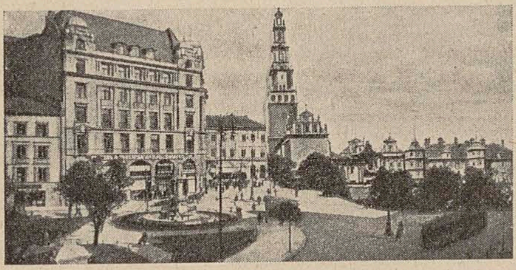
ROZRYWKI UMYSŁOWE

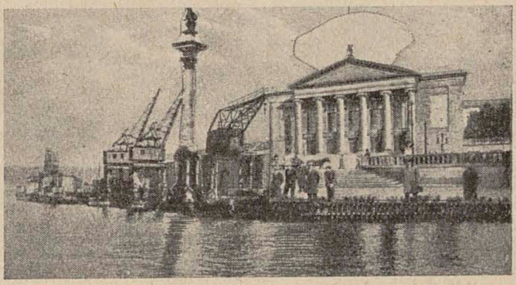
IV. ZADANIE KONKURSOWE

W numerze bieżącym zamieszczamy konkurs innego typu. Każdy z zamieszczonych poniżej fotomontaży zawiera różne fragmenty z miast polskich. Jakie to fragmenty — z jakich miast?



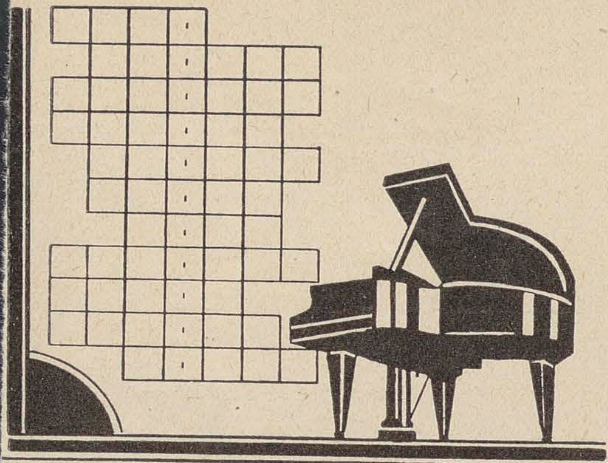






2. LOGOGRYF MUZYCZNY

ul. E. Miłowski



Po prawidłowym odgadnięciu 11 poziomo czytanych wyrazów oznaczony rząd pionowy da rozwiązanie.

1. Opera Moniuszki. 2. Opera Minchejmera. 3. Twórca opery „Eros i Psyche". 4. Twórca opery „Rey w Babinie". 5. Opera Joteyki. 6. Opera Żeleńskiego. 7. Opera Wallek-Walewskiego. 8. Postać z opery „Zygmunt August". 9. Postać z opery „Stara Baśń". 10. Postać z opery „Goplana". 11. Utwór Moniuszki.

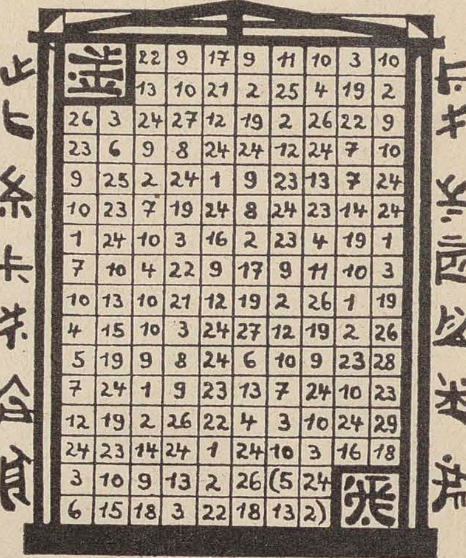
3. ARYTMOGRAF

ul. B. Mulewski

W miejsce cyfr wstawić odpowiednie litery, a otrzymamy sentencję Konfucjusza.

Wyrazy pomocnicze:

11 4 14 10 19 26 6 1 = in. błędnik,
22 24 7 10 13 2 = bożek rzymski,
16 4 6 6 10 14 4 11 = wódz Kartagiń- [czyków,
5 24 11 18 23 6 4 = in. filar,
25 9 15 10 11 4 25 4 = przemarsz woj- [ska przed dostojnikiem.

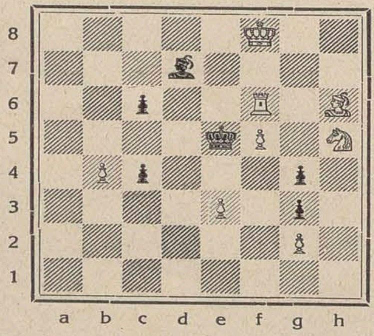


		22	9	17	9	11	10	3	10
		13	10	21	2	25	4	19	2
26	3	24	27	12	19	2	26	22	9
23	6	9	8	24	24	12	24	7	10
9	25	2	24	1	9	23	13	7	24
10	23	7	19	24	8	24	23	14	24
1	24	10	3	16	2	23	4	19	1
7	10	4	22	9	17	9	11	10	3
10	13	10	21	12	19	2	26	1	19
4	15	10	3	24	27	12	19	2	26
5	19	9	8	24	6	10	9	23	28
7	24	1	9	23	13	7	24	10	23
12	19	2	26	22	4	3	10	24	29
24	23	14	24	1	24	10	3	16	18
3	10	9	13	2	26	(5	24		
6	15	18	3	22	18	13	2)		

ZADANIE SZACHOWE Nr 8

ul. „John Ly"

CZARNE



Białe wygrywają w trzech posunięciach

ZADANIE BRIDŻOWE Nr 8

B: ♠ as; ♥ 10, 8, 2; ♦ —; ♣ 5, 4, 2

C: ♠ —; ♥ 9, 7, 5; ♦ 10, 8, 4; ♣ 8

D: ♠ dama, 10; ♥ 6, 4; ♦ 5, 3; ♣ 7

A: ♠ król, walet; ♥ —; ♦ 9, 7, 2; ♣ 9, 6

Atu — pik. „A" wychodzi i oddaje jedną lewę.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR 8/37.

Nr 1 — Zadanie teatralne.

Iwaszkiewicz, Lato w Nohant; Nowaczyński, Cezar i człowiek; Zawieyski, Powrót Przełęckiego.

Nr 2 — Trójkąt magiczny.

P A R A W A N
A P A R A T
R A J E R
A R E S
W A R
A T
N

1. Parawan. 2. Aparat. 3. Rajer. 4. Ares. 5. War. 6. At. 7. N.

Nr 3 — Figielki

1. Stryj.
2. Koloratura.
3. Batory.
4. Środa.

Nr 4 — Kwadraty magiczne.

ROK	ERA	POT	IDA
OKO	RAK	ONA	DAL
KOS	AKR	TAN	ALA
KRA	NOS	DWA	ADA
RAB	ODA	WAG	DMA
ABO	SAN	AGA	AAR
MAK	EMS	LIR	OLA
ANI	MAT	IWA	LAK
KIR	STO	RAJ	AKT
EWA	GIL	OBA	MIG
WAL	IMA	BAR	INA
ALT	LAS	ARA	GAR

Rozwiązanie zadania szachowego nr 7.

a) 1. Db4 — b8 — Ke7 — d8
2. Kg8 × f7 — dowol.
3. Sg7 — e6 mat.

b) 1. ..... — Gc8 — e6
2. f5 × e6 — dowol.
3. Db8 — e8 (lub f8) mat!

c) 1. ..... — Dg1 — b6
2. Db6 × c8 — {Sf8 — d7 lub / d6 × e5 lub / dowol.}
3. {Dc8 × d7 lub / Dc8 × f8 lub / f5 — f6 mat!}

Rozwiązanie zadania bridżowego nr 7.

„A" zgrywa 4 bitki treflowe, na które zrzuca ze stołu (n. B) dwie bitki karowe i dwie kierowe. Następnie zgrywa z ręki damę i waleta kierowego, oddając partnerowi „C" lewę na dyskę kierową. „C" musi zagrać kierem lub karem, wskutek czego „A" przychodzi do gry i bierze resztę lew (na karo, kiera i asa pika).

KTO OTRZYMAŁ NAGRODĘ za rozwiązanie zadań w nr 8/37

Nr 1 — p. H. Kłosińska, Biała Krak.
Nr 2 — p. J. Roman, Warszawa.
Nr 3 — p. L. Stegnerówna, Warszawa.
Nr 4 — p. W. Nowicki, Warszawa.

Zadanie bridżowe nr 7 — ks. W. Gogoliński, Mołczadź.

Zadanie szachowe nr 7 — p. J. Rabski, Wilno.

Nagrodę autorską otrzymał p. A. Kobyliński; nagrodę pocieszenia p. A. Doletycka, Kraków.

NAGRODY za rozwiązanie zadań w zesz. 9/37

(nadsyłać można do 20. 9. 37)

Nr 1 — Chór wieków. Antologia poezji katolickiej.
Nr 2 — Curwood, Szara wilczyca.
Nr 3 — Jeleńska, Panienka.

Zadanie szachowe nr 8 — Grabski, Na krawędzi.
Zadanie bridżowe nr 8 — Knox, Czyja ręka.

Redakcja przyzna poza tym 2 nagrody pocieszenia i 1 nagrodę autorską.

TĘCZA ILUSTROWANE PISMO MIESIĘCZNE WYCHODZI *W POZNANIU, WARSZAWIE, WILNIE, LUBLINIE, KRAKOWIE*

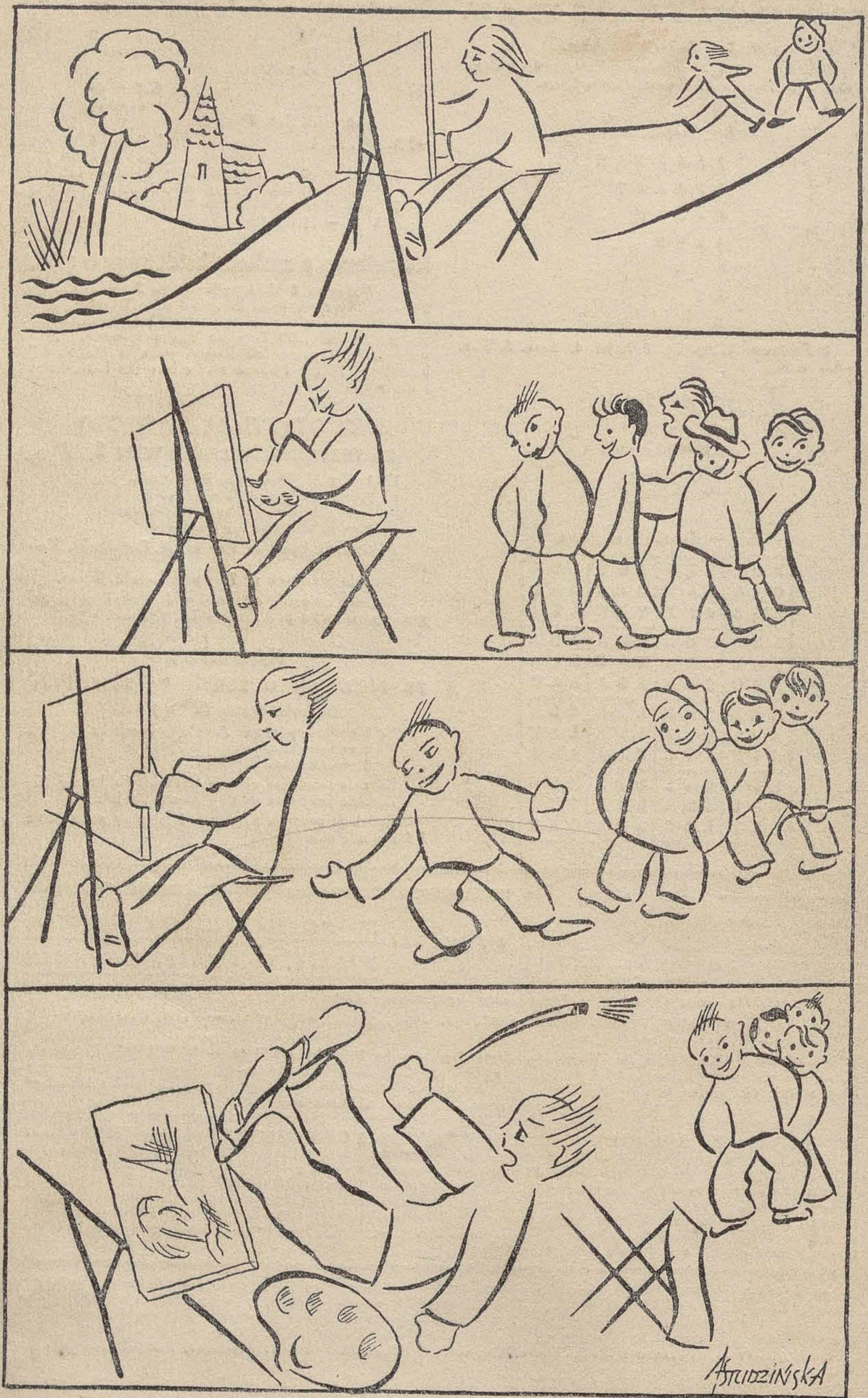
Przedpłatę oraz zlecenia ogłoszeniowe przyjmują: Administracja główna w Poznaniu, Aleje Marcinkowskiego 22. — Telefon 2241, 2678, 3127, 3613, 3614. — P. K. O. 201 270.

W WARSZAWIE: Księgarnia św. Wojciecha, Aleja Jerozolimska 39, telefon 9 81-44. — W WILNIE: Księgarnia św. Wojciecha, ulica Dominikańska 4, telefon 845. — W LUBLINIE: Księgarnia św. Wojciecha, Krakowskie Przedmieście 40, telefon 6-07. — W KRAKOWIE: Księgarnia Krakowska, ulica św. Krzyża 13, telefon 133-34. — WE LWOWIE: Księgarnia „Książka", ul. Czarnieckiego 12.

PRENUMERATA NA ROK 1937 WYNOSI BEZ KSIĄŻEK PREMIOWYCH: *a)* z przesyłką: rocznie zł 18,—; półrocznie po 10,— zł; kwartalnie po 5, 0 zł; *b)* w Poznaniu, Warszawie, Wilnie, Lublinie, Krakowie, rocznie zł 16,—; półrocznie po zł 9,—; kwartalnie po zł 5,—. Abonenci całoroczni, którzy zamierzają korzystać nadal z książek premiowych, winni dopłacić zł 4,— w stosunku rocznym; pożądanem jest, aby kwotę tę uiszczali równocześnie z 1-szą ratą przedpłaty.

CENY OGŁOSZEŃ: W tekście (układ 2-łamowy), wiersz milimetrowy zł 1,—, Poza tekstem redakcyjnym (układ 3-łamowy): za wiersz milimetrowy zł 0,30. Rozmiary całej strony wynoszą 193 mm wysokości, 126 mm szerokości. Administracja nie może zapewnić ścisłego przestrzegania życzeń co do terminu i miejsca ogłoszenia.

Adres Redakcji: Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22. — Redaktor Józef Kisielewski. — Sekretarz redakcji Janusz Jabłoński. — Telefon 3613. — Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. — Redakcja zastrzega sobie prawo zmian w rękopisach. — Za reklamy i ogłoszenia odpowiada Ignacy Domański w Poznaniu. — Nakładem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu. — Druk, klisze, rotograwury oraz fotochromie barwne wykonano w Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu. — Papier z własnej fabryki „Malta".



Historia bez słów.